

# W CIENIU GÓR ŚWIĘTOKRZYSKICH

---

## HISTORIA RODZINY PĘKALSKICH



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR ŚWIĘTOKRZYSZKI NA ŁYSEJ GÓRZE.  
(Rysował Kostrzewski, rytował Styfi w Warszawie.)

Zbigniew K. Penkalski maj 2018 r.

## WSTĘP

Moje prace nad uporządkowaniem wieloletnich poszukiwań genealogicznych powoli dobiegają końca. To konieczność, gdyż i mój czas już się kończy, zostało mi go jeszcze kilka lat w pełnej sprawności fizycznej i umysłowej.

W roku 2013 zakończyłem pisanie mego pierwszego e-booka genealogicznego **ŻYCIE CODZIENNE NASZYCH ANTENATÓW 1794-1945**. Zawiera on najstarsze dzieje rodzin Eborowiczów, Chmielowskich, Szletyńskich, Niewiarowiczów i innych. Książeczka jest bogato ilustrowana zdjęciami pochodzącymi ze zbiorów rodzinnych. Kolejna pozycja z tej serii to **PRZYGODY ALEKSANDRA w DZIKIEJ MANDŻURII 1897-1900** zakończona w roku 2016, jej uzupełnione i poprawione wydanie ukazało się w styczniu 2018 r.

Nadszedł czas na tomik ostatni zamykający moją trylogię genealogiczną, w którym skoncentruję na dziejach rodziny Pękalskich, która co najmniej od początków XVII wieku zamieszkiwała w regionie świętokrzyskim. Nie zamierzam tutaj kreślić historii całego rodu Pękalskich, który dzielił się na szlachtę, włościan i rzemieślników. Nie zamierzam też opisywać licznych migracji ludzi o tym nazwisku, którzy poszukując lepszego życia wyjeżdżali zarówno na kresy wschodnie, jak i za ocean do ziemi obiecanej, jaką w XIX wieku jawiły się Stany Zjednoczone Ameryki. Takie stawianie sprawy znacznie przekroczyłoby skromne ramy tego e-booka i wymagałyby wielu czasochłonnych badań. Poprzestanę zatem na historii rodziny Pękalskich z której wywodzi się mój ojciec oraz na historii jego rodzinnej miejscowości Ćmielowa. Oczywiście wspomnieć trzeba będzie o krewnych i powinowatych noszących to samo nazwisko i dotrzeć do innych wsi i miasteczek regionu świętokrzyskiego, gdzie żyli i umierali nasi antenaci.

Ojciec znał i kochał Góry Świętokrzyskie, lubił po nich wędrować. Stąd tytuł tej książeczki. Wyjechał wcześniej z tych stron skierowany do pracy nauczycielskiej na terenie Wielkopolski. Tam przeniósł swoje umiłowanie do lasów, polowań i łowienia ryb. Od wiosny do późnej jesieni nasza rodzina każdy wolny dzień spędzała w lesie. Jeździłem z ojcem na ryby i na polowania, gdyż po wojnie wielka była obfitość ryb i zwierzyny leśnej. Jednak już w połowie lat 50. ojciec zaprzestał polowań, wolał po prostu przebywać w lesie, zbierać grzyby i odpoczywać.

W niniejszym opracowaniu zamieściłem setki metryk urodzeń, małżeństw i zgonów dokumentujących pochodzenie rodziny Pękalskich z Ćmielowa i Denkowa. W tym w całości drzewo rodowe Jana Pękalskiego (1915-2011), którego gałąź jest w wielu miejscach zbieżna z naszą rodziną. Jednak nasz odległy w czasie praszczur wywodzi się z niedalekiego Denkowa, a tam akta parafialne zachowały się o wiele lepiej, aniżeli akta ćmielowskie. Mogłem dzięki

temu dokonać nowych odkryć z historii naszej rodziny, dotrzeć do przodka z wieku XVIII i jego bliskich. Odstoniła się już w trakcie pisania tej książeczki nieznana karta z dziejów naszego rodu. Mogę śmiało powiedzieć, że gromadzone przez 20 lat materiały genealogiczne to 70% całości, ale 30% powstało już w tym roku, kiedy pisałem te słowa. Zawdzięczam to daleko posuniętej indeksacji zasobów metrykalnych prowadzonej nieustrudzenie przez Polskie Towarzystwo Genealogiczne.

Tekst ten jest bogato ilustrowany zdjęciami rodzinnymi od czasów Karola Pękalskiego, kiedy fotografia dopiero raczkowała. Zachowały się one dzięki reprodukcjom wykonanym przez mojego ojca, ale tylko w negatywach, które sam opracowałem po ich digitalizacji i retuszu. Przy pracy tej napotkałem na typowe trudności towarzyszące identyfikacji widniejących na starych fotografiach postaci. Dopiero zabrany bogaty materiał faktograficzny pozwolił na pełną identyfikację osób widniejących na XIX. wiecznych fotografiach, gdyż to one były najważniejsze. Niektóre fotografie otrzymałem dzięki wcześniej nieznanym krewnym, którzy nawiązali kontakt po poznaniu mojej strony genealogicznej w internecie.

Nie bez znaczenia dla mojej pracy była literatura przedmiotu, której spis zamieszczam na końcu. Jest tam także spis ilustracji ze wskazaniem źródła ich pochodzenia.

W PODSUMOWANIU zamieszczam szkic tego, co dopiero powstanie, czyli moje losy od 1962 roku poza rodzinnym Gostyniem spędzone. Dzięki uprzejmości mego przyjaciela Krzysztofa Węgrzeckiego, które niesłychanie barwnie opisał nasze zarobkowe prace studenckie i dramatyczne akcje w ratownictwie wodnym, zamieszczam fragmenty jego historii rodzinnej. To były chwile wspólnie przeżyte i podobnie zapamiętane, chociaż odmiennie będą zapisane.

## SPIS TREŚCI

### RODZIAŁ I - Czasy najdawniejsze - Ćmielów i zamek

- 1/ Czasy przedpiastowskie..... 5
- 2/ Od potopu szwedzkiego do czasów współczesnych..... 15

### RODZIAŁ II - Rodzina Pękalskich w wieku XVIII i XIX

- 1/ Ulotne archiwa..... 21
- 2/ Czytanie cmentarzy..... 23
- 3/ Pierwszy z rodu..... 27
- 4/ Straszliwe żniwo cholery..... 40

### RODZIAŁ III - Karol Pękalski odbudowuje rodzinę

- 1/ Fabryka Porcelany w Ćmielowie..... 42
- 2/ Droga zawodowa Karola - Ćmielów, Tarłów, Nieborów..... 45
- 3/ Wszystkie dzieci Karola i Anieli..... 50
- 4/ Siostra Świętosława - życie w zakonie..... 54
- 5/ Krótkie życie Marianny Pękalskiej-Milewskiej..... 60
- 6/ Pół wieku dziadka Franciszka w fabryce porcelany..... 62

### RODZIAŁ IV - Tadeusz Penkalski - ojciec

- 1/ Czasy szkolne w Ćmielowie..... 77
- 2/ Seminarium nauczycielskie i praca w szkole..... 84
- 3/ Walka w kampanii wrześniowej - okupacja..... 95
- 4/ Gostyń po wojnie..... 126
- Zaproszenie na egzekucję..... 147
- 5/ Podsumowanie..... 171

# Rozdział I

## Czasy najdawniejsze

### 1. Przed Piastami

Gród zwany Chmielem stał na wyspie pośrodku sporego jeziora, a z lądem łączył go most wąski i długi na 5 prętów z bierwion nasączonych smołą, by łatwo go było spalić w razie ataku wroga. Nad samym jeziorem stały tylko chaty rybaków, którzy z tej wody żyli łowiąc ryby i raki obficie tu występujące. Gdzieś w głębi otaczających jezioro lasów żyli smolarze, bartnicy, myśliwi i inni ludzie pierwotnej jeszcze puszczy. Wymieniali swoje zdobycze – mięso, skóry, miód na ziarno i inne produkty rolnicze sąsiedniej krainy pól – obszarów nad rzeką Kamienną.

Pradawnych czasów sięgają tradycje przemysłowe regionu, w tym m.in. wydobywanie rud, wytopienie metali i ich obróbka. Jeszcze wcześniej wydobywano tu krzemień, z którego wytwarzano toporki dla celów praktycznych i obrzędowych. Pozostały po nich nazwy wsi Krzemionka, Krzemieniec i podobne.





### 1. Gród słowiański z VIII w.

Gród otoczony był wałem ziemnym szczyt, którego wieńczyła palisada. Fosą było otaczające gród jezioro, co wzmacniało jego walory obronne.

Zadaniem grodoziercy była obrona starego rzymskiego szlaku handlowego przed rozbójnikami oraz ochrona miejscowej ludności. Podlegał on kniaziewi Wiślan panującym na wzgórzu Wawel, a ten z kolei zależny był od króla Moraw. Król Mojmir I panował z Weligradu nad wielkim obszarem ziem zamieszkałych przez różne plemiona, budował grody i wyznaczał swoich namiestników, czyli żupanów. Zarówno książę Wiślan, jak i władcy plemion Opolan i Lędzian płacić musieli podatki w grzywnach żelaznych i w naturze. Król Mojmir i jego następcy zapewniali ochronę granic, władzę sądową oraz militarną sprawowaną przez wojewodów.

Ludzie chętnie osiedlali się w dolinie rzeki Kamiennej z uwagi na dobre warunki przyrodnicze sprzyjające rozwojowi rolnictwa. Kwitło także garncarstwo, gdyż bogate pokłady gliny zapewniały doskonały surowiec.

Starożytny szlak rzymski prowadził do świętokrzyskich dymarek, gdzie przetapiano rudy żelaza. Mimo upadku cesarstwa rzymskiego stary szlak handlowy przetrwał, gdyż zachodnia Europa nadal potrzebowała skór, wełny, bursztynu, miodu i innych produktów. Handlowano też niewolnikami, tym specyficznym "towarem" zainteresowani byli kupcy muzułmańscy.

Źródła arabskie często wspominają słowiańskich niewolników (pod nazwą *Sakaliba*) i mówią o tym, że są oni kupowani za dirhemy od skandynawskich kupców. Należy to brać na poważnie, ponieważ rzeczywiście odkryto setki

tysięcy dirhemów w Europie północnej, a to z pewnością jest tylko nikły procent tego, co napłynęło. Znaczyłoby to, że w od VIII do X wieku istniał masowy system handlu niewolnikami, na pewno głównie pochodzenia słowiańskiego. Ich transport z Mazowsza i innych regionów do Andaluzji czy Azji Środkowej był skomplikowaną operacją: trzeba ich było karmić, poić i pilnować, i to podczas wielomiesięcznej podróży na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów. To Azjaci kupowali niewolników i futra od skandynawskich kupców na rynkach Bułgarii Wołżańskiej i Chazarii. Znaczną rolę odgrywali w tym handlu zwłaszcza kupcy z Chorezmu, wielkiej oazy w delcie Amu-Darii na południowym brzegu Morza Aralskiego. Ich rola jest potwierdzona między innymi przez Kroniki Nestora, gdzie pojawiają się pod nazwą *Chwalisy*, ramię w ramię z Bułgarami wołżańskimi. Muzułmańscy kupcy byli zainteresowani niewolnikami nawet z tak odległych terenów jak Słowiańszczyzna, sprowadzano stamtąd głównie kobiety i dzieci w wieku kastracyjnym. Z zachodniej części Słowiańszczyzny niewolników pozyskiwali hiszpańscy Umajjadzi, zaś z pozostałej części – Samanidzi z Azji Centralnej.

Po śmierci Świętopełka w 894 roku Wielkie Morawy zostały podzielone między trzech synów Świętopełka: Mojmira II, który otrzymał w zarząd Morawy właściwe, Świętopełk II Słowację, a trzeci nieznany z imienia miał objąć Pociście. Właśnie tam w 896 roku mieli się osiedlić Węgrzy, za zgodą książąt wielkomorawskich, jednak obszar ten był za mały przy silnie rozwiniętych strukturach państwowych u Węgrów, a poza tym mało prawdopodobne, aby Węgrzy płacili trybut z zajmowanych ziem, a sami książęta siłą nie byli w stanie go wywalczyć. Węgrzy dotarli na tereny wschodnie Państwa Wielkomorawskiego po klęsce, którą zadali im w 895 roku Pieczyngowie. Węgrzy, wobec groźby eksterminacji jako naród, rzucili się do ucieczki docierając wiosną 896 roku nad Dunaj, gdzie właśnie za zgodą książąt wielkomorawskich osiedlili się na terenach położonych wzdłuż północnego biegu rzeki Cisy i na części Pociścia. Państwo Wielkomorawskie zostało podporządkowane całkowicie Węgrom dopiero w 907 roku po bitwie pod Bratysławą. W ten sposób skończyło się zwierzchnictwo królów Moraw nad Wiślanami. Nadchodził czas Piastów.

Exodus możnowładców Wielkich Moraw skierował się nie na ziemie należące do Wiślan, ale dotarli oni do Wielkopolski, na tereny Polan. To tam nastąpił skokowy rozwój wielkich grodów i organizacji państwa po roku 900. Polanie byli poganami, Morawianie przyjęli chrzest już w roku 831. Aby chrystianizować Polan potrzebowali silnych struktur państwowych, a to musiało skutkować likwidacją władzy plemiennej i jej wierzeń. Ale przecież i oni nie stworzyli tych wzorców. Naśladowali po prostu elity wschodnio frankijskie zarówno w

sposobie budowy grodów, uzbrojenia wojów, jak i używania przedmiotów luksusowych. Jest prawie pewne, że to ród Poznańców z Moraw gród Poznań zbudował i do świetności doprowadził.

Książę Wiślan oponował przeciwko przyjęciu chrześcijaństwa, jak zapisano w "Żywocie Metodego", książkę "urągał chrześcijanom" wyrządzając im szkody. Miał on zostać ochrzczony siłą "na obcej ziemi" i tak się stało w trakcie łupieżczej wyprawy na Morawy zgodnie z przepowiednią Metodego.

Trzeba było jeszcze stu lat, aby ziemie Wiślan do Polan dołączyły. Wpierw bowiem ziemie te protektoratem Czech były i im trybut płaciły. Około roku 990 gród znalazł się w granicach państwa piastowskiego, stając się jedną z głównych siedzib królestwa.

## 2. Panowanie Piastów

Wolno przebiegała integracja Wiślan z państwem Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Kiedy rozbudowano Kraków, a wokół grodu chmielowskiego wyrosła spora wioska rolników i garncarzy spadła na te ziemie groza najazdu tatarskiego. Spalony został gród Kraka, zdobyto i spalono Chmiel, ludność poszła w niewolę okrutną, a w miejscach ludnych ongiś tylko dziki zwierz leżyska swoje miał. Mnóstwo wody w Wiśle upłynęło, zanim życie na te ziemie wolno wracać zaczęło. To ród szlachecko urodzonych Odrowążów zamek Chmiel odbudował, teraz już z kamienia on był postawiony, a wokół osada z wielu domostw złożona powstała. Jej pradawna nazwa oczywiście od uprawianego tam chmielu powstała, z którego piwo warzono już od wieków. Król Chrobry wielkim piwoszem był, co w kronice Dietmara zapisane zostało. Ród Odrowążów takim się herbem pieczętował, a korzenie jego z Wielkich Moraw pochodzą.



2. Herb Odrowąż

Oto jego heraldyczny opis.

W polu czerwona rogacina srebrna w słup, u dołu rozłuczona. W klejnocie nad hełmem w koronie na pawim ogniu taka sama rogacina w pas.



Odmianą herbu jest w polu czerwonym rogacina srebrna w słup, pokrzyżowana, u dołu rozłuczona. Znane są następujące średniowieczne pieczęcie z tym herbem: 1350 Piotr kasztelan dobrzyński i Jakub sieradzki; 1352 Jakub z Dębna; 1380 Jan, starosta ruski; 1384 Prandota, podsędek ziemski sandomierski; 1385 Krzesław, podsędek ziemski krakowski.

Używały go między innymi następujące rodziny: Baranowski, Bębnowski, Białoczewski, Błaszkwicz, Bielawski, Bieńkowski, Bylina, Cedrowski, Chlewicki, Chomski, Chreptowicz, Czechowski, Durasiewicz, Dziewiatyński, Godowski, Gorski, Jacewicz, Jeleński, Kamieński, Kapuściński, Kietliński, Konecki, Kowalewski, Krajewski, Kwinta, Lasota, Litawor, Łukaszewski, Minkiewicz, Mińkowski, Odrowąż, Ossowski, Parczewski, Pawłowicz, Petrykowski, Pękalski, Pieniążek, Pruszkowski, Rozdrażewski, Siedlecki, Siemaszko, Waligórski, Wizgird, Wolski, Wysocki, Żaba, Żak, Żaranowski.

Starożytni pisarze podają zgodnie, że ów herb został wniesiony do Polski z Morawii, gdzie zwał się "Odrzywąsem" a to z tej okazji, że przeciwnikowi swemu możnemu poganinowi w pewnym zajściu oderwawszy usta z wąsem, takowe wbił na strzałę i jako znak zwycięstwa oddał swemu księżęciu, za co od tegoż miał otrzymać nazwę Odrzywąsa, z wyrażeniem tego znaku jako klejnot herbowy, którym dotąd pieczętują się domy Siedlnickich i Tworkowskich w Morawii.

B. Paprocki podaje, że: *"Przodek tego domu, mąż jeden sławny w Morawie (w cudzej ziemi) z poganami o sztukę strzelał z łuku, potem z nim i za pasy chodził i dziwnych sztuk rycerskich z sobą próbowali. On poganin, że nań szczęścia z mocy nie miał, przed monarchą krainy onej, znając łaskę pańską; dlatego, że mu się z każdym nieprzyjacielem fortunnie w potrzebach zdarzało, chcąc i nad onym górę otrzymać, o szrudłki (popularna gra ludowa) z nim przed cesarzem czynić chciał. On z gniewu mając to sobie za zelżywość chwycił go za gębę, którą mu z wąsem i nosem oderwawszy, na strzałę wetknął i ukazał panu, który wzgardziwszy onym oszpeconym poganinem, dał temu za wieczny upominek onej jego zwierzchności i nad nim strzałę przez wąż przewleczoną, i nazwał go Odrzywąsem aż per corruptionem sermonis Odrowąż po ten wiek"*.

Okólski zaś twierdzi, że przodek herbu tego strzałę z łuku wąsy obydwaj i z mięsem mu uciął.

Sławny to herb, ale czy któryś z odległych przodków go używał? Stara herbarze mówią o Pękalskim herbu Odrowąż z Malusz ( Źródło: *"Szlachta wylegitymowana w Królestwie Polskim w latach 1836-1861(1867)"*).

Potwierdza to *"Herbarz Polski"* Kaspra Niesieckiego, tom VII, wyd. w Lipsku w r. 1841 ( mój reprint z r.1989, WAiF).

Boniecki natomiast w swoim herbarzu przywołuje Jadwigę Pękalską, córkę Stefana z Malusz i jej parantele z rodem Bochwiczów. (*"Herbarz Polski"*-Adam

Boniecki, wydanie elektroniczne; dr Marek Jerzy Minakowski 2004). Przegląd tego drzewa genealogicznego uzmysławia nam trudności, na jakie napotyka badacz dziejów swego rodu.

Nie oznacza to oczywiście, że wywodzimy ród Pękalskich (niezależnie od pisowni, która ulegała zmianom) od tego herbowego przodka. Nie ma na to żadnych dowodów, zbyt odległe to czasy. Po prostu odnotowujemy, że istniała taka gałąź rodowa i taki herb. A przodkowie nasi byli zwykłymi garncarzami i tkaczami.

Zauważmy, że po raz pierwszy w związku z Ćmielowem pojawia się nazwisko Pękalski. Wywodzi się ono bądź z imiona złożonego Pękostaw lub od słowa "penka", co oznaczało kiedyś gwoździak, ćwiek. Inne możliwe słowa to pęknięcie, rozpuk, wiązka, wiązanka, snop, supeł, węzeł, garb. Bez wątplenia jest to stare, słowiańskie nazwisko, o czym świadczy samogłoska "ę". W języku prasłowiańskim istniały dwie samogłoski nosowe, przednia e i tylna o.

Pochodziły z grup typu *en, am, om* itp. W języku staro-cerkiewno-słowiańskim zapisywano je znakami o nazwie **jus**. Polacy w XII wieku przejęli alfabet łaciński. Zasób łacińskich liter nie był jednak wystarczający do oznaczenia wszystkich polskich dźwięków, zabrakło ich dla spółgłosek średniojęzykowych ciszących (pisanych dziś **ć, ś, ź**), spółgłosek nosowych (pisanych dziś **ą, ę**), a także spółgłosek dźwiękowych szumiących (pisanych dziś **cz, sz, ż**). Kilka liter łacińskich okazało się natomiast zbędnych (**q, x, v**). Ale to nie wystarczało i trzeba było wprowadzić do użytku nowe znaki pojedyncze. Chętniej jednak uciekano się do kombinacji liter łacińskich. Różni pisarze i kopiści po swojemu radzili sobie z przystosowaniem alfabetu łacińskiego, o jakimś powszechniejszym porozumieniu się i wypracowaniu ogólnie obowiązującej normy zapisu, w ówczesnych warunkach oświatowych i kulturalnych, nie mogło być mowy. Na ówczesną ortografię polską oddziaływały też nieraz rozbieżne wpływy czeskie i niemieckie. Najlepiej świadczy o tym przykład Ćmielowa, który w dokumentach łacińskich przyjmował najróżniejsze formy jak np. Sczmelow, Chmiel, Chmielow, Smielowo, Trzmielów, Szmielów, Szmyelów. Dopiero w aktach z XVII wieku pisanych po polsku spotyka się nazwę Ćmielów.

Źródła historyczne wskazują na występowanie rodu Pękalskich (lub Pękali) na ziemiach polskich i litewskich od wczesnego średniowiecza. Oto np. Jan Pękalski wzmiankowany, jako plenipotent księcia Bogusława Radziwiłła:

W czasie potopu Bogusław Radziwiłł przyłączył się do Szwedów, chcąc uzyskać dla siebie udzielne księstwo. Plenipotent Radziwiłła, Jan Pękalski pośpiesznie ufortyfikował pałac umocnieniami bastionowymi. W liście do księcia donosił: **"Pewnie by i mnie w żywocie nie stało i poddanych by naginęło (...) a gdym się okopał, ufortyfikował sztakietami, gdzie się byli mieszczanie, kupcy i żydzi**

***swoi i cudzy z taborami i dostatkami swymi zwieźli, przyciągnęło chorągwi 26 z pułkownikami Łukomskim i Korotkiewiczem i obległo mnie ( 11 II 1656).***

Wikipedia określa Jana Pękalskiego jako: "*zarządcę dóbr, pamiętnikarza i działacza kalwińskiego*".

Inni znani przedstawiciele tego rodu to:

- \* Józef Tadeusz Pękalski (XVIII wiek)- ksiądz; dyrygent; teoretyk muzyki
- \* Leonard Pękalski (1896-1944) - malarz, profesor
- \* Stanisław Andrzej Pękalski (1895-1967)-malarz, rektor
- \* Piotr Franciszek Pękalski (1790-1874) - pisarz religijny, profesor
- \* Wojciech Pękalski (zm. w r. 1817) - dramaturg, poeta, redaktor, wolnomularz.

Oczywiście w czasach piastowskich nie używano nazwisk rodowych tylko imiona łączone z siedzibą rodu.

Najstarsze imiona, które występują w języku polskim, to tak zwane słowiańskie imiona dwuczłonowe. Zostały odziedziczone przez języki słowiańskie z języka praindoeuropejskiego. Te imiona ukształtowały się z wcześniejszych jeszcze imion zdaniowych, z których większość była nacechowana pozytywnie i wyrażała życzenie rodziców względem dziecka. Dzisiaj tylko niewielka część tych dwuczłonowych imion jest w powszechnym użyciu. Przykładem mogą tu być imiona: Bogdan (dany od Boga), Bolesław (ten, który ma ściągnąć większą sławę), Bożydar (dar od Boga), Bronisław (ten, który ma bronić sławy), Czciwor (ten, który czci walkę), Czesław (ten, który czci sławę), Dobiesław (sławny z dzielności), Jarosław (sławny z surowości), Wojciech (dający pociechę wojownik), Zbigniew (wyzbyty gniewu). Do grupy najstarszych imion staropolskich należą także imiona jednoczłonowe równe lub utworzone od nazw pospolicznych, np. Broda, Żyła, Brzuchaty, Wałkuń, Rak, Kopyto, Jawor, Łyko, Grot, Krupa, Tusza. Z czasem utraciły one swoją pierwotną funkcję imienia i przekształciły się w nazwiska, które są w powszechnym użyciu do dzisiaj. Do tej grupy zapewne należało nasze nazwisko wywodzące się od Pęka, czy też Pękali. A więc np. Pękala z Chmielowa mógł być owym pierwotnym nosicielem pierwszego członu nazwiska, jakiś kolejny potomek przyjął herb Odrowąż i nazywał się już Pękalski. Chociaż jeśli pochodził z Chmielowa powinien nazywać się Chmielowski. Od tej zasady były jednak liczne wyjątki. Proces przyjmowania nazwisk przez polską szlachtę rozpoczął się tak naprawdę dopiero w XIV wieku i trwał przez wiek XV aż do wieku XVI. Pod względem formalnym nazwiska szlacheckie były przymiotnikami utworzonymi od nazw miejscowości, których dani szlachcice byli właścicielami. Były to więc nazwiska zakończone na -ski, -cki. Pierwotnie, do końca wieku XVI, były to nazwiska tylko szlacheckie. Służyły one identyfikacji osoby, określały jej pozycję w hierarchii społecznej, wskazywały na jej szlacheckie pochodzenie. Jednak już w wieku XVII

nastała moda na tego typu nazwiska. Zaczęli przybierać je ludzie z innych stanów dla dodania sobie powagi, zyskania prestiżu; cudzoziemcy, chcący podkreślić w ten sposób swoją polonizację, a także, często w wyniku nobilitacji, pisarze. Wszystko to sprawiło, że nazwiska zakończone na -ski, -cki utraciły swoją szlacheckość. Najpóźniej, bo od końca wieku XVII aż do wieku XIX, nazwiska przyjmowali chłopi. Czynili to pod wpływem nakazów administracyjnych, później zmuszani przez władze państw zaborczych. Nasze nazwisko występuje w starych metrykach, jako " Pękala, Pękała, Pękalina, Pękalanka i najczęściej Pękalski.

W XIV wieku powstaje nowy zamek na kamiennych fundamentach starego położonego na wyspie. Jezioro w tym czasie znacznie się zmniejszyło przez zarastanie i spadek poziomu wód gruntowych, ale nadal stanowiło przeszkodę wodną lepszą niż fosa. Nowy zamek został postawiony przez Odrowążów z cegły w stylu gotyckim i należał do grupy zamków małopolskich nizinnych zazwyczaj ulokowanych w trudno dostępnych rozlewiskach rzek. Do wieku XV zamki wnoszono przede wszystkim na wzgórzach, gdyż takie były wymogi sztuki wojennej tamtych lat. Warownia posadowiona na wzniesieniu mogła się skutecznie bronić. W wieku XVI już coraz częściej używano broni palnej. Odstąpiono zatem na wzgórzu budowla stawała się dogodnym celem artyleryjskich pocisków. Budowanie zaś zamków na terenach nizinnych, w rozlewiskach rzek, oddalało niejako pierwszą linię dział od murów. W połowie XIV wieku zamek wraz ze wsią Sczmelow został sprzedany przez podkomorzego dobrzyńskiego Mikołaja i jego brata podczaszego Marcina z Baruchowa za 6000 grzywien podkomorzemu krakowskiemu Gniewoszowi z Dalewic. Poświadcza to dokument podpisany właśnie w 1388 roku przez królową Jadwigę. Od syna Gniewosza zamek nabył w 1415 roku bliżej nieznanym Deresławem de Sczmelow.

W 1425 zamek przeszedł w ręce Jana z Podłowa herbu Janina. Przedmiotem transakcji była jednocześnie sama wieś Chmielow z wyłączeniem odrębnego sioła składającego się z kilku chat otaczających kościół.

W ostatniej ćwierci XV wieku zamek znalazł się w rękach rodu Szydłowieckich. W 1493 roku zmarł radomski kasztelan Stanisław Szydłowiecki, a będący jego własnością Ćmielów przeszedł w spadku na Jakuba. Był on podskarbisem królewskim i starostą łęczyckim. W 1505 roku Ćmielów otrzymał z jego inicjatywy prawa miejskie magdeburskie obejmując teren wsi przy zamkowej oraz sąsiedniego Szydłowa. Ten przywilej lokacyjny nadał w Radomiu na sejmie król Aleksander Jagiellończyk. Zachowało się imię pierwszego wójta. Został nim Maciej z Iłży. On też był zasadźcą nowego miasta. Podniesiona do rangi miasta miejscowość musiała mieć rynek i ulice. Wytyczono więc ten centralny plac w

połowie drogi między kościołem parafialnym w Szydłowie a zamkiem i wsią Ćmielowem.

W 1509 roku włości ćmielowskie dostają się w posiadanie Mikołaja, a kolejny właściciel Krzysztof Szydłowiecki w latach 1519-1532 wykorzystując miejsce dotychczasowego zamku wzniósł od podstaw nową renesansową budowlę, której ruiny istnieją do dziś.

Zamek składał się z dwóch członów. Na wysepce stawu człon główny tworzyły dwa równoległe budynki połączone od północy budynkiem kaplicy a od południa murem kurtynowym. Na brzegu stawu od strony południowej wzniesiono budynki przedzamcza, które otaczało dziedziniec. Pierwotnie przedzamcze miało prawdopodobnie co najmniej trzy skrzydła i dziedziniec mógł być otwarty tylko od strony stawu. Wjazd na podzamcze prowadził przez trzykondygnacyjną masywną wieżę bramną.

Po śmierci kanclerza, która nastąpiła w 1532 r., dobra ćmielowskie odziedziczyła jego żona, Zofia Targowska, a po niej (zmarła w 1556 r) jej wnukowie. W wyniku podziałów majątkowych spory rodzinne o miasto, zamek i inne włości trwały między Tarnowskimi, Radziwiłłami, później Zborowskimi lat kilkadziesiąt i trudno dziś precyzyjnie ustalić jak przebiegało dziedziczenie. Sytuacja własnościowa ustabilizowała się dopiero, kiedy dobrami ćmielowskimi rządził (od 1606 r) Janusz książę Ostrogi, który wyrównał brzegi stawu do kształtu prostokąta i otoczył go czworobocznym obwodem fortyfikacji bastionowych, wielkim błędem jednak było pozostawienie podzamcza nieosłoniętego wałem ziemnym.

Przyczyną zmian w architekturze zamkowej były czynniki gospodarcze i reprezentacyjne. Do tej pory siedziby panów były najczęściej surowymi warowniami rycerskimi, niezbyt dużymi, niewygodnymi i nastawionymi głównie na cele militarne. Rycerz nie prowadził gospodarki (żył z danin), ani też rozległego życia towarzyskiego. Żył w swej gotyckiej, izolowanej od świata, samotni. Renesans przyniósł, natomiast nową filozofię życia i nowy model spędzania czasu. Mroczne siedziby średniowiecznych rycerzy jak gdyby otworzyły się na zewnątrz. Wpuszczono do nich powiew epoki, której humanistyczne cele rozświetliły mroki średniowiecza.

Rycerz zmienił się w możnowładcę, dla którego podstawowym celem życia było jego przyjemne spędzanie. Chciał mieszkać lepiej i wygodniej, chciał przyjmować gości i prowadzić otwarty dom. Tych potrzeb nie mógł zaspokoić gotycki kasztel. Dlatego też przystąpiono w XVI w. do przekształceń rycerskich siedzib. Krzysztof Szydłowiecki był typowym reprezentantem renesansu. Dlatego też jego ćmielowski dom stał się po przebudowie dumną budowlą o szerokim programie rezydencjonalnym. Autorem reprezentacyjnej siedziby kanclerza Szydłowieckiego mógł być któryś z budowniczych renesansowego

Wawelu, czyli Benedykt Sandomierzanin (przebudował zamek Sandomierski) lub Bartłomiej Bereci.

O jego wspaniałości kronikarz wyraził się: "... *w Ćmielowie Szydłowiecki pobudował tak piękne gmachy i tak je malowidłami ozdobił, że zjeżdżali się ludzie nawet obcy cuda te oglądać: przedsionki, komnaty, izby niewieście, ogrody, spacery, ganki, sale senatorskich narad- wszystko było wspaniałe...*".

Siedziba renesansowego magnata była też ośrodkiem gospodarczym gromadzącym i przerabiającym płody rolne z rozległych przecież włości Szydłowieckich. Dlatego też tak bardzo rozbudowana została część gospodarcza- spichlerze, magazyny, warsztaty. Po śmierci kanclerza w zamku zamieszkała wdowa po nim Zofia Szydłowiecka wraz ze swoimi trzema córkami. Zofią, Krystyną, Elżbietą.

W zamku ćmielowskim urodził się syn Radziwiłła Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej- sławny w polskiej historii magnat Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany "*Sierotką*", marszałek wielki litewski, następnie hetman, kasztelan trocki, wojewoda wileński, pamiętnikarz, pierwszy ordynat w Nieświeżu, znaczący polityk II połowy XVI w. Po śmierci Zofii Szydłowieckiej sprawy spadkowe bardzo się skomplikowały. Ćmielowski zamek przechodził z rąk do rąk, podobnie zresztą jak i miasto. Należał więc w części do córek Krzysztofa i ich rodzin. Był w okresowym posiadaniu Tarnowskich, Radziwiłłów, Zborowskich, Ostrogskich. W 1606 r. książę Ostrogski stał się udziałnym właścicielem zamku i potraktował go, jako swą główną siedzibę. Za jego rządów dokonano kolejnych przeobrażeń w architekturze budowli. W pierwszych dziesiątkach XVII wieku, zgodnie z panującą już i w Polsce modą na warownie typu "*palazzo in fortezza*" (pałac forteczny), powstały wtedy w Ćmielowie umocnienia ziemne o zarysie zbliżonym do prostokąta z czterema bastionami na narożach. W tej warowni, której obronność dodatkowo została wzmocniona rozlewiskami rzeki Kamiennej i podmokłym gruntem, stacjonowała zbrojna załoga mając na wyposażeniu armaty i składy z amunicją. Dowódcą załogi był wtedy kapitan Jakub Szczurski. W 1621 r. fortalicja ta dostała się Franciszkowi księciu Zasławskiemu. Przez następnych kilkadziesiąt lat warownia ta była w rękach tego możnego rodu.

## 2. Od potopu szwedzkiego do czasów współczesnych

Ten wspaniały zamek zachował swoje walory obronne w kolejnej wojnie.

**Okoliczna szlachta, na wieść o zbliżaniu się wojsk szwedzkich uszła do twierdzy i zorganizowała obronę na tyle skuteczną, wspomagana dodatkowo trudnym do przebycia terenem wokół umocnień, iż wydawało się, że nieprzyjaciel zmuszony będzie do rezygnacji z dalszych ataków.** Szwedzi w końcu wycofali armaty i zostawili na miejscu kompanię rajtarów próbując wziąć

zamek głodem. Ale spichrze były pełne zapasów, więc i tym sposobem zamku zdobyć się nie dało.

Panował w owym czasie w Polsce zwyczaj nakazujący gospodarzom dworów i pałaców wykazywać wyjątkową gościnność orszakom weselnym, które objeżdżały okoliczne posiadłości. W orszakach tych znajdowała się młoda para i oczywiście goście. Wesoła kompania wędrowała od dworu do dworu chętnie przyjmowana przez panów, którzy bardzo kochali tego typu zabawy.

Zamknięcie zaś bramy przed zbliżającym się orszakiem było poważnym nietaktem i plamą na szlacheckim honorze. Szwedzi wykorzystali ów obyczaj i zaaranżowali fikcyjne wesele. Żołnierze przebrali się w stroje weselnych gości i podjechali- jedyną wąską drożyną prowadzącą przez bagnisty grunt- pod bramę wjazdową. obrońcy widząc z daleka kolorowy korowód weselny, radośnie powitali przejezdnych, spokojnie otworzyli bramę i jeszcze zachęcali do wjazdu na teren fortyfikacji. Fałszywych gości nie trzeba było długo zapraszać. Rychło wtargnęli na pałacowy dziedziniec.

Był to udany podstęp wojenny, który doradził Szwedom Polak-zdrajca. W krótkim czasie ustał opór całkowicie zaskoczonych obrońców i zamek został zdobyty.



3. Orszak weselny

Tu wkracza na arenę historii Jerzy II Rakoczy. Od 1648 roku ksiązę Siedmiogrodu z rodu Rakoczy, lennik Turcji w Mołdawii i Wołoszczyźnie.

W 1653 roku zawarł sojusz z Rzeczypospolitą, jednak nie przyszedł jej z pomocą w trakcie najazdu szwedzkiego. Za to w 1656 roku sojusz zaproponowali mu Szwedzi w zamian za Ruś Czerwoną i tytuł wielkiego księcia Halicza. Rakoczy jednak 7 września 1656 roku zawarł traktat wieczystej przyjaźni z powstańcami Bohdana Chmielnickiego i nadal prowadził rokowania ze Szwedami.

Spowodowało to wzrost pozycji Rakoczego, co z kolei zmobilizowało Habsburgów do wsparcia Jana Kazimierza, ponieważ obawiali się, że Rakoczy będący lennikiem Turcji może dążyć do zjednoczenia Węgier. W związku z tym Ferdynand III podpisał 1 grudnia 1656 roku przymierze z Rzeczypospolitą. 6 grudnia 1656 roku Rakoczy podpisał ze Szwedami w Radnot na Węgrzech tzw. traktat w Radnot, na mocy którego miał się dokonać rozbiór Rzeczypospolitej, a Rakoczy miał otrzymać m.in. Mazowsze i Małopolskę wraz z dochodowymi złożami soli.

W końcu stycznia 1657 przez Karpaty ruszyła do Polski w kierunku na Lwów armia siedmiogrodzka w sile około 25 tys. wojska, do której w Medyce dołączyło ok. 8–10 tys. Kozaków pod dowództwem Antona Żdanowicza. Paląc i rabując szły wojska Rakoczego przez znękaną potopem szwedzkim Polskę. 12 kwietnia spotkał się Rakoczy z królem szwedzkim na zamku w Ćmielowie, który nie ucierpiał wiele w wyniku oblężenia i nadal stanowił godną królów rezydencję.

Przebieg tego spotkania odnotował w swoim Dzienniku Eryk Dahlberg, oficer szwedzki i zarazem rysownik.

Utrwalił też to wydarzenie na rysunku i tak opisał je w prowadzonym przez siebie pamiętniku:

*"Dnia 6 kwietnia (1657 r.) przyjąwszy zaproszenie, udał się Jego Królewska Mość jako gość do księcia Rakoczego, który stał wtedy główną kwaterą w zamku w Ćmielowie (Smielowa). Jego Królewska Mość znajdował się o dobre pół mili, gdy książę wraz ze swymi generałami w 10000 koni wyszedł na spotkanie. Jego Królewska Mość przyjął piękne powitanie w przytomności obu armii, jakie po dwóch stronach drogi uformowały się w szyku bojowym. Następnie został wwiedziony do głównej kwatery z wielkim weselem, okrzykami radości, przy huku dział i muzyki wszelkich możliwych cudzoziemskich instrumentów. A skoro Jego Królewska Mość spożył południowy posiłek, wrócił z powrotem do swojej głównej kwatery, do Zawichostu, wiedziony w ten sam sposób przez pół mili..."*

Z powyższej relacji wynika, że podczas pobytu obcych wojsk zamek Ćmielowski był w dobrym stanie, skoro służył za główną siedzibę dowództwa.



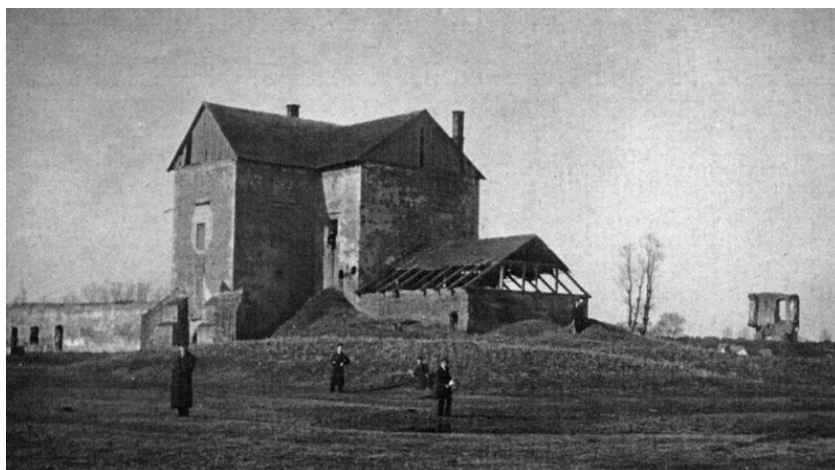


#### 4. Spotkanie króla Karola X Gustawa z Jerzym II Rakoczym w Ćmielowie

Tam obaj najeźdźcy uzgodnili plan marszu na Lublin i Warszawę i kontynuowali rabowanie i palenie Mazowsza, a potem Podlasia. Skończyło się to bardzo źle dla władcy Siedmiogrodu. Rakoczy musiał zapłacić Rzeczypospolitej kontrybucję w wysokości 3 mln złotych, stracił wszystkie łupy wojenne, a niedobitki jego armii znalazły się w tatarskiej niewoli. Wkrótce na Siedmiogród uderzyli Turcy, pozbawiając Rakoczego wpływów w Mołdawii. Rakoczy stracił życie w walkach o tron siedmiogrodzki – zmarł po tym, jak został ciężko ranny w 1660 roku w bitwie pod Kolozsvár.

Zamek ćmielowski ucierpiał z powodu dokonanych przez Szwedów rabunków i rozebrania części murów obronnych i nigdy już nie odzyskał dawnej świetności. Dalsze losy ćmielowskiego zamku to stopniowa degradacja i próby rewaloryzacji. W 1702 r. reszta murów została rozebrana.

W XVIII wieku zmieniali się też właściciele. Po Wiśniowieckich włości ćmielowskie przejęli Lubomirscy, a od połowy XVIII stulecia były w rękach Małachowskich, którzy podjęli próbę odbudowania pałacu i kaplicy (1773 r.). W 1800 r. przerobiono podzamcze na browar- do dzisiaj starsi mieszkańcy Ćmielowa nazywają zamkowe ruiny browarem. Na początku XX wieku urządzono tu łaźnię parową. Zamieszczone wyżej zdjęcie-pocztówka pochodzi z ok. 1910 roku, widać na nich postacie w strojach żydowskich.



### 5. Pozostałości zamku w Ćmielowie w r. 1910

W ubiegłym wieku zmieniali się też właściciele tej zdegradowanej budowli- tak jak włości ćmielowskich. W 1912 r. książę Aleksander Drucki- Lubecki rozparcelował swój okazały majątek. Od niego to zamkowe ruiny wraz z 3,5 ha resztówką kupił Kacper Bargieł i w posiadaniu tej rodziny ten zabytek znajdował się ostatnio. W 1944 r. w bramie wieży ulokowany był niemiecki szpital wojskowy. Mimo zniszczeń, miejsce, na którym znajdują się pozostałości wspaniałej ongiś siedziby, należy do ciekawszych w tej miejscowości. Najlepiej zachowaną częścią jest obecnie budynek bramy wchodzący w skład przedzamcza. Jest on częściowo wykorzystywany, jako mieszkanie i tartak. W jego murach zachowały się pierwotne, renesansowe, detale kamieniarskie, m.in. ciosowe obramienia okienne z wymyślnymi fryzami, tablica fundacyjna Krzysztofa Szydłowieckiego w renesansowej dekoracji umieszczona nad oknem frontowej ściany, strzelnice kluczowe wycięte w płytach piaskowca świadczące o wysokim poziomie twórców tej budowli. Obecnie przedzamcze tworzy zwrócone frontem do miasta długie skrzydło i złączony z nim pod kątem prostym krótszy budynek gospodarczy. Jednak poza wieżą bramną i przylegającą doń od wschodu przybudówką, która przykryta jest dachem, reszta obiektów to tylko ściany bez osłony. Trzy kondygnacyjna wieża wychodzi mocno poza lico fasady.

W przyziemiu dobrze zachowana sklepiona kolebkowo brama przejazdowa zamykana ozdobnymi, drewnianymi wrotami. Arkadę przejazdową ozdabia i wzmacnia ostrołukowe ciosowe obramienie. Następny łuk znajduje się w środku tej długiej sieni, a trzeci na końcu. Po wejściu na mocno zarośnięty krzewami i drzewami dziedziniec można zobaczyć wewnętrzny układ tego oryginalnego założenia z epoki renesansu i jego późniejszych przeobrażeń. Dobrze zachowane fortyfikacje ziemne ograniczają z trzech stron horyzont i wraz z murowanym skrzydłem przedzamcza tworzą zamknięty czworobok-

wycinają kawałek zamkniętej, architektonicznie i krajobrazowo zorganizowanej estetycznie ciekawej przestrzeni. Centralne miejsce zajmuje tu staw owalny, na którego środku wynurzyła się niewielka wysepka z nikłymi już śladami pałacowych zabudowań.



6. Obecny wygląd wieży bramnej i resztek murów - 2006 r.

Kościół w Ćmielowie zbudowany został zapewne w początkach XIV wieku, choć ksiądz Wiśniewski uważa, że może nawet w końcu XIII stulecia. XVIII wieczny inwentarz podaje datę 1313 r. Pierwotnie był więc budową gotycką, ale już na początku XVI w. przeszedł gruntowną restaurację, na którą sporą sumę wyłożył Mikołaj Szydłowiecki, ówczesny właściciel Ćmielowa. Z tamtej przebudowy pozostały do dzisiaj ślady rzeźbionych w kamieniu herbów rodowych Szydłowieckich: Odrowąż, na portalu między zakrystią a prezbiterium, natomiast nad wielkimi drzwiami Odrowąż, Sulima, Łabędź i Jastrzębiec. Zapewne wtedy też świątynia otrzymała nowy i piękny wystrój renesansowy. Kolejnym dobrodziejem kościoła był kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, znany jako hojny mecenas sztuki. Ten okres świetności ćmielowskiego kościoła skończył się jednak dość szybko. W połowie XVI w. na fali rozszerzającej się również w Sandomierskiem reformacji zniszczyli go arianie. Kiedy w następnym stuleciu dysydencki napór opadł, świątynia znowu stała się ośrodkiem katolicyzmu. Później przechodziła różne przemiany w architekturze zewnętrznej, a także w wystroju. Dzisiaj z pierwotnego stylu ostała się jedynie późnogotycka sylwetka.

Tworzy ją jednonawowy korpus i prezbiterium o wyjątkowo ostrych szczytach przykrytych dachami o oryginalnej konstrukcji. Zamiast pierwotnych sklepień kościoła ma sufit z desek. W prezbiterium występują kasetony. Wyposażenie wewnątrz pochodzi przede wszystkim z czasów baroku i rokoka. W ołtarzu głównym- sprawionym przez księdza Jana Celejowskiego- znajduje się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus uważany za łaskami słynący i dlatego też Ćmielowski kościół wpisany został na listę Sanktuariów Maryjnych. Na zastanie tegoż wizerunku znajduje się drugi obraz, autora Buchbindera, przedstawiający św. Stanisława Kostkę. Po jego obu stronach stoją posągi: św. Jana Chrzciciela i królewicza polskiego- Kazimierza. Boczny ołtarz Trójcy Świętej (albo Męki Pańskiej) ufundował ks. Antonio Galangani, który był w Ćmielowie proboszczem w latach 1696-1716. Ten Włoch z pochodzenia, dziekan opatowski, sprowadził ze swej pierwszej ojczyzny rzeźbę Pana Jezusa na krzyżu, dla której wybudował ołtarz. W tle krucyfiksu znajduje się oryginalny widok Jerozolimy. Trzeci ołtarz, oparty o północną ścianę i poświęcony św. Antoniemu, ma bogaty relikwiarz. Czwarty, boczny zaś z rokokowym obrazem św. Anny Samotrzeć (babka Jezusa, matka Maryi, żona św. Joachima) należał ongiś do arcybactwa św. Anny. W zwieńczeniu scena Przemienienia Pańskiego. Rokokowy charakter ma również ambona oraz konfesjonały. Na przedłużeniu prezbiterium ulokowana została, znacznie niższa, sklepiona kolebkowo zakrystia, do której z boku przylega przedsionek z roku 1880. W zakrystii uwagę zwraca ostrołukowa wnęka, tzw. lawetarz, świadczący o gotyckiej proveniencji tej świątyni. W Ćmielowskiej świątyni zachowało się w wewnętrznych i zewnętrznych ścianach kilkanaście tablic epitafijnych i pamiątkowych z różnych okresów. Zwraca uwagę- usytuowany obok ołtarza św. Anny- nagrobek żony Jacka Małachowskiego. Ma on formę przyściennej, boniowanej (tj. rowkowanej) piramidy, utrzymanej w klasycznym stylu. Napis informuje: *"Tu leży Antonina z Rzewuskich sukcesorka cnót, czynów, marszałków, hetmanów i innych pierwszych urzędów siostra, małżonka Hyacynta Małachowskiego, Kanclerza Wielkiego Koronnego Polskiego kollatora (kolator-fundator kościoła lub jego spadkobierca), który trzykroć ministrowstwo składał, a kraj i sejm mu go oddawał, gdy wszyscy urzędu ubiegali się, prywatnie pędząc życie wdowiec pozostał z dwojgiem tylko dzieci: Franciszkiem i Janem z Dukli. Pomnik stawiający, proszą o westchnienie za dobrą panią, matkę i przyjaciółką i przykładną małżonką zmarłą 29 junii 1806 r."*



7. Kościół w Ćmielowie - r. 2006

## Rozdział II

### RODZINA PĘKAŁSKICH W WIEKU XVIII i XIX

#### 1. Ulotne archiwa

Poszukiwanie przodków w kraju, przez który przetoczyło się kilka wojen, to zadanie nader niewdzięczne. Archiwa płonęły śladu po sobie nie pozostawiając lub znikwały w inny sposób. Podam tylko kilka przykładów z moich badań. Metryki z parafii ćmielowskiej zostały po prostu skradzione. Proboszcz nie zadbał o ich właściwe przechowywanie i zabezpieczenie na czas remontu plebanii. Na szczęście nie wszystkie księgi zaginęły.

Archiwum Państwowe w Kielcach Oddział w Sandomierzu za pobraną z góry opłatą 50,00-zł powiadomiło mnie w dn. 07 maja 2001 r., że w posiadanych

aktach parafii Ćmielów znaleziono jedynie dwa dokumenty. Był to akt urodzenia i zgonu Antoniego Penkalskiego, syna Karola i Anieli z Jakóbowskich z r. 1893. Tamże dowiedziałem się, że duplikaty tych akt sprzed 1890 r. zostały zniszczone w czasie działań wojennych w roku 1944, oryginały mogą znajdować się w parafii ćmielowskiej. Natomiast akta po 1893 roku powinny znajdować się w USC w Ćmielowie. Archiwum w Sandomierzu posiada zatem jedynie akta urodzeń z lat 1890-1893 oraz zgonów z lat 1887-1893. W tamtym czasie nie wiedziałem, że Karol Pękalski do mój pradziadek. Dziś wiem, że rodzeństwem dziadka Franciszka (1873-1941) byli m.in.: Marianna (ur. 23 stycznia 1876), Cecylia (ur. 22 listopada 1880 r.), Feliksa Elżbieta (ur. 1 lipca 1889 r.) oraz prawdopodobnie ostatni synek Antoni urodzony w roku 1893, który w tym samym roku zmarł.

W moim rodzinnym Gostyniu Niemcy zarekwirowali wszystkie księgi metrykalne z parafii w powiecie i okolicy i składowali je zwalone na stos bez żadnych zabezpieczeń w miejscowym klasztorze. Szybka ofensywa Rosjan w styczniu 1945 roku spowodowała, że hitlerowcy nie zdążyli wywieźć lub zniszczyć tych ksiąg. Walki o wyzwolenie Gostynia toczyły się niedaleko klasztoru, na szczęście księgi metrykalne ocalały i mogły powrócić do swoich parafii.

Także, kiedy przez kraj przetaczały się epidemie dżumy i cholery, nikt nie prowadził ewidencji zgonów czy narodzin. Ludność wraz z sługami bożymi uciekała przed tą grozą do lasów i tam żyli w stanie pierwotnym.

Na Pomorzu hitlerowcy wymordowali wielu księży i to nawet rodowitych Niemców skutkiem, czego ewidencja zgonów, ślubów i narodzin w wielu parafiach nie była prowadzona w r. 1939.

Kiedy w końcu dotarłem osobiście do parafii ćmielowskiej proboszcz nie chciał mi pokazać ksiąg metrykalnych. Musiałem wspiąć się na szczyty elokwencji, zapłakać nad niedawnym pożarem kościoła św. Mikołaja w Gdańsku, wtrącać co chwila "chwała Bogu", "szczęść Boże" itp. , aby w końcu kapłan ten pozwolił mi w ściśle określonym czasie zajrzeć do tego, co pozostało po parafialnym archiwum. Szkoda, że nie bronił go własną piersią, gdy na niezabezpieczonej plebanii grasowali złodzieje. Ułatwił im to sam strażnik tych ksiąg, gdyż zlecając remont budynku nie przeniósł archiwalnych dokumentów do innego pomieszczenia. Robotnicy skorzystali z okazji i ukradli najstarsze księgi.

Skala trudności w pozyskiwaniu informacji z parafii czy urzędów stanu cywilnego jest ogromna. Przez 30 lat obowiązywała ustawa o aktach stanu cywilnego z roku 1986 nieprzystająca do zmian, które zaszły w XXI wieku. Dopiero od roku 2015 działa nowa ustawa, ale i tam nie uwzględniono wielu postulatów środowiska genealogów. Toczyłem boje z urzędami stanu cywilnego

o wydanie metryk, wiele z nich przegrywałem. Nie miejsce tu na opisywanie tych historii, odsyłam do mojej strony "*Rzeczpospolita Krakowska, czyli Galicja i Lodomeria*", która pokazuje absurdy biurokracji.

<http://zbigkurzawa.eu/GALICJA/index.html>

Skutek istnienia takich ulotnych archiwów jest taki, że mimo zebrania wielkiej ilości danych trudno jest ustalić relacje pokrewieństwa pomiędzy poszczególnymi osobami noszącymi nazwisko Pękalski. Nie zrażając się tymi trudnościami przez blisko 20 lat gromadziłem materiały do napisania tej książeczki, aby je uporządkować i podsumować.

## 2. Czytanie cmentarzy



8. Grobowiec Karola Pękalskiego i rodziny

Archiwa płoną i giną, a cmentarze trwają. Dlatego to właśnie tam można odszukać wiele informacji genealogicznych, które nie istnieją w innej formie.

Wiadomo, że groby nieopłacone przez rodziny są likwidowane bezlitośnie. Cmentarz parafialny musi zarabiać, a nie dbać o groby niczyje. Często chowa się już nieboszczyków w nowej części cmentarza pozostawiając w spokoju groby zabytkowe czy też osób szczególnie zasłużonych dla regionu. Ale stary cmentarz cieszy się większym prestiżem, a więc wykupuje się tam za ciężkie pieniądze miejsca kosztem każdego skrawka ziemi, której potem brakuje nawet na przejścia między grobami.

"Czytanie" cmentarza nie jest sprawą łatwą, trzeba mieć pewien stopień wiedzy genealogicznej oraz wstępne rozeznanie w tym, czego się poszukuje.

Pierwszym i najważniejszym etapem naszych prac będzie oczywiście wytypowanie cmentarza, które powinniśmy odwiedzić. Drugim, uzyskanie u administratora cmentarza następujących informacji:

- czy prowadzona jest ewidencja pochówków (grobów)
- czy w ewidencji wymienione są osoby, których groby chcemy odszukać

Wędrując po cmentarzu zazwyczaj szybko uprzytamniamy sobie jakich spustoszeń dokonują czas i ludzie. Wiele grobów ma mniej lub bardziej zatarte napisy. Nagrobki wykonane z wapienia lub marmuru mają napisy wypłukane przez deszcze, nagrobki z piaskowca złuszczone. Jeśli napisy wykonano z brązu lub mosiądzu, są one z reguły niekompletne.

Wreszcie udało się nam odnaleźć poszukiwany przez nas grób. Najczęściej okazuje się, że nim przystąpimy do pracy, musimy go oczyścić. Do tego oczywiście przydadzą się narzędzia przygotowane przez nas wcześniej. Jeżeli oczyszczamy grób, oczyścimy go w całości, a nie tylko to, co nas interesuje. Przy okazji usuwamy chwasty, samosiejki drzew, wystrzyżmy trawę.

Grób został uporządkowany i oczyszczony. Teraz możemy przystąpić do pracy, która nas tu sprowadziła. Rejestrujemy dane obraną przez nas metodą. I już na wstępie może powstać dylemat. Czy notować tylko dane osobowe? Absolutnie nie - powinniśmy zarejestrować całość inskrypcji. Genealog jest nie tylko zbieraczem-archiwistą. Jest też, a może przede wszystkim, historykiem rodziny i to, co napisano na grobie przybliża go do rozumienia epoki i ludzi, którzy przeminęli.

Rozpoczynając pracę na cmentarzu wypadnie nam zastanowić się nad pewnym problemem - jaki ma być zakres naszej kwerendy. Problem potęguje się, gdy poszukiwania prowadzimy w miejscowości będącej naszym gniazdem rodzinnym. Z reguły poszukiwaliśmy jednego, lub co najwyżej kilku konkretnych grobów. Już po chwili konstatujemy, że nasze nazwisko widnieje na coraz liczniejszych grobach, że pojawiają się nazwiska znane nam już wcześniej z innych kwerend. Są to nazwiska naszych przodków, krewnych z bocznych linii i powinowatych. Jeżeli cmentarz nie jest zbyt duży, zaczynamy sobie zdawać



sprawę, ba zaczynamy mieć pewność, że każdy grób może być ważny. Nie znamy nazwiska - to nic, zaczynamy podejrzewać, że ta osoba też mogła być naszym przodkiem lub powinowatym. A więc trzeba sfotografować wszystkie te groby i dodatkowo poszukać w aplikacji GROBONET pozostałych. Nie było kiedyś takich udogodnień jak cyfrowe cmentarze i wyszukiwarki. Nie ruszając się z domu można obecnie odwiedzać te cmentarze wirtualne, z reguły wraz ze zdjęciami poszczególnych grobów. Niekiedy musimy zapłacić za takie zdjęcie, co jest wymagane np. na cmentarzu Powązkowskim. Nigdy nie byłem na cmentarzu w Kargowej, a odnalazłem tam grób siostry ojca Anieli Pękalskiej i jej męża Kazimierza Niedzielskiego, a także ich syna. Są tam też dostępne zdjęcia tych mogił bez dodatkowych opłat.

Cmentarz w Ćmielowie musiałem odwiedzić osobiście, to przecież gniazdo rodzinne, kolebka rodu, miejsce, gdzie spoczywa wielu ludzi noszących nazwisko Pękalski lub Penkalski. Była to niezapomniana wizyta w maju 2006 r. pełna zaskakujących odkryć. Przede wszystkim spotkanie z nestorem rodu Janem Pękalskim i kilka godzin rozmowy z tym niezwykłym człowiekiem. Walczył z Niemcami w partyzantce, po wojnie szykanowany ukończył studia w dziedzinie leśnictwa, ale w zawodzie pracować mu nie pozwolili. I sprawa najważniejsza. Pan Jan interesował się genealogią i uczynił kwerendę w aktach parafii ćmielowskiej jeszcze przed kradzieżą ksiąg metrykalnych. Dzięki niemu uzyskałem bezcenne dane z historii rodziny, których nie zdobyłbym w żaden inny sposób. Na cmentarzu też zaskoczenie. Imponujący grób pradziada Karola Pękalskiego zmarłego w roku 1903 z piękną figurą Matki Boskiej prawdopodobnie przez niego samego wykonaną. Także wiele grobów z rodowym nazwiskiem, które skrzętnie fotografowałem i zamieściłem na mojej stronie <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/gallery.html>

Przy okazji byłem też w USC Ćmielów oraz w parafii w Denkowie. Inne pobliskie cmentarze odwiedzałem już tylko wirtualnie.

Z czasem eksploracja starych cmentarzy stała się moim pobocznym hobby. Odwiedzałem wpierw te w najbliższej okolicy, a potem inne w odległych nieraz krajach dokumentując wszystko na mojej stronie tym zagadnieniom poświęconej <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/cementary.html> Oprócz odkrycia imponującego grobowca pradziada Karola Pękalskiego z 1903 roku, moim największym osiągnięciem było przywrócenie pamięci o skromnym grobie Zofii Niewiarowicz pochowanej na cmentarzu wejherowskim w roku 1926. Ocalał on tylko dlatego, że stary cmentarz został zamknięty dla dalszych pochówków.

Pamiętać trzeba też o ofiarach licznych w XIX wieku epidemii, które w sposób szczególnie dotkliwy dotknęły nasza rodzinę. Tragiczne żniwo chorób pozostawiało po sobie ślady w postaci cmentarzysk epidemicznych, niemal

zawsze zlokalizowanych na odludziu, zwykle niechętnie odwiedzanych i szybko zapominanych. Pochówki w obrębie takich nekropolii odbywały się cicho i bez zbędnych ceremonii. Ciała zmarłych, zwykle przywiezione wozem na miejsce pochówku, wrzucano do wspólnego grobu, dokładnie wysypanego wapnem. Często pomagano sobie w tej czynności kijem zakończonym hakiem...

Nad grobem najczęściej sypano niewysoki kurhan - mogiłę. Po ustąpieniu epidemii krewni ofiar często wznosili na nim krzyż lub kapliczkę. Bardzo rzadko stawiano w takich miejscach imienne nagrobki. Zdarzało się, że w kolejnych latach takie cmentarzyska były wykorzystywane ponownie. Grzebano na nich innowierców, samobójców, obcokrajowców, czyli osoby, które nie mogły spocząć w poświęconej ziemi cmentarza parafialnego. Czasem przekształcano je w cmentarze wojenne. Większość mogił została jednak zlikwidowana lub całkowicie zapomniana.

Niewiele cmentarzy morowych dotrwało do dziś. Te, które udaje się odszukać, pochodzą najczęściej już z XIX wieku i są smutnym efektem szalejących wówczas kilku epidemii cholery. Pamięć o cmentarzyskach zatarła się wśród mieszkańców miast i wsi. Niemal nikt już nie wie, z jakiego powodu została przed laty wzniesiona samotna kapliczka wśród pól, albo dlaczego na granicy dwóch wsi, przy rozstajach, usypano tajemniczy kurhanik, zwieńczony dziwnym, dwuramiennym krzyżem – karawaką.



**9. Cmentarz choleryczny w Świętokrzyskiem**

O straszliwej epidemii cholery w Ćmielowie, która omal nie doprowadziła do zagłady naszej rodziny w połowie XIX wieku będę dalej pisał.

### 3. Pierwszy z rodu

To zdjęcie dokumentuje moje spotkanie z doktorem Orłowskim u niego w Olsztynie. Bez kwerendy Jana Pękalskiego w aktach parafialnych oraz ustnej relacji i zdjęć Franciszka Orłowskiego, to opracowanie byłoby znacznie uboższe.



#### 10. Jan Orłowski - spotkanie z autorem w r. 2007

Dr Orłowski był lekarzem wojskowym, więc nie mógł wybierać sobie miejsca zamieszkania. Trafił do Olsztyna i tam po zdjęciu munduru przeszedł do cywilnej służby zdrowia.

## RODZINA JANA PEKALSKIEGO Z ĆMIELOWA

[Wypisy z akt stanu cywilnego parafii w Ćmielowie]  
[u = akta urodzonych, m = małżeństw, z = zmarłych]

1797 m / 21 II Ćmielow - **Martinus Ochecki** 33 et **Marianna Antonikowna** 18, testes: Joannes Wysocki et Balthasar Wysocki de Ćmielow.

1797 m / 12 VIII Ćmielow - **Casimirus Chodnikowski** 20 et **Catharina Wuycicka** 18, testes: Simon Wuycicki et Petrus Chodnikowski de Ćmielow.

1799 m / 18 XI Glinka - **Ignatius Kulczuga** 26 et **Margarita Gralewska** 18, testes: Andreas Wiczorek et Mathaeus Piasecki laboriosi.

1802 u / 26 III Ćmielow - **Francisca Chodnikowska**, parentes: Casimirus Chodnikowski et Catharina Woyczycka, patrini: Joannes Mysliwski et Catharina Woyczycka cives.

1802 u / 8 V Ćmielow - **Stanislaus Lenczewski**, parentes: Antonius Lenczewski et Agnes Panaszewska, patrini: Carolus Panaszewski et Hedvigis Olszowska cives Cm.

1802 u / 1 VIII Glinka - **Laurentius Sebastianus Ignatius Kulczuga** parentes: Ignatius Kulczuga et Margarita Groleska, patrini: Blasius Ziętak et Marianna Kolasina laboriosi.

1805 m / 12 II Groiec - **Stanislaus Gnat** 23 et **Marianna Waškowna** 15, tested: Valentinus Przysiwiek, Benedictus Jakubowski et Martinus Spala laboriosi.

1806 u / 23 I Krzczonowice **Agnes Kolassa**, parentes: Valentinus Kolassa et Marianna Pięcionka, patrini: Petrus Kupczynski et Magdalena Pięcienska honesti de Ćmielow.

1809 u / 31 XII Groiec - **Agnes Gnatowna**, parentes: Stanislaus Gnat et Maryanna Waszkowna, patrini: Thomas Smetek et Marianna Biskupka laboriosi.

1815 u / 7 II (Folwarczysko) - **Valentinus Wolański**, parentes: Jacobus Wolański [40 leśniczy] et Hedvigis de Starowicze [35], patrini: - Simon Czerwinski praepositus loci et Francisca Niewieńska nobilis de Bodzechow. [Dane w nawiasie obl. wg. 1817u102.]

1818 m 19 / 3 XI **Zbikiewicz Walenty** 21 m. 5 garncarz s. Jędrzeja Zbikiewicza (+) z Denkowa i Agnieszki z Brydkiewiczow komorą w Denkowie zamieszkałej - **Franciszka Chodnikowska** 16 m. 7 c. N. (+) i Katarzyny z Wojcickich Chodnikowskiej wdowy pos. dom wł. w Ćmielowie.

1820 u 3 / 4 I **Zbikiewicz Tomasz** s. Walentego Zbikiewicza m. k. garncarskiego i Franciszki z Chodrukowskich 18.

1821 m 21 / 27 II **Kulczuga Wawrzyniec** 18 z Glinki s. Ignacego gospodarza

Nie jest sprawą prostą ustalenie wszystkich związków rodzinnych nie dysponując pełnymi danymi z akt stanu cywilnego, czy z ksiąg metrykalnych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że z Janem Pękalskim łączy nas żeńska linia rodu Ochockich rozpoczynająca się od Marcina Ochockiego, (ur. 1764), który w r. 1797 r. poślubił 18. letnią Mariannę Antonikówną. W tym samym roku Kazimierz Chodnikowski poślubił Katarzynę Wójcicką. Ważne jest też małżeństwo z r. 1799 Ignacego Kulczugi z Małgorzatą Gralewską. W końcu pojawia się Marcin Pękalski, tkacz z Denkowa ur. w r. 1805, który bierze za żonę Jadwigę Wójcicką. Wkrótce rodzi się im syn Jan i córka Marianna, która umiera w dzieciństwie.

Nie jest to jednak ten Jan Pękalski, ojciec Karola, chociaż i on pochodził z Denkowa i był tkaczem. Z pewnością byli w jakiś sposób spowinowaceni, jak wszyscy Pękalscy z Denkowa i Ćmielowa. Odrębną linię tego rodu stanowiła tzw. linia ożarowska. Zamieszkali tam Pękalscy mogli mieć wspólnego przodka, najpewniej w XVII wieku, potem linie te rozdzieliły się i wyodrębniły.

Poszukiwania koncentrowały się na ustaleniu rodziców Jana-tkacza, męża Agnieszki Ochockiej i ojca Karola, mego pradziadka ze strony ojca. W jakiś tajemniczy sposób imiona jego rodziców nie znalazły się w wypisie z aktu zgonu, akt urodzenia nie odnalazł się ani w Ćmielowie, ani też w Denkowie. Po dokładnym zbadaniu metryk z Denkowa (dzisiaj dzielnica Ostrowca Św.) doszedłem do wniosku, że nasz ród stamtąd się wywodzi. Oczywiście blisko było do Ćmielowa i tam to nazwisko często występuje, ale statystyka wskazuje zdecydowanie na Denków. To tam mamy ślub Anny Pękalanki (forma oboczna nazwiska stosowana dla panny) w niedzielę 7 maja 1679 z Mateuszem Czubatym. W lutym 1683 r. Zofia Pękalska wychodzi za Pawła Kołodziejczyka, a 28 listopada 1713 r. Barbara Pękalska poślubia Józefa Lesika. To dobitnie świadczy o licznej populacji zarówno szlachty, jaki i włościan i rzemieślników o tym nazwisku usadowionej tam od czasów, kiedy w ogóle nadawano nazwiska. Te najwcześniejsze małżeństwa znamy tylko z zachowanych spisów, a pierwsze, pełne metryki pojawiają się w wieku XIX. Pamiętamy, że potop szwedzki dotarł na te ziemie, żołdacy rabowali i palili kościoły, a wraz z nimi księgi parafialne. Zdrajca Jerzy II Rakoczy był protestantem i także nie szanował dobytku i dokumentów kościoła katolickiego. Wiele jeszcze wojen przetoczyło się przez te ziemie i dlatego cieszymy się każdym zachowanym przekazem z tych odległych czasów.

- i Małgorzaty z Gralewskich – **Agnieszka Kolasa** 15 z Krzczonowic c. Walentego Kolasy gospodarza i (+)
- 1827 u 23 / 14 II **Ochocka Julianna** c. Marcina 56 rzeźnika i Marianny z Kucharskich 42.
- 1827 m 40 / 20. XI **Pękalski Marcin** 22 tkacz z Denkowa, s. Kazimierza (+) i Julianny z Fraudowskich (?) – **Jadwiga Wójcicka** 21 z Ćmielowa, c. Ksawerego i Julianny z Fraudowskich (zob. 1803 m 132, 1804 u 132 **Teresa Jadwiga Wójcicka** \*14 X 1804 r., rodz. Ksawery Wójcicki i Julianna Fraudowska).
- 1828 m 6 / 12 II **Linczeski Stanisław** 25 m, 4 rymarz s. Antoniego Linczeskiego i Agnieszki z Panaszewskich – **Agnieszka Gnatowna** 18 c. Stanisława Gnata i Marianny z Wańkow z Groyca.
- 1829 u 89 / 29. VIII **Pękalski Jan** s. Marcina 23 tkacza i Jadwigi z Wójcickich 25.
- 1830 u 104 / 11 I **Pękalska Marianna** c. Marcina 27 tkacza i Jadwigi z Wójcickich 26.
- 1833 z 63 / 16. III **Pękalska Marianna** 2 1/2 c. Marcina w wojsku zostającego i Jadwigi z Wójcickich.
- 1833 u 99 / 1 VIII **Linczoski Piotr** s. Stanisława Linczoskiego 32 rymarza i Agnieszki z Gnatow 24.
- 1834 m 10 / **Wolański Walenty** 19 wdowiec czeladnik fabryki fajansu ur. w Folwarczysku s. Jakuba i Jadwigi ze Starowiczów z Potoczku – **Zofia z Liśkiewiczów Dziewiecka** 32 wdowa ur. w Rudzie c. Ignacego Liśkiewicza (+) i Agnieszki z Kwapisow (+).
- 1838 u 8 / 19 I **Wolańska Agnieszka** c. Walentego 28 czeladnika fabryki fajansu i Zofii z Liśkiewiczów 38.
- 1844 m 7 / 6 II **Zbikiewicz Tomasz** 23 s. Walentego Zbikiewicza i Franciszki z Chodnikowskich – **Julianna Ochocka** 17 c. Marcina Ochockiego i Marianny z Kucharskich.
- 1845 u 89 / 5 VII **Kulczuga Antonina** c. Wawrzyńca Kulczugi 44 cieśli i Agnieszki z Kolasów 41.
- 1847 u 151 / 30 XII **Pękalski Sylwester** s. Jana 26 tkacza i Agnieszki z Ochockich 23.
- 1848 u 49 / 17 VII **Pękalska Anna** c. Jadwigi Pękalskiej 40 stanu wolnego.
- 1849 z 188 / 9 X **Pękalski Ignacy** 45 zost. ż. Katarzynę z Granatów.
- 1850 u 133 / 3 XI **Pękalski Karol** s. Jana 30 tkacza i Agnieszki z Ochockich 26.
- 1851 z 7 / 5 II **Pękalski Sylwester** 3 s. Jana i Agnieszki z Ochockich.
- 1854 u 5 / 13 I **Pękalska Antonina** c. Jana 32 tkacza i Agnieszki z Ochockich 29.

Jak ustaliłem na podstawie akt parafii w Denkowie nasz przodek nr 1 to Piotr Pękalski ur. ok. roku 1740, który poślubił Kunegundę (+1799) nieznanego nazwiska panińskiego ok. r. 1767. Mieli oni piątkę dzieci.

1/ Ludwika ur. 25.08.1764

2/ Annę ur. 25.07.1766

**3/ Jana Pękalskiego ur. 7.VII.1769, z zawodu garncarza**

4/ Brygidę - ur. 2.10.1774

5/ Klarę ur. 19.08.1778

Wiadomo, że Jan miał trzy żony, chociaż zachował się w całości akt małżeństwa z dn. 22.VI.1822 r. tylko z trzecią żoną Gertrudą Kępińską (c. Ignacego i Agaty). Z innych dokumentów wynika, że jego druga żona Wiktoria Cichowska zmarła, a miał z nią trójkę dzieci.

1/ Annę, ur. 7.06.1814

2/ Jakuba ur. 4.07.1817

3/ Wojciecha ur. 11.04.1820

W tym samym roku, co Wojciech urodził się jego syn, ale co jest oczywiste, matką jego nie była jego żona, a służąca Gertruda. Dostał on to samo imię i nazwisko, co jego ojciec, a kiedy Wiktoria Cichowska wkrótce zmarła, poślubił on Gertrudę 22.06.1822 r. Jak ustaliłem, Jan Pękalski-senior miał z pierwszą żoną Anną (córką Mikołaja z Daniszewskich) także czwórkę dzieci tj.

1/Antoniego ur. 19.06.1800

2/ Marcina ur. 01.05.1804

3/ Magdalenę ur. 16.04.1806

4/ Petronelę ur. 26.05.1810

Dlaczego stary już i zamożny Jan poślubił młodą dziewczynę służącą? Na początku XIX wieku 53 lata to był wiek mocno zaawansowany. Otóż przede wszystkim, że miał trójkę małych dzieci w wieku 2, 5 i 8 lat, którymi wcześniej Gertruda się zajmowała. A głównie dlatego, że była ona matką jego nieślubnego syna Jana Pękalskiego juniora. Małżeństwo starego Pękalskiego z dwa razy młodszą od niego Gertrudą bez tych wcześniejszych uwarunkowań, byłoby niemożliwe. Skandal jednak był wielki w małej społeczności Denkowa, gdyż Wiktoria zmarła 5 marca 1822 r. (z aktu zgonu dowiadujemy się, że była córką Macieja), a ślub Jana z Gertrudą odbył się już 26 czerwca tego samego roku. Żadnego okresu wymaganej przez obyczaj żałoby, ale dwukrotne zapowiedzi odbyły się zgodnie z regułami kościoła.

Przytoczę tutaj tak ważny dla nas akt ślubu Jana Pękalskiego z Gertrudą.

Miejsca, których nie można przeczytać wykropkowałem.

*"Roku tysiąc osiemset dwudziestego drugiego miesiąca czerwca przed nami Plebanem Denkowskim pełniącym obowiązki urzędnika stanu cywilnego*

*obwodu opatowskiego w Województwie Sandomierskim stawił się Jan Pękalski  
mayster rzemiosła Garncarskiego lat mający podług metryki kościoła  
Denkowskiego pięćdziesiąt trzy w tym mieście zamieszkały, syn Piotra  
Pękalskiego i Kunegundy Kaczała (Kaczała), oboje dawno zmarłych, wdowiec  
po zmarłej małżonce drugiego ślubu Wiktorii Cichowskiej. Stawiła się także  
Gertruda Kępińska, panna lat dwadzieścia pięć mająca podług metryki z tegoż  
kościółka w mieście Denków za Dziewkę służąca i tu zamieszkała, córka Ignacego  
Kępińskiego już zmarłego i Agaty Zalesiewicz dotąd żyjącej wdowy w mieście  
Denkowie komorą zamieszkałej do tegoż aktu asystującej. Strony stawające  
żądadzą abyśmy.....pomiędzy nimi aktu małżeństwa.....Zapowiedzi ogłoszone  
były przez....Gminnego pisarza dnia drugiego miesiąca czerwca, drugie zaś w  
dniu dziewiątego tegoż miesiąca o godzinie dwunastej w południe.....  
Przychylił się zatem do żądania stron....iż Jan Pękalski i Gertruda Kępińska  
połączenie zostali węzłem małżeńskim... przy obecności Piotra Sędrowskiego,  
tkacza, lat 37 mającego, Jana Kozłowskiego lat 53 mającego garncarza,  
Antoniego Daniszewskiego lat 24, wszystkich w mieście Denkowie  
zamieszkałych, po przeczytaniu tego aktu podpisaliśmy go...  
Józef Czerwiński, pleban Denkowski, Urzędnik Stanu Cywilnego..."*

Ojciec Gertrudy Ignacy zmarł 21.02.1815, a matka Agata Zalesiewicz odeszła 28.07.1835 r. Urodziła się ona w r. 1771, rok po ślubie Ignacego Zalesiewicza (+1810) z Jadwigą z Daniszewskich (+1819). Siostra Gertrudy Rozalia zmarła w r. 1834.

Natomiast Kunegunda Kaczała, żona Piotra Pękalskiego, mogła pochodzić z parafii Szewna, wieś Częstocice, niedaleko Ćmielowa i Denkowa. Urodzony w roku 1717 Paweł Kaczała (rodzice Stanisław i Marianna) mógł być jej ojcem. Nazwisko Sędrowski (Sendrowski) było popularne w Denkowie. Piotr urodził się 28.05.1885, jego rodzice to Augustyn i Katarzyna. Zmarł w r. 1836. Antoni Daniszewski ur. 1797 ożenił się w r. 1820 z Kunegundą Szymańską i zmarł młodo w r. 1837.

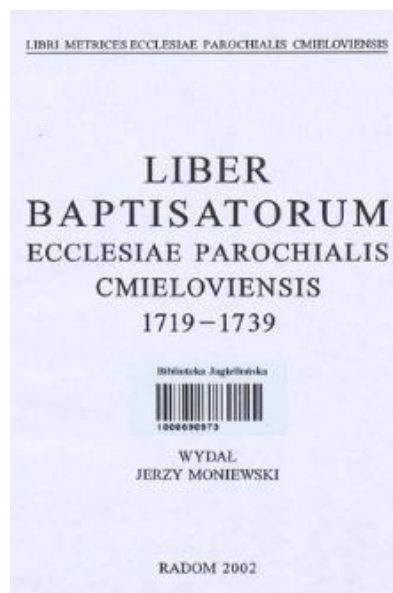
Jako sukcesora w zawodzie garncarskim Jan wyznaczył swego syna z pierwszego małżeństwa Antoniego, który w chwili trzeciego ślubu ojca miał 22 lata. A jego nieślubny początkowo syn poszedł do terminu i wyuczył się na tkacza. Szacowny to był zawód - cechy tkaczy, farbiarzy, płócienników i powroźników znane były od najdawniejszych czasów. W roku 1445 w Radomiu nadał Zbigniew Oleśnicki przywilej bractwu tkackiemu. Tkacze dawniej mieli także obowiązek robienia sieci i dopomagania przy połowie ryb (wg "Ekonomiki" Haura z XVII w.).



Również Marcin Ochocki, rzeźnik z zawodu miał drugą żonę Mariannę z Kucharskich, która w wieku 42 lat urodziła mu córkę Juliannę, co stało się 14 lutego 1827. Julianna wyszła za mąż za Tomasza Zbikiewicza w roku 1844 i w podobnym czasie jej krewna Agnieszka wyszła za Jana Pękalskiego, gdyż 30 grudnia 1847 rodzi się ich syn Sylwester, który umrze w wieku trzech lat. Następnym był Karol urodzony 3 listopada 1850 r. Cztery lata później na świat przysła Antonina.

Podtrzymanie rodu to główna zasługa prapradziada Jana ur. 1769, garncarza z zawodu z parafii Denków. Jego trzy żony dały mu w sumie 10. dzieci, z których córki wychodziły za mąż w Denkowie, a synowie brali żony na ogół w Ćmielowie. Akta parafialne z Denkowa zachowały się lepiej niż akta z Ćmielowa, gdzie mamy potężne luki. Zarówno zgony, jak i urodzenia i małżeństwa mamy tylko z lat 1889-93. Są to jednak tylko metryki zindeksowane przez genealogów wiemy, że zasoby metrykalne tej parafii są bogatsze, sam do nich przecież dotarłem.

Historyk-regionalista Jerzy Moniewski ocalił najstarsze dokumenty wydając je w swoim wydawnictwie. Są tam urodzenia z lat 1601-1719, małżeństwa z lat 1739-1797 i zgonów 1719-1825. Być może dzięki tym dokumentom można by ustalić przodków Piotra i Kunegundy i sięgnąć do wieku XVII, ale można je tylko przeglądać w Bibliotece Narodowej.



## 11. Księga urodzin 1719-1739

1855 z 79 / 12 III Pękalska Agnieszka z Ochockich 32, c. Wawrzyńca i Marianny, zost. m. Jana Pękalskiego, s. Karola i c. Antoninę.

1855 z 181 / 22 V Pękalski Jan 34 wd. tkacz, zost. s. Karola i c. Antoninę.

1856 z 57 / 31 I Pękalska Antonina 2, c. Jana (+) i Agnieszki z Ochockich (+), zost. brata Karola.

1857 u 17 / 27 I Zbikiewicz Jan s. Tomasza 38 garncarza i Julianny z Ochockich 34.

1861 m 3 / 22 I Linczewski Piotr 28 fabrykant fajansu s. Stanisława i Agnieszki z Szalapskich – Agnieszka Wolańska 23 c. Walentego Wolańskiego i Mariany z Liśkiewiczów (+).

1862 m 21 / 26 II Pękalski Piotr 19 m. p. płócienniczej z Denkowa, s. Jakuba (+) i Katarzyny z Feliksowskich (+) – Antonina Kulczuga 16 c. Wawrzyńca Kulczugi i Agnieszki z Kolasów.

1863 u 108 / 22 VII Lenczewska Marianna c. Piotra 30 murarza i Agnieszki z Wolańskich 28.

1864 u 126 / 5 VIII Pękalski Roman s. Piotra 22 m. p. tkackiej i Antoniny z Kulczugów 19.

1867 u 9 / 9 I Pękalski Jan s. Piotra 25 gospodarza i Antoniny z Kulczugów 20.

1869 u 147 / 8 IX Pękalska Marianna c. Piotra 26 tkacza i Antoniny z Kulczugów 23.

1869 z 21 / 16 I Pękalski Jan 2 s. Piotra i Antoniny z Kulczugów.

1869 z 133 / 11 IV Pękalska Katarzyna z Granatów 58 c. Wojciecha Granata (+) i Rozalii z Dryzdowskich (+)

1870 m 4 / 2 II Pękalski Karol 19 szewc, s. Jana (+) i Agnieszki z Ochockich (+) – Aniela Jakubowska 16 c. Aleksandra Jakubowskiego rolnika i Marianny z Szalapskich.

1872 u 122 / 3 IX Pękalski Stanisław s. Piotra 31 tkacza i Antoniny z Kulczugów 26.

1873 u 117 / 16 IX Pękalski Franciszek s. Karola 23 szewca i Anieli z Jakubowskich 20.

1875 u 78 / 3 VII Pękalski Józef s. Piotra 33 gospodarza i tkacza i Antoniny z Kulczugów 28.

1876 u 19 / 23 I Pękalska Marianna c. Karola 25 rolnika i Anieli z Jakubowskich 23.

1878 u 50 / 25 I Pękalski Jan s. Piotra 38 wyrobnika i Antoniny z Kulczugów 30.

Ojcem Agnieszki Ochockiej był Wawrzyniec Ochocki (ur. w r. 1785), a matką Marianna z nieznanym nazwiskiem panieńskim. Prawdopodobnie obaj Ochoccy byli braćmi.

Wspomnieć też trzeba o Piotrze Pękalskim z Denkowa ur. 1843, który w roku 1862 wziął ślub Katarzyną z Feliksowskich. Jego ojciec Jakub urodził się też w Denkowie w roku 1821 z ojca Kazimierza i matki Urszuli z Wielguszowskich. Z tego małżeństwa było kilkoro dzieci, m.in. Roman, Jan i Marianna.

Powiązania z rodziną Szałapskich są dość nikłe. Oto Aniela Jakubowska (ur. 15 lipca 1853 r.-zm. 1927), żona Karola miała matkę Mariannę z Szałapskich.

Agnieszka Szałapska występuje w akcie małżeństwa z 22 stycznia 1861 r., jako matka Piotra Linczewskiego (Lenczewski), fabrykanta fajansu, który poślubił Agnieszkę Wolańską. Z tego związku urodziła się 22 lipca 1863 r. wspomniana wyżej Lenczewska Marianna (córka Piotra murarza i Agnieszki z Wolańskich). To z jej małżeństwa z Janem Zbikiewiczem (1881) urodziła się w r. 1883 Julia Zbikiewicz, matka Jana Pękalskiego (1915). Związek naszej rodziny z nestorem rodu Janem Pękalskim występuje zatem, aż na trzech szczeblach - przede wszystkim w samym rodzie Pękalskich, dalej Ochockich oraz Szałapskich. Luki w księgach parafialnych Ćmielowa i Denkowa nie ułatwiają tego zadania.

Wzajemnych relacji pokrewieństwa i powinowactwa między populacjami z tych dwóch parafii są dziesiątki, jeśli nie setki i niełatwo je wyłowić.

Warto też przyjrzeć się losom nieślubnej córki Jadwigi Pękalskiej (ur. ok. 1808), być może siostry Marcina lub Jana? Anna urodziła się 17 lipca (tak, jak i ja tylko 96 lat wcześniej) 1848 r., dalsze jej losy są nieznane.

Do tej pory nie wspominałem o powiązaniach rodziny Pękalskich z rodziną Orłowskich. Próżno bowiem w aktach parafialnych szukać dokładniejszych danych. Wszystko, co mi na temat tego wiadomo wiem od dr. Jana Orłowskiego z Olsztyna, który badał historię swego rodu. Dopiero pisząc te słowa dotarłem do metryki Pawła Orłowskiego, który w r. 1781 ożenił się z Katarzyną Gromkówną w Denkowie. Potwierdza to słowa dr. Orłowskiego, że przybyli oni z Grocholic (wieś w pobliżu Ćmielowa) i tu rodziły się ich dzieci. Katarzyna Gromek (ur. 1756) z Grocholic była gospodynią pierwszego dyrektora fabryki porcelany Adolfa Fryderyka Vatke, a jej mąż Paweł pracował w tej fabryce. Mieli oni trzech synów, w tym Józefa (1829-1871) i Aleksego zwanego także Alojzym (ten z kolei miał syna Jacka). Orłowscy żenili się z paniami Zaborskimi, przy czym wpierw Józef będąc wdowcem poślubił (r. 1856) młodą Mariannę Zaborską (córka Jana).

1880 u 165 / 22 XI Pękalska Cecylia c. Karola 30 szewca i Anieli z Jakubowskich 27.

1881 u 65 / 25 V Pękalska Waleria Felicjana c. Piotra 38 tkacza i Antoniny z Kulczugów 34.

1881 m 37 / 16 XI Zbikiewicz Jan 24 garncarz s. Tomasza i Julianny z Ochoczych – Marianna Lenczewska 18 c. Piotra i Agnieszki z Wolańskich.

1883 u 154 / 11 XII Zbikiewicz Julia c. Jana 25 gospodarza i Marianny z Lenczewskich 19.

1884 u 37 / 5 III Pękalski Kazimierz s. Piotra 40 tkacza i Antoniny z Kulczugów 39.

1887 u 2 / 2 I Pękalska Walentyna c. Piotra 45 tkacza i Antoniny z Kulczugów 41.

1889 u 96 / 1 VII Pękalska Feliksa Elżbieta c. Karola 39 fabrykanta i Anieli z Jakubowskich 36.

\* \* \*

1901 m 46 / 25 XI Józef Pękalski 26 s. Piotra i Antoniny z Kulczugów ur. i zam. w Ćmielowie – Julia Zbikiewicz 18 c. Jana i Marianny z Lenczewskich ur. i zam. w Ćmielowie; świadkowie: Hipolit Lenczewski 28 i Jan Dańka 27 robotnicy fabryczni; ślubu udzielił ks. Antoni Rokicki proboszcz.

1904 u 165 / 7 VIII Kazimierz Pękalski s. Józefa 28 robotnika fabryki porcelany i Julianny ze Zbikiewiczów 20; r. ch.: Hipolit Lenczewski i Marianna Kawecka, chrzcił ks. Jan Wiśniewski wikary. [Janików 25 III 1940 małż. z Julianną Krupa.]

1905 u 164 / 1 IX Stefania Bronisława Pękalska c. Stanisława 33 zduna [kaflarza] i Anny z Banaszków; r. ch.: Jan Dańka i Julianna Pękalska.

1907 u 73 / 1 IV Bolesław Franciszek Pękalski s. Józefa 31 fabrykanta i Julianny ze Zbikiewiczów 23; r. ch.: Antoni Zbikiewicz i Antonina Tomczyk, chrzcił ks. Adam Popkiewicz wikary. [8 IX 1934 ślub z Eugenią Sendys.]

1910 u 40 / 2 III Helena Pękalska c. Józefa 34 robotnika fabrycznego i Julianny ze Zbikiewiczów 26; r. ch.: Jakub Dańka i Anna Lenczewska, chrzcił ks. ks. Karol Pytlewski wikary. [2 III 1935 poślubił Mieczysława Pawła Sroczyńskiego.]

1913 u 13. / 31 XII 1912 Piotr Antoni Pękalski s. Józefa 37 zduna [kaflarza] i Julii ze Zbikiewiczów 29; r. ch.: Stanisław Zbikiewicz i Marianna Pękalska, chrzcił ks. Ignacy Życiński wikary. [19 II 1944 małż. z Marią Wiesławą Kędziorską.]

1915 u 171 / 4 IX 20<sup>oo</sup> Jan Pękalski s. Józefa 40 zduna [kaflarza] i Julianny ze Zbikiewiczów 32; r. ch.: Jan Pękalski i Jadwiga Zbikiewicz, chrzcił ks. Ignacy Życiński wikary; świadkowie: Jan Tomczyk 56 kołodziej i Franciszek Kwiatkowski 40 szewc.

Teofil (syn Jacka), także już wówczas wdowiec, poślubił (1884) wdowę po Pawle Zaborskim Mariannę z domu Chodurską, czyli moją prababkę ze strony ojca. Razem wychowywali zatem moją babkę Mariannę, która drugiego ojca zyskała w wieku lat czterech, a potem wyszła za mąż za Franciszka Pękalskiego. Nic o tych koneksjach z Orłowskimi nie wspomina przekaz rodzinny. A przecież dwukrotnie żenili się oni z moimi prababkami, chociaż nie wiadomo nic o ich ewentualnym potomstwie z tych związków. Istnieje jednak zdumiewający przekaz genetyczny. Otóż dr Orłowski był zdumiewająco podobny do mego ojca Tadeusza, co widoczne jest na poniższej fotografii.



**12. Dr Jan Orłowski i Jan Pękalski r. 2001**

Nie sposób obecnie jednoznacznie odpowiedzieć kiedy nastąpił ten transfer genów, ale niewątpliwie on był i ujawnił się w drugim bądź trzecim pokoleniu i ma związek z rodziną Zaborskich. Nie idzie tutaj jedynie o podobieństwo fizyczne. Jan Orłowski, jako znający się na medycynie i genetyce lekarz, zwrócił uwagę w rozmowie ze mną na podobne choroby, na które obaj z moim ojcem cierpieli!

Mamy poza tym do czynienia z długim ciągiem Zaborskich-młynarzy z pokolenia na pokolenie. Pierwszy w tym łańcuchu to Wojciech Zaborski ur. ok. 1780 r. Dalej syn jego Jan ur. ok. 1809 r., ojciec Marianny nr 1. I Paweł Zaborski (1841-1884), mąż Marianny z Chodurskich. Czy był synem Jana nie wiemy. Sam Jan jest synem Franciszka Orłowskiego (1898-1955), którego ojcem był z kolei Antoni pochodzący ze związku Józefa z młodą Marianną Zaborską. Trudno ten supeł rodzinny rozwikłać. Byłem tam, gdzie płynie dopływ Kamiennej i gdzie przez 300 lat stał młyn Zaborskich w obecnej dzielnicy Ćmielowa, a kiedyś wsi Wióry. Długo stałem patrząc na bystry nurt rzeki i czułem, że są tu moje korzenie. Ale to drzewo genealogicznie nie rośnie prosto, gałęzie ma splątane, powikłane, a niektóre wyrwane przez wojny i epidemie. Pewnych tajemnic rodzinnych nigdy nie rozwikłałem, ale uważam, że to co odkryłem w ciągu tych dwudziestu lat powinno wystarczyć młodszemu pokoleniu do odtworzenia skomplikowanych dziejów tych Pękalskich, którzy żyli i umierali na obszarze obecnego powiatu ostrowieckiego liczącego 46 kilometrów kwadratowych. Oczywiście trzeba brać także pod uwagę Nieborów, Tarłów i inne rejony, gdzie rodzina nasza wędrowała w poszukiwaniu pracy.

#### 4. Straszliwe żniwo cholery

W wieku XIX przez południową Polskę przeszło pięć wielkich epidemii cholery, które każdorazowo pustoszyły miasta i osady. W r. 1827 w Ćmielowie były 144 domy i 1.273 mieszkańców, a w roku 1860 tylko 79 domów i 704 mieszkańców. Wymierały całe rodziny, nie było komu uprawiać roli, ani pracować w zakładach i manufakturach.

Fatalne warunki sanitarne oraz ciężka sytuacja ekonomiczna, a także ciemnota i zacofanie przyczyniały się do rozwoju takich chorób, jak: "skrofuły", "gruźki płucne", tyfus, który od dłuższego czasu zagnieździł się na stałe. Choroby te powodowały wysoką śmiertelność. *"Silnych, zdrowych u nas mało - pisał, dr Łuszczkiewicz - a starców na palcach by policzył"*. Do najgroźniejszych chorób przybierających charakter epidemii należała w XIX w. cholera. Epidemie cholery wybuchały falami, co kilka lat. W 1837 roku w obwodzie kieleckim zachorowało 718 osób, w 1848/1849 - 798 osób, w 1852 r. - 552 osoby i w 1866/1867 - 1030 osób. Początkowo nie uważano cholery za chorobę zakaźną. Rada Lekarska - najwyższy autorytet w dziedzinie medycyny w Królestwie Polskim - wyrażała pogląd, że *"cholera nie udziela się ani przez ludzi, ani przez rzeczy, ale przez ogólne w powietrzu rozpostarte miazmata"*. Jeden z lekarzy otrzymał nawet od Rady upomnienie *"za rozsiewanie pogłosek, jakoby cholera była chorobą zaraźliwą"*.

Obok przepisów zmierzających do podniesienia stanu sanitarnego i higieny wydawane były też dość naiwnie brzmiące wskazówki, jak ustrzec się zachorowania na cholere: *"skoro, kto doświadczy rozwolnienia - na brzuch zawiązać pas flanelowy, napić się mięty, melisy lub herbaty. Jeżeli język obłożony, brak apetytu, smak gorzki - natychmiast wziąć proszek z ipekakuany na wymioty, a jeżeli mimo tego rozwolnienie trwać będzie - zaraz poradzić się lekarza. W obecnym czasie najlepszym pokarmem jest kawałek mięsa wołowego i kieliszek wódki piołunowej lub wina gorzkiego"* (zalecenia Urzędu Lekarskiego rozpowszechniane w guberni radomskiej w 1852 r.)

W 12 lat później magistrat miasta Kielc przestrzegał już przed nadmiernym używaniem napojów alkoholowych w celach profilaktycznych oraz przed *"myciem się zaraz po jedzeniu lub spotnieniu"*.

Przy leczeniu cholery stosowano metody tradycyjnie praktykowane: upusty krwi, przystawianie pijawek, robienie lewatywy oraz podawanie środków *"laksujących i womitnych"*, które jeszcze pogłębiały występujące u chorych zaburzenia wodno-elektrolitowe. Proces tych zaburzeń był w owych czasach obcy światu lekarskiemu. Nie znano również (do 1883 r.) etiologii i epidemiologii cholery, nie było leków o działaniu etiotropowym.

Mała skuteczność działania oficjalnej medycyny sprzyjała grasowaniu oszustów sprzedających cudowne leki - "*święte proszki z Palestyny*" skutkujące przy używaniu ich łącznie z okowitą, "*pigułki amerykańskiej przeciwcholerycznej*" oraz szerzeniu się przesądów i zabobonów. Ludność zwłaszcza wiejska próbowała zwalczyć cholera na swój sposób. Trumny zmarłych na tę chorobę związywano witką w przeświadczeniu, że cholera nie wydostanie się z trumien i nie będzie szkodzić żywym. Ludność żydowska urządzała symboliczne pochody przy odgłosie muzyki i śpiewów wyganiając cholera poza rogatki miasta. Odbywano też gody weselne na cmentarzach cholerycznych. Mieszkańcy Bielin pod Kielcami wygaśnięcie cholery w swej wsi przypisywali faktowi pochowania zmarłej na cholera kobiety w pozycji pionowej do góry nogami.

W wielkiej epidemii cholery w latach 1855/56 wspomniany wcześniej Józef Orłowski, jako jedyny przeżył tracąc żonę i dwie córki. W maju 1855 r. zmarł Jan Pękalski, a wcześniej 12 marca zmarła jego żona Agnieszka. Ich 3. letni synek Sylwester zmarł jeszcze w 1851, a więc przed wybuchem epidemii, pewnie na jakąś chorobę dziecięcą. Jego siostra Antonina i Karol przeżyli rodziców, ale dziewczynka zmarła w wieku pięciu lat na początku roku 1856, a więc na cholera. Los naszej rodziny zawisł na Karolu, który nie mając jeszcze sześciu lat został pełnym sierotą pozbawionym także rodzeństwa. Zaopiekowali się nimi krewni, najpewniej był to Marcin Pękalski, także tkacz z Denkowa, jak Jan. Miał on już kilkunastoletnie dzieci, a do zaopiekowania się Karolem mogło go skłaniać oprócz pokrewieństwa, pochodzenie z tej samej parafii oraz przynależność do cechu tkaczy. Na koszty utrzymania i nauki Karola składała się cała społeczność Ćmielowa. Zachowały się śladowe rejestry składek pobieranych w szkole, które za Karola płaciły inne osoby. Dość szybko chłopiec został oddany do terminu u szewca, gdzie uczył się zawodu i miał utrzymanie w zamian za wysługiwanie się majstrowi. Te pięć lat spędzone na terminowaniu były ciężkie dla biednego sieroty, dlatego z ulgą przyjął jego zakończenie.

Mianem czeladnika określano posiadającego wiedzę fachową rzemieślnika, który okres nauki (termin) zakończył zdanym egzaminem czeladniczym, lecz nie był w stanie prowadzić własnego warsztatu, do czego niezbędne było m.in. zdanie egzaminu mistrzowskiego zgodnie ze statutem danego cechu.

Promocja ucznia na czeladnika (wyzwolenie) odbywała się w wyznaczonym wcześniej terminie. Mistrz wraz z uczniem stawali przed starszyzną cechową; uczeń prezentował swoją pracę, zaś mistrz świadczył o jego umiejętnościach. Po wniesieniu obowiązkowej opłaty cechowej terminator stawał się czeladnikiem i mógł wybrać zakład, w którym dalej zamierzał praktykować. Uzyskiwał także prawo do otrzymywania zapłaty za swoją pracę.

Mając własne pieniądze Karol pracował tylko trzy lata w zawodzie szewca, poczym przeniósł się do fabryki porcelany.



## Rozdział III

### Karol Pękalski odbudowuje rodzinę

#### 1. Fabryka porcelany w Ćmielowie

Dotychczasowe rzemiosła, z jakimi miała do czynienia rodzina Pękalskich to był zawód tkacza, garncarza czy szewca. Jak wiemy dziadek Karola był garncarzem, a ojciec tkaczem. On sam był zmuszony iść do terminu po skończeniu kilku klas szkoły elementarnej, aby zapewnić sobie utrzymanie. Od początku jednak marzył o zawodzie garncarza, który kojarzył mu się z zapachem mokrej gliny w warsztacie wuja Antoniego, który odwiedzał z ojcem w Denkowie. A fabryka porcelany w Ćmielowie była blisko, miała swoją tradycję i łatwo tam było o pracę. Jej historia rozpoczyna się w końcu XVIII wieku, kiedy to zaczęto budować pierwszą fajansarnię Jacka Małachowskiego. Produkcja ruszyła w r. 1804, a pierwszym kierownikiem został Adolf Fryderyk Vatke pochodzący z Niemiec. W r. 1821 umiera Jacek Małachowski, a manufakturę dziedziczy jego córka Franciszka Karwicka. W r. 1827 wydzierżawiła ona na trzy lata manufakturę braciom Weinbergerom, kupcom z Opatowa.

W r. 1830 dobra ćmielowskie wraz z fajansarnią kupił książę Ksawery Drucki-Lubecki. Powstanie listopadowe i niechęć pracowników do nowych właścicieli spowodowały spadek produkcji z 85 tys. złotych polskich do 47,5 tys. złp. W r. 1832 na emeryturę przechodzi Vatke, a zastępuje go Franciszek Weiss.

Vatke sprowadził do Ćmielowa całą swoją rodzinę, tutaj urodziła się jego córka, a także syn Daniel, czeladnik w fabryce. Majstrem był też Filip Schwerdt, szwagier dyrektora.

Po pięciu latach zastępuje go jego syn Gabriel, który przez blisko 30 lat ten zakład prowadził. Pochodził on z Austrii i nigdy nie nauczył się mówić po polsku. W latach pięćdziesiątych Weiss postawił w Denkowie własny zakład produkcji fajansu.

W r. 1863 kupiec warszawski Kazimierz Cybulski odkupił od księcia cały zakład, a Weiss przeniósł się do Denkowa. Wkrótce i on sprzedał swój zakład i prowadził fabrykę porcelany w Baranówce. Cybulski rozbudował zakład i nastawił go głównie na produkcję porcelany. Dopiero jak sprowadzono z Francji Stanisława Thiele w Ćmielowie zaczęto produkować wyroby majolikowe. Thiele pracował w Ćmielowie w latach 1863-1880, a potem przeszedł do nowej fabryki w Nieborowie. Po odejściu Thielego zaniechano produkcji majolik. W katalogu na wystawę w r. 1885 w Warszawie są tylko wyroby porcelanowe, kamionki, kafle i przedmioty użytku technicznego.

Od powstania manufaktury produkcja odbywała się w drewnianych budynkach. W pierwszym przygotowywano glinę, w drugim toczono naczynia, a trzecim je malowano. Czwarty służył za pomieszczenie dla pieców, a ostatni był magazynem wyrobów gotowych. Początkowo były dwa piece do wypału, a po pożarze w r. 1868 już cztery. Cały zakład został odbudowany bardziej nowocześnie przez Kazimierza Cybulskiego, powstały wówczas pierwsze budynki murowane. Glinę do wyrobów czerpano z pobliskich lasów m.in. z Wólki Bałtowskiej. Do schudzania gliny używano stłuczki i piasku, a drewna dostarczały nieodległe lasy. Surowców do szkliv dostarczali kupcy Weinbergowie.

Za czasów Weissa w fabryce pracowało ok. 60 ludzi, a w czasach Cybulskiego już blisko 100. Wyroby ćmielowskie eksportowano Wisłą do Gdańska i Warszawy, gdzie sprzedawały je sklepy Joanny Pignau na Długiej oraz u Kazimierza Cybulskiego w pałacu Blanka. Był także sklep ćmielowski w Grodnie. Wyroby ćmielowskie miały charakter użytkowy lub użytkowo-dekoracyjny. Produkowano więc serwisy obiadowe i herbaciane, różnego rodzaju koszyczki, dzbanki, żardiniery. Wzory i kształty czerpano z innych zagranicznych zakładów. Asortyment wyrobów ćmielowskich w wieku XIX stopniowo się rozszerzał. Produkowano serwisy obiadowe, znacznie mniej serwisów herbacianych, koszyczki, dzbanki, także liczne żardiniery (ozdobne półki do kwiatów). W całej produkcji fajansu można wyróżnić trzy okresy. Pierwszy to początek, pierwsze 30. lecie XIX w., kiedy fabryką kierował Vatke, a właścicielem był Jacek hr. Małachowski. Były to wyroby białe zdobione scenami z antyku oraz talerze zdobione wieńcami liści i winnych gron. W okresie Weissów obok dawnych kształtów występowały koszyczki formowane z delikatnych wałeczków. W dekoracji zanikały dekoracje plastyczne, a pojawiały się nadruki na naczyniach. Sposób ten był znany w Czechach już w końcu XVIII wieku, ale do Ćmielowa trafił znacznie później. Używano wzorów angielskich przedstawiając scenki o różnej tematyce. Dopiero w okresie rządów Cybulskiego zaczęto przedstawiać na talerzach zabytki naszej architektury. W czasie kierownictwa Thielego dominowała majolika, który to sposób produkcji był już w tym czasie zarzucany. Jego wyroby oznaczane były z francuska "M.de M. a C", co znaczyło Manufacture de Maiolique a Cmielow. Oczywiście nadal stosowano dekoracje nadrukami na wyrobach. Tworzono też różnego rodzaju figurki. W tym czasie przeważał styl neorenesansowy związany z pracą Thielego w fabryce w Nevers.

Porcelanę wynaleziono w Chinach w pierwszej połowie VII wieku. Wysoki poziom wyroby osiągnęły w czasach dynastii Song (wazy i misy zdobione szklivem jednobarwnym) oraz w okresach dynastii Yuan i Ming. Pracowała wówczas manufaktura w Jingdezhen produkująca zastawy stołowe, naczynia

dekoracyjne, płytki, figurki malowane farbami naszkliwnymi lub podszkliwnymi. W czasach dynastii Qing opanowano kolejne technologie produkcji porcelany tzw. trzech, czterech i pięciu barw. W Korei produkcja porcelany rozwijała się od XII w. osiągając swój rozkwit w XVI i XVII wieku. Wyroby chińskie docierały do Europy od XI w. Pierwsze próby produkcji podjęto we Florencji. Była to porcelana sztuczna (miękka) zwana porcelaną Medici. Właściwą technologię produkcji odkrył w początkach XVIII w. Ehrenfried Walther von Tschirnhaus. Po jego śmierci w Dreźnie i Miśni (Meissen) prace kontynuował jego uczeń Johann Friedrich Böttger, alchemik elektora saskiego i króla Rzeczypospolitej Augusta II. Było to osiągnięcie bardzo ważne, także ze względu na rosnące w tamtym czasie zainteresowanie chińszczyzną. Porcelaną wyrabianą w Saksonii nazywano "białym złotem" dlatego, że zastępowała złoto jako królewski podarunek. Produkcja w Miśni początkowo nie miała wielkiej skali, wyprodukowane pojedyncze egzemplarze traktowano jak dzieła sztuki. Dopiero pod koniec lat 20. stała się bardziej dostępna, ale i tak przez dłuższy czas porcelana ta była rozdawana, a nie sprzedawana. Po śmierci Böttgera w 1719 r. warsztat przejął jego pomocnik Höroldt, który łącząc elementy egzotyczne i rokokowe oraz rozszerzając paletę barw, opracował styl saski przyjęty od 1735 r. w całej Europie: figurki przedstawiające postacie ludowe i dworskie, obudowy zegarów zdobione barwnymi motywami roślinnymi, postaciami i zwierzętami. Johann Joachim Kändler, kierując manufakturą w latach 1731-1775, dołączył do Miśni małe zakłady saskie, których produkcja cieszyła się ogromnym powodzeniem. Następnie w Miśni próbowano naśladować wyroby z Sevres; porcelana saska straciła w ten sposób swój oryginalny urok, nie osiągając równocześnie elegancji właściwej wyrobom francuskim.



13. Figurka porcelanowa z Ćmielowa

W dawnej Polsce wszystkie wyroby ceramiczne nazywano glinianymi, a szkliwione naczyniami z gliny polewanej. Od XVI w. spotyka się określenia majolika w odniesieniu do wyrobów zdobionych. W XVII wieku wchodzi w użycie nowa nazwa "farfury" do dziś stosowana np. w jęz. rosyjskim. Jest to słowo pochodzenia arabskiego oznaczające w krajach Bliskiego Wschodu wyłącznie cesarską porcelanę chińską, a u nas nazywano tak różne rodzaje ceramiki. W XIX wieku ustala się nazwa fajansu obejmująca wyroby szkliwione bez względu na różnice w tworzywie. Nazwy porcelany i kamionki jednoznacznie określają rodzaj użytej gliny, a z fajansem i majoliką bywało różnie. Czasami określenia te stosowano w zależności o kraju pochodzenia, ale także w odniesieniu do użytych surowców. Wynikło to z historii rozwoju w Polsce dwóch odmiennych rodzajów ceramiki o podobnym wyglądzie zewnętrznym. Wcześniejsze wyroby zwane fajansem lub też majoliką o szkliwie kryjącym ołowiowo-cynowym, zaczęły w XIX w. ustępować wyrobom z gliniek jaśniejszych o przezroczystym szkliwie ołowiowym i przyjęły tą samą nazwę fajans. Miano majoliki utrzymało się tylko w odniesieniu do barwnych, malowanych wyrobów w typie włoskim. Jedynie w opracowaniach fachowych używa się określenia fajans delikatny lub cienkościenny dla fajansów z jasnych gliniek. Technologia produkcji porcelany jest podobna do fajansu z tym, że w przypadku porcelany surowce muszą być czystsze i drobniej zmielone. Do fajansów o szkliwie ołowiowo-cynowym używano gliniek jasnych zawierających węglan wapnia. Do fajansów o szkliwie ołowiowym takich samych gliniek, a do fajansów delikatnych, kaolinitowych dodawano kredę, marmur i skaień. Do szkliw fajansowych podstawowym składnikiem są krzemionki (drobny piasek kwarcytowy) oraz tzw. topnik, jakim jest tlenek ołowiu (glejta). Dodawany do szkliwa tlenek cyny tworzy zawiesinę nieprzezroczystą stanowiącą świetne, białe tło do malatur. W dekoracji malarskiej stosowano tzw. farby dużego i małego ognia, czyli malatury podszkliwe i naszkliwe. Tlenki manganu, miedzi, kobaltu wytrzymały wypał w wyższej temperaturze, nie ulatniały się, malowano więc nimi na nie wypalonym jeszcze szkliwie. Gdy stosowano inne tlenki, w tym złoto, temperatura musiała być niższa. Malowano wtedy na szkliwie już wypalonym (farby małego ognia), a następnie wypalano w temperaturze niższej w piecach muflowych.

Ponieważ w kraju nie było kaolinu i feldspatu (szpat polny, skaień) wyroby polskich fabryk nie mogły konkurować z produkcją zagraniczną. Z czasem część z tych surowców zaczęto importować.

## 2. Droga zawodowa Karola - Ćmielów, Tartów i Nieborów

Karol zaczął swoją pracę w fabryce porcelany w przełomowym dla jej historii momencie. Wielki pożar w roku 1868 strawił niemal całkowicie drewniane hale produkcyjne. Kazimierz Cybulski postawił budynki murowane, wyposażył je w nowoczesne maszyny oraz cztery nowe piece do wypału porcelany.

Pierwsze dwa lata Karol pracował w mieszalni gliny, gdzie surowiec ten był przygotowywany do produkcji poprzez szlamowanie. Gliny zawierają duże ilości piasku lub innych zanieczyszczeń. Aby uzyskać glinę bardzo czystą, poddaje się ją szlamowaniu, to jest umieszcza w zbiornikach i miesza z wodą na szlam. Ciężkie składniki osiadają na dnie. Szlam przelewa się przez sita do drugiej kadzi osadowej. Na sicie pozostają piasek i roślinne domieszki, które usuwa się. W kadzi osadowej woda wybija się ponad osadzający się szlam. Wodę tę wylewa się, a szlam osusza, umieszczając go w korytach zbudowanych z płyt glinianych palonych, w misach gipsowych, lub specjalnych prasach. Szlamowaniu poddaje się przede wszystkim kaoliny, ale także i inne gatunki glin. Niektóre gliny są bardzo tłuste, musi się więc dodawać do nich materiały schudzające. Zbyt tłusta bowiem glina przy wysychaniu, a następnie wypalaniu, bardzo się kurczy, łatwo pękając. Zależnie od rodzaju wytwarzanych przedmiotów używane są w produkcji gliny oczyszczone, tzn. szlamowane, albo z masy zestawiane z jednego lub kilku gatunków glin z dodaniem surowców nieplastycznych. Do nieplastycznych surowców należą: piasek, mielone krzemienie, mielony kwarc, skaień, mielone cegły zwykłe i ogniotrwałe, mielone skorupy fajansowe i porcelanowe. Gotowy surowiec trzeba jeszcze ręcznie odpowietrzyć, gdyż inaczej będzie "strzelał" przy wypalaniu.

Ciężka to była praca pod względem wkładanego wysiłku fizycznego, jak i wiecznej wilgoci. Praca z już wysuszonym surowcem była z kolei prowadzona w warunkach stałego zapylenia po 12 godzin na dobę. Po pracy w fabryce Karol dorabiał sobie naprawiając obuwie kolegom z pracy i sąsiadom. Stopniowo też awansował przechodząc przez wszystkie wydziały fabryki, aż został mistrzem odlewni.

Jako ceniony fachowiec otrzymywał oferty z innych manufaktur i kiedy uznał, że jego wynagrodzenie w Ćmielowie jest zbyt niskie, przyjął ofertę zatrudnienia z Tartowa.

W r. 1550 Andrzej Tarło założył na terenach wsi Czekarzewice miasto Tartów. Miejscowość otrzymała prawa miejskie na podstawie przywileju wydanego przez króla Zygmunta Augusta w Piotrkowie. Również na podstawie przywileju mieszczanie tartowscy byli zwolnieni z płacenia podatków przez kolejne 20 lat. W 1614 powstał pierwszy, drewniany kościół, ufundowany przez Mikołaja Oleśnickiego. W 1629 roku właścicielem miasta w powiecie sandomierskim

województwa sandomierskiego był Mikołaj Oleśnicki. W 1636 r. wybudowano szpital, a w 1647 kościół drewniany został zastąpiony murowanym kościołem pw. Świętej Trójcy, który stoi w Tarłowie do dzisiaj.

W czasie potopu szwedzkiego miasto zostało w poważnym stopniu zniszczone. Dlatego król Jan Kazimierz dał miejscowym garncarzom przywilej wolnego handlu i spławiania wyrobów Wisłą do Gdańska.

W 1851 miasto zostało zniszczone przez wielki pożar. Ocalał tylko kościół Świętej Trójcy i cztery domy. W czasie powstania styczniowego przebywał tu oddział Dionizego Czachowskiego. Po powstaniu, w 1869, Tarłów utracił prawa miejskie. W 1873 epidemia cholery zdziesiątkowała mieszkańców Tarłowa i okolic. Na cholerę umarli miejscowi mistrzowie garncarscy. Nastąpił upadek rzemiosła.

Jedynym wyjściem było sprowadzenie fachowców z innych rejonów i z tego powodu Karol zamieszkał w przydzielonym mu domu przy warsztacie zmarłego garncarza we wsi Ciszycza Górna. Od 1864 roku Ciszycza Górna była siedzibą urzędu gminy Ciszycza w skład, której wchodził również Tarłów. Stały tam 42 domy, w których mieszkało 270. mieszkańców. Była też szkoła elementarna.

Karol Pękalski został zatrudniony przez miejscowy cech rzemiosła i kupców, którzy nie mieli czym handlować po upadku produkcji garncarskiej.

Karol otrzymał zadanie szkolenie młodych adeptów garncarstwa, rozwinięcia produkcji wyrobów gotowych oraz uruchomienie nieczynnej wtedy cegielni. Po kilkunastu latach powstanie w tym miejscu osada zwana Cegielnia Kolonia.

Nad tymi zadaniami trzymał się Karol w latach 1877 -1881 z dużym powodzeniem poczym powrócił na krótko do Ćmielowa.

To tutaj urodził mu się synek, któremu na chrzcie w kościele pw. Świętej Trójcy w Tarłowie (1878/60) nadano imię Bolesław.

W roku 1882 pojawiła się nowa szansa w życiu zawodowym Karola, jaką było zwerbowanie go do pracy w nowo powstałej fabryce majoliki w Nieborowie.

W 1694 r. dobra Nieborowskich kupił Prymas Polski kardynał Michał Stefan Radziejowski, który wznosił barokowy pałac zaprojektowany przez Tylmana z Gameren. W XVIII wieku dobra często zmieniały właściciela. W 1774 roku Nieborów objął wojewoda wileński Michał Hieronim Radziwiłł, który wyposażył pałac w stylowe meble, tkaniny, obrazy i rzeźby oraz przedmioty rzemiosła artystycznego. Założył bogatą w zbiory bibliotekę (ponad 10 tys. woluminów dzieł polskich i obcych, w tym starodruki z XV wieku). Jego żona Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa założyła w tym czasie słynny ogród romantyczny w Arkadii. Stał się on miejscem spotkań twórców epoki Oświecenia.



#### 14. Pałac w Nieborowie

Założona w 1881 r manufaktura majoliki przez Michała Piotra Radziwiłła dostarczała do pałacu ozdobne piece kaflowe i ceramikę artystyczną, która z czasem utworzyła cenny zespół majoliki nieborowskiej. Manufaktura ta została uruchomiona 4 grudnia 1881 roku po blisko rocznych przygotowaniach prowadzonych przez Stanisława Thiele i Jana Pyżyrskiego. Ten ostatni był prawdopodobnie kierownikiem administracyjnym zakładu. Thiele, syn powstańca, urodził się w r. 1831 w Poznaniu. W latach 1860-62 pracował w fabryce fajansów A. Montagnona w Nevers, a następnie sprowadził go Cybulski do Ćmielowa, gdzie kierował jednym z działów produkcji.

Co robił w tej manufakturze Karol? Udało się to ustalić drogą pośrednią-z lektury jednego z listów Stanisława Thielego, który posiada miejscowe muzeum. Stosowny fragment tego listu datowanego na 18 sierpnia 1885 r. brzmi: "*.....Glinę na gwałt szlamuję aby przed zimą doły były napętnione - Panie w malarni - malują drobne przedmiota. Pękalski robi obecnie Matki Boskie i kropielnice które chcą na odpust do Miedniewic wysłać na 8-go września. ....*" A więc artysta czy rzemieślnik? Pewno jedno i drugie po trochu. W każdym razie wiadomość ta ma wielkie znaczenie w kontekście pięknego posągu Matki Boskiej na grobie Karola. Mógł on ten posąg wykonać sam wykorzystując swoje doświadczenie zawodowe z Nieborowa. Wiele na to wskazuje. Podstawę pod

posąg przygotował mu kamieniarz, a urządzenie sobie grobu przed śmiercią było w XIX wieku czymś normalnym.



**15. Figura Matki Boskiej na grobie Karola - 2006 r.**

Oprócz Thielego, w manufakturze pracowali także wspomniany Jan Pyżyrski i Sławomir Celiński, który zajmował się modelarnią. Malowaniem majoliki zajmował się także sam książę Michał Radziwiłł. W 1886 r. książę wydzierżawił manufakturę Thielemu, który prowadził ją do 1892 r. a po jego odejściu dzierżawę przejął Jan Sznage. Jest więc jasne, że to Thiele po otrzymaniu oferty pracy dla księcia zabrał ze sobą do Nieborowa Karola i pewnie jeszcze kilku fachowców z fabryki ćmielowskiej.

Założeniem właściciela manufaktury była produkcja majoliki barwnie malowanej, o charakterze typowo dekoracyjnym - stąd też asortyment wyrobów, głównie w postaci wazonów, żardinier, ozdobnych półmisków, lamp a także kafli piecowych. Bogactwo form i stylów cechowało wyroby luksusowe. Thiele próbował wprowadzić do produkcji także wyroby powszechnego zastosowania, ale nie miało to większego znaczenia. Manufaktura ulokowana została w dworskiej oficynie, która poprzednio pełniła funkcję browaru.



Poszerzono ją o dodatkowy budynek z piecami, gdzie mieściły się również pracownie. S. Thiele piece sprowadził z Nevers we Francji. Z Nevers pochodziły także modele do kopiowania. Manufaktura zatrudniała około 100 pracowników i 20 artystów. Podkreślić należy, że w malarni zatrudniono, jako retuszerki miejscowe kobiety. Płace były niskie. Malarze otrzymywali od 20 do 35 rubli miesięcznie oraz bezpłatne mieszkanie i opał. Można przypuszczać, że Karol będąc majstrem w dziale produkcji i posiadając rodzinę, korzystał z takiego mieszkania i zarabiał znacznie więcej od malarzy, nawet do 100 rubli. W końcu w Nieborowie urodziła mu się trójka dzieci, a po powrocie do rodzinnego Ćmielowa miał środki na prywatną naukę dla nich i na uruchomienie manufaktury obuwniczej. W Nieborowie Karol i Aniela stracili synka Bolesława Antoniego, który przyszedł na świat w Ciszycy w r. 1878. Miał on już osiem lat, a zmarł 22.10.1886 r. Z metryki zgonu dowiedziałem się, że rodzina mieszkała w małej wsi Piaski niedaleko Nieborowa.

Poziom malatur był nierówny, a najbardziej charakterystyczną cechą tej manufaktury było stosowanie intensywnych kolorów ciemnoniebieskich i żółtych, czasem obwiedzionych czarnym konturem. Formy naczyń i innych wyrobów Nieborowa stanowił początkowo świadome naśladownictwo wyrobów z Nevers i innych znanych wytwórni europejskich, szczególnie tych, które nawiązywały do renesansu. Z czasem jednak, przy zachowaniu form, wykształcił się oryginalny styl dekoracji malarskiej, w której często sięgano po polską tematykę patriotyczną, dotychczas nie stosowanych w malaturach ceramicznych.

Manufaktura nieborowska posiadała w Warszawie swój główny skład (firma Józefa Zelta) oraz przedstawicielstwa we Wrocławiu, Kijowie i Petersburgu. Jej wyroby cieszyły się w zasadzie zainteresowaniem współczesnych i ich uznaniem z uwagi na wspomnianą już odmienność dekoracji malarskich. Po przeszło stu latach od zaprzestania działalności wyroby tej manufaktury - rzadko spotykane w antykwariatach - uzyskują wysokie oceny i cieszą się dużym powodzeniem z uwagi na ich dekoracyjność.

Dobra nieborowskie pozostały w rękach Radziwiłłów do lutego 1945 roku, następnie zespół pałacowo - parkowy w Nieborowie i Arkadii został oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie.

## 2. Wszystkie dzieci Karola i Anieli

Karol nie chciał czekać zbyt długo z zawarciem małżeństwa, był ostatnim ze swojej gałęzi rodziny i pewnie przeczuwał, że może nie dożyć starości pracując tak ciężko. Być może zobaczył Anielę po raz pierwszy w kościele na niedzielnej mszy? Była ona dziewczyną wysoką o pięknych, szlachetnych rysach twarzy i włosach koloru słomy zaplecionych w długi warkocz. Karol był brunetem o bujnej czuprynie czesanej z przedziałkiem i z małym, zawadiacko podkręconym wąsikiem.

Jego przyszła żona Aniela Jakubowska urodziła się 15 lipca roku 1853 w Ćmielowie. Była córką zamożnego gospodarza Aleksandra i Marianny z Szałapskich zamieszkałych w domu pod numerem 147. Dla niej ślub z Karolem był mezaliansem, gdyż młodzieniec ten nie tylko nie posiadał rodziców, (co nie dziwiło w czasach po epidemii cholery), ale także żadnego majątku.

W Ćmielowie brakowało w tych czasach młodych, zdrowych mężczyzn, a w dodatku przystojnych i upartych w staraniach o rękę Anieli.



16. Karol Pękalski z żoną i córeczkami - 1885 r.

Musiał się też spieszyć, aby nie powołano go do carskiego wojska. W tym czasie służba wojskowa dla rekrutów z Królestwa Polskiego trwała pięć lat.

Ślub odbył się 02 lutego 1870 r., niestety nie zachowała się metryka zawarcia tego związku, nie znamy więc wielu szczegółów. Zachował się akt chrztu Karola skąd wiemy, że urodził się 3 listopada 1850 r. o godzinie 12. w południe w Ćmielowie w domu pod numerem 82. Jako świadek chrztu i ojciec chrzestny wpisany jest Bartłomiej Pachylski z zawodu szewc. Czyżby to u niego terminował Karol parę lat później? Matką chrzestną została Marianna Pacoszyna, oboje byli niepiśmienni i mieszkali w Ćmielowie.

W chwili swego ślubu Karol nie miał skończonych dwudziestu lat, a Anieli brakowało kilku miesięcy do lat siedemnastu.

Z tej jedynej, ocalałej gałęzi rodziny wyrosną dalsze pokolenia, które nie zawsze zachowują pamięć o ocalańcu z piekła epidemii cholery Karolu i jego losach. Zachowa się też powyższe zdjęcie, z którego mój ojciec robi reprodukcję. Utrwalona tylko na odnalezionym przypadkowo negatywie, z którego sam zrobiłem tradycyjną odbitkę i zabarwiłem w sepii. Nie wiadomo czy oryginał był czarno biały, czy także w sepii. Początkowo nie miałem pojęcia, kogo ta fotografia przedstawia. Dopiero żmudne badania genealogiczne pozwoliły na powolne dochodzenie do prawdy.

Karol będzie miał dziesięcioro dzieci, z czego do pełnoletniości dożyje piątka.

Niestety Anna umrze już w wieku 18 lat, a synek Antoni w niemowlęctwie.

Jak już wiemy tym pierwotnym dzieckiem mógł być brat nigdy nie poznanego dziadka Franciszka. Na zachowanych zdjęciach widać dwóch bardzo podobnych do siebie braci, nie można wykluczyć, że pierwotnym był jego brat urodzony w roku 1871-72. Taki warunek spełnia Stanisław Pękalski (1872-1953), którego dane mam tylko z nagrobka. Wynika z niego, że jego żoną była Anna z Banaszków (1882-1944). Wobec braku wielu metryk z Ćmielowa można przyjąć tą hipotezę za wiarygodną. Z zawodu był Stanisław zdunem-kaflarzem. W r. 1905 urodziła się im córka Stefania Bronisława, jej matką chrzestną została Julianna Pękalska, z pewnością krewna.

Kiedy jego rodzice wyjeżdżali do Nieborowa Franciszek miał prawie 10 lat i pozostał w Ćmielowie u swego dziadka Aleksandra Jakubowskiego. Chodził do szkoły i pomagał dziadkowi w gospodarstwie. Był okres ostrej rusyfikacji szkolnictwa, nauczano tylko po rosyjsku, duży nacisk kładziono na przygotowanie rekruta dla carskiej armii. W szkołach ludowych (i nie tylko) obowiązywała gimnastyka, a od 12. roku życia musztra.

W tym okresie Ćmielów był już pozbawiony praw miejskich (1872) przez zaborców za swój udział w powstaniu styczniowym. Była to więc wieś, a ludność, jak wcześniej utrzymywała się z rolnictwa i hodowli zwierząt. Fabryka Porcelany zatrudniała ok. 100 osób, co stanowiło 5% mieszkańców. Franciszek nauczył się u dziadka Jakubowskiego pracy na roli, a także hodowli świń i bydła. Kiedy po latach odziedziczył kilka mórg ziemi będzie ją uprawiał łącząc to z pracą w fabryce. Jak się później mówiło był z niego typowy chłoporobotnik.

Nie jest pewne czy Marianna, która w tym czasie miała 6 lat wyjechała z rodzicami, czy też została w Ćmielowie. Wiadomo, że zabrali oni do Nieborowa 4. letniego wtedy Bolesława.

W Nieborowie, jako pierwsza urodziła się 9 kwietnia 1883 r. Stanisława. Dwa lata później, także w kwietniu, przysła na świat Anna (25.04.1885).

Ostatnim dzieckiem Karola i Anieli na "wypnaniu" w Nieborowie była Zofia Teresa urodzona 20 maja 1887 roku.

Przed wyjazdem z Ćmielowa urodziła się Cecylia (22.11.1880), ale nie ma o niej żadnych wzmianek i najpewniej zmarła w dzieciństwie. Podobny los spotkał ostatniego synka Antoniego, który urodził się 14.04.1893 r. i zmarł w tym samym roku. Nie znamy też losów Feliksi Elżbiety ur. 1 lipca 1889 r. Także raczej nie osiągnęła ona wieku dorosłego.

Długo poszukiwałem hipotetycznego brata Franciszka, bardzo do niego podobnego. Wydawało się, że może to być właśnie Bolesław Antoni.

Na tym zdjęciu widać wyraźnie obu braci, starszego o pięć lat Franciszka oraz młodszego.

Niestety w dalszych poszukiwaniach odnalazłem metrykę zgonu Bolesława i hipoteza ta upadła, zastąpił go Stanisław.

Stojąca obok niego dziewczyna to raczej nie żona, lecz siostra Zofia Teresa (1887-1960). Rok wcześniej (10.02) zmarła 18. letnia Anna. Była dziewczyną bardzo pobożną i już w dniu swojej pierwszej Komunii złożyła śluby czystości i postanowiła wstąpić do zakonu. Los jednak chciał inaczej. Zamiast niej do zakonu wstąpiła jej siostra Stanisława.

Dziewczynka na kolanach mej babki Marianny z Zaborskich to Aniela (ur. 1903). Stojący chłopczyk to Kazimierz (ur. 1901), umrze rok później, być może na jedną z banalnych chorób dzieciństwa wówczas nieuleczalnych.



17. Franciszek i jego brat Stanisław z rodziną- 1905 r.

#### 4/ Siostra Świętosława - życie w zakonie

W roku 1903, u progu lata (10.06) umiera nagle Karol Pękalski pogrążając w smutku całą rodzinę. Jego pogrzeb był okazją do spotkania rodzinnego, chociaż większość mieszkała w Ćmielowie. Karol prowadził zakład produkujący obuwie robocze i użytkowe, zatrudniał 10-15 pracowników i dlatego w akcie zgonu zapisano, że był "fabrykantem obuwia". Jego śmierć bardzo przeżyła córka Anna, która przygotowywała się do wstąpienia do zakonu, aby dotrzymać przyrzeczenia złożonego w czasie swojej pierwszej Komunii. Umartwienie się i posty osłabiły młody organizm i Anna zmarła 8 miesięcy później (10.02). Pożegnanie, które wygłosił w czasie pogrzebu spowiednik Anny wstrząsnęło Stanisławą i zdecydowało o tym, że to ona wypełni śluby za siostrę i pójdzie do zakonu.

Zarówno Stanisława, jak i Anna urodziły się w Nieborowie w odstępnie dwóch lat (obie w kwietniu). Po powrocie do Ćmielowa Stanisława do dwunastego roku życia uczyła się prywatnie w domu pod kierunkiem nauczycieli. W 1896 roku została przyjęta do fabryki porcelany, której ówczesnym właścicielem był książę Aleksander Drucki-Lubecki, gdzie kiedyś pracował także jej ojciec, a od r. 1888 brat Franciszek. Dzięki temu mogła korzystać z nauki i uczęszczać do szkoły wieczorowej dla pracowników.

12 października 1904 po trzydniowej podróży Stanisława przyjeżdża do Krakowa, gdzie zgłosiła się do Zgromadzenia Służebnic Najśw. Serca Jezusowego i została przyjęta. W kilka tygodni później 7 grudnia 1904 r. rozpoczęła tzw. próbę, rok później roczny nowicjat. W dniu 7 grudnia 1906 r. złożyła pierwsze śluby, a 2 października 1917 r. śluby wieczyste.

Zgromadzenie Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego powstało 15 kwietnia 1894 r. w Krakowie. Założycielami tej rodziny zakonnej są św. Józef Sebastian Pelczar (1842 - 1924) i bł. Klara Ludwika Szczęsna (1863 - 1916). Zgromadzenie szybko się rozwijało. Do 1900 wzniesiono dla sióstr klasztor i kościół przy ul. Garncarskiej. Rozwijały się też domy zakonne w innych miastach Galicji, powstawały też pierwsze domy poza jej granicami. Siostry zajmowały się głównie działalnością dydaktyczno-wychowawczą i charytatywną: prowadziły schroniska dla dziewcząt pracujących, ochronki, sierocińce, szkoły, pracowały w szpitalach i zakładach opieki społecznej.



18. Stanisława Pękalska przed wstąpieniem do zakonu -1903 r.

Stanisława, która przyjęła imię zakonne Świętosława, została przez zakon przeszkolona do pracy, jako wykwalifikowana pielęgniarka. Pierwszą posługę pełniła w szpitalu w Krośnie. Historia szpitala sięga XV wieku, kiedy to miasto Krosno posiadało trzy budynki spełniające rolę szpitala i przytułku dla ubogich. Budowę szpitala z prawdziwego zdarzenia rozpoczęto pod koniec XIX wieku, a w 1901 roku oddano do użytkowania parterowy budynek na około 50 łóżek przy ul. Suchodolskiej w Krośnie. Tam Świętosława jeszcze się uczyła zawodu, dopiero w Zakopanem zrobiła pełne uprawnienia wykwalifikowanej pielęgniarki.

W tamtejszym szpitalu pracowała w latach 1907-10. Potem był kilka razy Lwów i tam nie zawsze opiekowała się chorymi. Była też praca w ochronie dla sierot, były dwie wojny światowe, gdzie liczba potrzebujących pomocy gwałtownie rosła. W latach 1910-16 siostra Świętosława był świadkiem wkroczenia do Lwowa wojsk rosyjskich we wrześniu 1915 po bitwie pod Gorlicami. W czerwcu 1915 Lwów ponownie znalazł się we władaniu Austrii. Dalsze walki o Lwów w latach 1916-20 były jej oszczędzone, gdyż w latach 1916-20 przebywała w

Samborze nad Dniestrem. Jednak wojska rosyjskie, które zajęły Sambor w tym czasie dokonały licznych zniszczeń w mieście. 17 maja 1919 roku wojska polskie wyzwoliły Sambor, który po 147. letniej niewoli powrócił do Rzeczypospolitej. Sambor został stolicą powiatu województwa stanisławowskiego. Na miejscu dawnego zamku zbudowano szpital (1925). W czasie pobytu w Samborze Świętosława bywała też w Lwowie, zachował się dokument tożsamości wydany jej przez władze niemieckie 16 sierpnia 1917 r. Dokument ten wystawiono na odwrocie tej fotografii.



**19. Siostra Świętosława - rok 1917**

Od 1921 roku Świętosława dzieliła czas między siedzibą zakonu w Krakowie, a Lwowem. Mając za sobą śluby wieczyste mogła pełnić funkcje kierownicze w zakonie. Angażowała się w rozwój ruchu sercanek bezhabitowych. Nosiły one strój świecki w swojej codziennej posłudze dla chorych i biednych.

Do 1920 roku Zgromadzenie rozwijało się na terenach Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie prowadziło głównie zakłady wychowawcze. Mieściły się one w: Kownie, Wilnie, Petersburgu, Żytomierzu, Smoleńsku, Kijowie, Kamieńcu Podolskim, Irkucku, Płoskirowie i Czelabińsku.



Zgromadzenie pragnęło zapewnić ubogim sierotom dach nad głową, podstawowe wykształcenie, wpoić zasady moralne i wychować na dobrych Polaków. Siostry ubolewały nad ich sierocą dolą, pracowały ofiarnie, lecz zawsze pod strachem, gdyż rząd carski był wrogo usposobiony do wszystkich przejawów polskości i katolicyzmu. Uczono religii, języka polskiego, historii Polski, arytmetyki, geografii i przyrody. Nauka ta odbywała się w wielkiej tajemnicy, przy zamkniętych drzwiach i z jednej książki. Siostry pracowały, jako Polki i katoliczki wzorowo i sumiennie, mimo prześladowań i ciągłych rewizji w zakładach. Warunki materialne były trudne. Z tej racji całe mienie Zgromadzenia przeznaczano na wychowanie i kształcenie dzieci. M. Eliza Gołębiowska wspomina: *„Wszystko, czym siostry rozporządzały szło na wychowanie i kształcenie dzieci, których tyle przyjmowano na stałe, ile pomieściły ściany, zarządzając ciasnocie specjalnym urządzeniem łóżek”*. Chociaż pustki były w kasie, mówiono: *„Bóg dał sierotę, da i na sierotę”*.

Siostry chętnie jechały na Syberię, wiedząc, że tam spotkają Polaków zesłańców i ich dzieci, które trzeba było wychowywać i nauczać. O tym, czym była praca siostr dla mieszkających na Syberii Polaków świadczy opisany fakt: *„Po raz pierwszy miała się odbyć procesja Bożego Ciała na terenie Inokientiejewska (...), kiedy prowadziłam swoją gromadkę dzieci do kaplicy miejscowej, jakiś staruszek wygnaniec ukląkł przede mną i całując po rękach wołał z płaczem: „Polska... tyś mi dziecko drogie Polskę pokazała, zobaczyłem Polskę przed śmiercią”*.

Wybuch rewolucji w 1917 r. był wydarzeniem przełomowym w historii Zgromadzenia. Większość siostr pozbawiona pracy wychowawczej ewakuowała się do odrodzonej Polski, zabierając ze sobą dzieci z zakładów.

Od 1920 r. Zgromadzenie rozwijało się w wyzwolonej Ojczyźnie, zakładało szkoły, przedszkola, domy dziecka, ochronki, żłobki, jadłodajnie, prowadziło internaty, zakłady wychowawcze i katechizowało.

Nadszedł 1939 rok, czarne chmury zawisły nad Polską. 1 września, wybuchła II wojna światowa. Nastaly bolesne dni dla Kościoła i Ojczyzny. Wówczas Zgromadzenie prowadziło 14 placówek opiekuńczo-wychowawczych. Były one w: Bielsku Podlaskim, Janowie Podlaskim, Kolnie, Lubieszowie, Nowym Mieście, Orchówku (2), Otwocku, Sitniku, Skórcu, Świdrze, Warszawie (2) i w Strudze.

W czasie wojny zakonnice we Lwowie prowadziły ochronkę dla sierot, których wówczas nie brakowało. Jak można przeczytać w licznych wspomnieniach z tego okresu dziewczynki (sporo też z rodzin żydowskich) w takiej ochronce cerowały, szyły, wyszywały, pracowały w kuchni itd. W zamian zyskiwały schronienie, opiekę, namiastkę rodziny. Zresztą, jak wynika z tych wspomnień, istniała możliwość korespondencji z rodziną, jeśli np. ojciec dziecka przebywał w oflagu. Poza tym odbywała się tam nauka szkolna, choć pewnie w

ograniczonym zakresie.

Oczywiście Lwów był siedzibą także innych zakonów żeńskich, było ich osiem posiadających swoje klasztory jeszcze w średniowieczu, a pierwsze były klaryski. Bernardynki (klaryski) miały swój klasztor i kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP na początku ul. Gliniańskiej (obecnie ul Łyczakowska) od razu tuż przed murem obronnym klasztoru Bernardynów. Na tym miejscu w 1584 r. dla sióstr zbudowano kaplicę św. Anny. D. Zubrzycki pisze, że w 1607 r.

*„zakończono i poświęcono kościół Bernardynek przy ul Gliniańskiej”*. Jak wiadomo zakon sióstr sercanek powstał w Krakowie w r. 1894, a więc nie mógł mieć takich tradycji, jak zakony o wiele wieków wcześniejsze. We Lwowie siostry podjęły początkowo pracę administracyjną i pielęgniarską w Szpitalu Powszechnym, później powstawały ochronki czy sierocińce.

Nie wiadomo jak i dlaczego znalazła się siostra Świętosława w Trembowli skąd na jej listowną prośbę wywiózł ją w czasie wojny (rok 1942?) jej bliski krewny Witold Milewski. Czy uciekała przed zawieruchą wojenną? Może do swoich krewnych-wiadomo, że na Ukrainie mieszkał jeden członek rodziny Pękalskich, a w Czortkowie k/Buczacza żył Karol Milewski, brat Witolda. Ustna relacja Witolda Milewskiego zawiera takie nawet szczegóły, że w czasie przesiadki we Lwowie na Świętosławę rzucił się pies żandarma niemieckiego.

Po powrocie do okupowanej Polski Stanisława nie zatrzymała się dłużej w Ćmielowie, ale udała się do Krakowa (w dzielnicy Prądnik w okresie okupacji był szpital, który służył niemieckim żołnierzom chorym na gruźlicę i płonicę oraz rannym). Być może pomodliła się na grobie brata Franciszka, który zmarł w r. 1941 w Ćmielowie i po raz ostatni widziała się z jego żoną (zm. w 1943 r.)

Pewne jest to, że najwcześniej mogła przyjechać do Ćmielowa, aby podjąć opiekę nad chorą siostrą Zofią Teresą dopiero w roku 1948. Po przybyciu do Ćmielowa uzyskała ona zgodę przełożonej zakonu na przebywanie poza zgromadzeniem z uwagi na konieczność opiekowania się chorą siostrą, sama także robiła zastrzyki i opatrunki potrzebującym na terenie miasta i okolic. Siostra Świętosława prosiła ówczesnego proboszcza Stanisława Dudzińskiego, aby w Ćmielowie powstała filia zakonu sercanek i to się udało 18 września 1954 roku. Świętosława pomogła kupić zakonowi sąsiedni do jej rodzinnego lokum dom przy ulicy Długiej 62 i tam zamieszkało kilka sióstr z tego samego zgromadzenia. Siostry utrzymywały się głównie z szycia i pełniły posługę religijną zgodnie z zasadami swego zgromadzenia.

Wkrótce po śmierci Zofii Teresy, a więc w połowie roku 1960 zakon zabrał Świętosławę do swego macierzystego domu w Krakowie, gdyż w tym czasie ona sama wymagała już opieki i tam zmarła 14 listopada 1965 roku. Została pochowana na cmentarzu Rakowieckim w grobie sióstr sercanek. Jak widać na zamieszczonych tu zdjęciach była ona niskiego wzrostu i dość tęga w

przeciwieństwie do Zofii, która była szczupłą. Obecnie kilka sióstr z tego zgromadzenia sercanek nadal mieszka w Ćmielowie przy ul. Opatowskiej 29. W czasie swego pobytu w Ćmielowie kilkakrotnie zmieniały swoją siedzibę. Nie ulega więc wątpliwości, że siostra Świętosława w znaczący sposób przyczyniła się do powstania filii zakonu w Ćmielowie. Przełożoną tego domu jest obecnie (r. 2009) siostra Mirona SSCJ mieszkająca w miasteczku od 13. lat. Od siostry Tadeuszy, która w zakonie jest od 60 lat, a w Ćmielowie z małymi przerwami pół wieku, dowiedziałem się, że Świętosława była osobą "o *anielskim wręcz usposobieniu*". Ta 91-letnia siostra jest żywą kroniką zakonu i jedyną, która pamiętała naszą Stanisławę z jej lat spędzonych w rodzinnym mieście, a pamięć mimo wieku miała doskonałą.



#### 20. Stanisława i Zofia Pękalskie w Ćmielowie w 1954 r.

Siostra Świętosława wypełniła powołanie do życia w świętości i za siebie i za swoją zmarłą niespodziewanie młodszą siostrę Annę. Przez całe swoje długie i pracowite życie opiekowała się chorymi i cierpiącymi niosąc im ulgę i słowo pocieszenia. Wypełniając to wielkie dzieło składające się z tysięcy dobrych uczynków nie zapominała o swojej chorej siostrze Zofii Teresie, którą opiekowała się do dnia jej śmierci, niosąc jednocześnie pomoc pielęgniarскую dla mieszkańców Ćmielowa.

## 5/ Krótkie życie Marianny

Urodzona w styczniu 1876 roku była Marianna drugim dzieckiem Karola i Anieli Pękalskich. Nie zachowała się jej postać w żadnych przekazach rodzinnych, ani nawet na starych fotografiach. Być może figuruje na jedynym zdjęciu z rodzicami, ale nie jest to pewne.

Marianna zmarła w wieku 43 lat, a więc dożyła prawie średniego wieku dla kobiet, który na przełomie XIX i XX wieku wynosił 48 lat.

Przyszła na świat w Ćmielowie jeszcze przed wyjazdem rodziców do Nieborowa. Jej matką chrzestną była Antonina Pietrzykowska z Dziebałtowa, która zmarła trzy lata później w wieku 36 lat. Ojciec chrzestny to Józef Ciechoński, niewiele o nim wiadomo poza tym, że mógł mieć na imię Józefat, a nazwisko w wersji bardziej popularnej w tych stronach, Cichoński. Rodzice raczej zabrali ją ze sobą do Nieborowa, gdzie mieli wygodną kwaterę służbową we wsi Piaski, a ojciec dobrze zarabiał w manufakturze majoliki księcia Radziwiłła. Kiedy wrócili dziewczynka miała lat 12 i mogła pójść do pracy w fabryce porcelany, gdzie nawet znacznie młodsze dzieci pracowały w malarni przy zdobieniu wyrobów gotowych.

Marianna wyszła za mąż za Antoniego Jana Milewskiego (syn Antoniego 1861-1914 i Franciszki z d. Cymelskiej) z Radomia. Nie posiadając metryki ślubu nie można określić daty, ani miejsca zawarcia tego związku. Mieli co najmniej trójkę dzieci, pierwsza była córka Bronisława, potem Karol. W roku 1911 urodził się syn Witold (zm. w r. 1985), którego okrutny los oświadczył śmiercią obojga rodziców w dzieciństwie. Po śmierci matki Marianny w r. 1919 chłopiec trafił do sierocińca prowadzonego przez braci zakonnych i założyciela zakonu sercanek wówczas biskupa Pelczara. Można przypuszczać, że siostra Świętosława starała się pomóc osieroconemu siostrzeńcowi i ulokowała go w klasztorze we wsi Miejsce Piastowe położonej na południu Polski w pobliżu Krosna.

W r. 1929 siostra Witolda Bronisława zabrała dorosłego już brata z sierocińca i zawiozła go do Ćmielowa, gdzie rozpoczął pracę w fabryce porcelany. Uczył się zawodu pod kierunkiem mego dziadka Franciszka Pękalskiego, mistrza odlewni, który był jego wujem. Bronisława natomiast wyjechała do Belgii dając początek emigracyjnej gałęzi rodziny Milewskich. Z tego związku była jeszcze Stanisława Milewska (ur. 1930) mieszkająca nadal w Gdańsku oraz Antoni.

Witold Milewski poślubił Janinę Kończyk (1914-1998) - fotografia obok, z tego związku było kilkoro dzieci i dość liczna rodzina. Jej przedstawiciele żyją obecnie w Ćmielowie, Łańcucie i Międzyzgodzie (Maria Waligórska) oraz właśnie w Belgii.



21. Witold i Janina Milewscy ok. 1936 r.

Rodzeństwo poznanej osobiście przez autora Marii Waligórskiej ( ur. 10.08.1940) z d. Milewskiej to:

- Edmund Milewski - 1.11.1936-2.04.2012
- Stanisław Milewski - 5.09.1943-2.08.2003
- Wojciech Milewski - 13.04.1950
- Jan Milewski - 17.08.1956-2.12.2002.

Czyli żyje tylko jeden z braci Wojciech i on właśnie zamieszkuje w Ćmielowie. Opiekuje się grobami naszej rodziny.

Początkowo nie wiedziałem nic o losach Marianny, przypuszczałem, że nie wyszła za mąż i zmarła w młodości. Dzięki mojej stronie internetowej odezwali się potomkowie mojej ciotecznej babki i tak doszło do ustalenia kolejnej gałęzi naszej rodziny.

## 5/ Pół wieku dziadka Franciszka w fabryce porcelany

W rozdziale III przedstawiłem historię produkcji porcelany oraz dzieje fabryki w Ćmielowie. Franciszek, podobnie jak jego ojciec, zaczął tam pracę, ale w młodszym wieku, aniżeli Karol. Miał w r. 1888 zaledwie 15 lat i zaczynał pracę nie przy schudzaniu gliny, ale w magazynie wyrobów gotowych. W malarni dzieci ze szkoły przyzakładowej uczyły się zawodu, a często były to naprawdę kilkulatki. Można je zobaczyć na tym unikalnym zdjęciu.



22. Pracownicy fabryki porcelany - r. 1901

W dolnym rzędzie to właśnie dzieci ze szkoły przyzakładowej, z których część brała udział w 3. letnim kursie zdobniczym. Niejaki Sobieszczański opisał ten proces w swojej "*Wycieczce archeologicznej w guberni radomskiej*", jak młode dziewczęta na wypalonych naczyniach drukowały kolorowe wzory z "*niewypowiedzianą szybkością*". Była tam też niewielka malarnia, gdzie ręcznie nanoszono różne zdobienia. Tam właśnie przydawały się dzieci, którzy swoimi drobnymi paluszkami nanosili miniaturowe ozdoby na wyrobach, które potem wypalano w piecach.

Na tej fotografii widzimy Stanisława Pękalskiego stojącego w górnym rzędzie na skraju po prawej. Widocznie w tym wydziale fabryki pracował, gdyż fotograf

wykonywał te zdjęcia po kolei według wydziałów. Jest tu stosunkowo dużo kobiet, mogła to być malarnia.

Na drugiej fotografii kobiet prawie nie ma, jest natomiast 12. chłopców ze szkoły zakładowej. Tutaj widzimy Franciszka Pękalskiego, wtedy 28. letniego, ale już 13. letnim stażem pracy w fabryce. Siedzi w drugim rzędzie pierwszy od lewej w charakterystycznej baranicy, z którą się nie rozstawał. Raczej nie był jeszcze majstrem odlewni, ale zdjęcie przedstawia zapewne ten wydział. Wskazuje na to brak kobiet i dziewczynek. Jako majster Franciszek zajmowałby miejsce bliżej centrum fotografii.



### 23. Wydział Odlewni fabryki porcelany w Ćmielowie

Kobieta w górnym rzędzie po prawej (obok wysokiego mężczyzny), jest bardzo podobna do jednej z sióstr Franciszka Anny, która umrze 3 lata później.

Jak wiemy Karol był niespokojnym duchem, często zmieniał pracę i uprawiany zawód. Jego syn natomiast przez całe życie pracował w ćmielowskiej porcelanie, stąd przeszedł w roku 1938 na emeryturę otrzymując w dowód uznania pamiątkowy talerz z podpisami najbliższych współpracowników.



24. Pamiątkowy talerz z okazji 50-lecia pracy

Talerze takie były długą tradycją fabryki sięgającą początków XX wieku. Jeden z takich talerzy zaprojektował Bolesław Polankiewicz w styczniu 1912 r. dla Mieczysława Rymaszewicza w kolorze bordo ze złożonymi brzegami. Przedstawiał on widok fabryki ćmielowskiej, pod nim podpisy pracowników, a na odwrocie okolicznościowa dedykacja. Ćwierć wieku później utrwalił się powyższy model talerza jubileuszowego, gdzie całość napisów i zdobień znajdowała się na jednej stronie, a z tyłu były otwory do zawieszenia go na ścianie. Tak też uczynił Franciszek po przejściu na emeryturę, a obecnie talerz wisi u mnie nad kominkiem.



Pięćdziesiąt lat stażu pracy w jednym zakładzie to osiągnięcie rzadko w tych latach spotykane. Rzut oka na statystyki - dla osoby, która na przełomie 1931 i 1932 r. nie skończyła roku, prognozowana dalsza długość życia wynosiła 48,2 lat (dla mężczyzny) lub 51,4 (dla kobiety). Dalsza długość życia dla osób, które miały wówczas kilka lat, wyglądała lepiej: dla trzylatka – 57 lat. Dla dzieci urodzonych w roku 1873 prognozowana długość życia wynosiła niespełna 40 lat! I to niestety potwierdziło się także w rodzinie Pękalskich z powodu wysokiej umieralności dzieci.

Kiedy Franciszek zaczynał pracę od czterech lat nie żył poprzedni dzierżawca, a później właściciel fabryki Kazimierz Cybulski, jego rolę przejęli synowie Stanisław i Władysław. To oni zatem zatrudnili mego dziadka w swej fabryce, która oprócz fajansów i porcelany wytwarzała wtedy także kafle i cegły ogniotrwale.

Bracia Pękalscy pracowali na różnych wydziałach, ale obaj szybko awansowali. Na poniższym zdjęciu z ok. 1908 roku należą już do ścisłego kierownictwa, jako mistrzowie kierujący najważniejszymi wydziałami fabryki. Stanisław siedzi, a Franciszek stoi w prawym, górnym rogu. Pięć lat temu stracili ojca Karola, a niedługo po nim 18. letnią siostrę Annę. Materialnie powodzi im się dobrze, to chyba najlepszy okres w ich karierze zawodowej.

Udział w wystawie nowożytnych tkanin i wyrobów ceramicznych w Krakowie przyniósł dalsze sukcesy fabryce. Odbывała się ona w r. 1905 w pałacyku Czapskich w Krakowie i przyniosła sukces wyrobom z Ćmielowa. Podobały się zwłaszcza serwisy stołowe oraz serwis do herbaty tzw. Monachijski z czarkami pod samowar i talerzykami deserowymi.

Uznaniem cieszyły się serwisy do białej kawy o nazwach GIEWONT, IRYS, AJOUR, MUŚLIN i FAURE ukształtowane w duchu secesji.



#### 25. Kierownictwo fabryki porcelany w r. 1908

Fabryka dobrze prosperowała do czasu wybuchu I wojny światowej, w wyniku której została poważnie zniszczona. Po wojnie powstała spółka akcyjna i fabrykę odbudowano, a produkcja ruszyła dopiero w r. 1921.

W końcu 2006 r. odkryłem kartkę napisaną do Franciszka Pękalskiego przez jego syna Tadeusza. Kartkę wysłano z Pępowa (gdzie ojciec mój był nauczycielem) w dniu 22 września 1932 roku i zaadresowano do Fabryki Porcelany w Chodzieży. W tym czasie oba zakłady miały tego samego właściciela, a zatem oddelegowanie mistrza odlewni miało swój cel. Fabryka ta upadła w r. 1859, a zaczęła się ponownie rozwijać po wybudowaniu linii kolejowej Poznań-Piła. W tym czasie właścicielem był kupiec niemiecki Hein. Sprzedał on fabrykę niemieckiej spółce ceramicznej KERANOS w r. 1895. Nowy okres zakładu zaczął się w r. 1921, kiedy to kupił go Stanisław Mańczak z Poznania (bądź też zarządzał nim w imieniu spółki).

W latach 1925-30 Chodzież była b. rentowna z uwagi na duży eksport do Holandii i krajów skandynawskich. W r. 1924 Spółka Akcyjna Ćmielów wykupuje od niemieckiej firmy Keranos fabrykę porcelany w Chodzieży (wspólny zarząd, wspólny znak firmowy), co wyjaśnia omawianą wyżej kwestię okresowej pracy Franciszka w Chodzieży. W r. 1936 zakład w Chodzieży przestaje działać i nie był

już razem w spółce z Ćmielowem. Ten związek obu fabryk powstanie znowu po II wojnie światowej.

Nie ulega wątpliwości, że mój ojciec odwiedzał Franciszka w Chodzieży. Miał do dyspozycji połączenie kolejowe, co prawda nie bezpośrednio, ale podróż trwała nie dłużej, aniżeli 3 godziny.

Z Marianną z Zaborskich Franciszek wziął ślub 31 sierpnia 1898 roku. Pierwsze dziecko z tego związku dostało imię Kazimierz ur. 2.03.1901 r. Dziecko to zmarło 15 sierpnia 1906 r., zapewne na jakąś banalną chorobę dziecięcą. Aniela urodziła się 22.02.1903 r. i żyła wystarczająco długo, abym mógł zetknąć się z nią osobiście, jako dziecko.

Trzecim dzieckiem była Marianna ur. 5.04.1905 r., żyła tylko 8 dni.

Czwartym dzieckiem był mój ojciec Tadeusz ur. 28.06.1906 r.

Piąty był Jan Kazimierz ur. 22.06.1908 r. , brak aktu zgonu, ale nie dożył do pełnoletności. Rodzice chrzestni to Walerian Chodurski i Marianna Orłowska, co potwierdza związki rodzinne z rodziną Orłowskich.

Szósty, znowu Kazimierz, ur. w r. 1909, zmarł 29.03.1920 r. w Ćmielowie, jak i jego rodzeństwo.

Ostatnia była Zofia Honorata ur. 9.12.1910 r., zmarła 14.03.1988 r. Nie miała męża, ani dzieci.

Było więc dzieci siedmioro, a wieku dojrzałego dożyła trójka, a potomstwo miało dwoje z nich.

Franciszek ciężko pracował, aby zapewnić dzieciom codzienny chleb i wykształcenie. Obok pracy w fabryce uprawiał kilka mórg ziemi i hodował świnię, kury, króliki i inny drobny inwentarz. Pomagała mu Marianna, która dbała o dzieci i pomagała w tym niewielkim gospodarstwie. W czasie I wojny światowej ta ziemia uchroniła ich od głodu, kiedy wojska austrowęgierskie podpaliły fabrykę i nie było pracy przez 3-4 lata. Podobnie było w latach II wojny światowej.

Kiedy minęły złe lata Tadeusz i Aniela kształcili się na nauczycieli, co wymagało znaczącego wsparcia finansowego. Teraz jednak Franciszek miał silną pozycję zawodową, kierował nie tylko odlewnią, ale także przyjmował zamówienia na wyroby gotowe i przygotowywał je do wysyłki.

Znany malarz Bolesław Polankiewicz (1879-1935), uczeń Wojciecha Gersona, narysował w r. 1922 karykaturę, czy raczej portret Franciszka.



26. Franciszek Pękalski w r. 1922

Trzyma on w ręku "zamówienie na filiżanki berlińskie szt. 10000", a na głowie ma nieodłączną baranicę. Tak właśnie wyglądał nasz dziadek blisko 100 lat temu. Wcześniejsze zdjęcia znamy z fotografii rodzinnej i ze zbiorowych zdjęć pracowników fabryki. Zachowały się też unikalne zdjęcia Franciszka w postaci reprodukcji negatywowych, a mianowicie fotografia późniejsza od powyższej z roku 1934 oraz fotografia z okresu, kiedy dziadek był już na emeryturze zrobiona krótko przed wybuchem II wojny światowej.

Polankiewicz był w latach 1903-1914 kierownikiem malarni.

Kiedy Franciszek rozpoczynał swoją drogę zawodową na terenie Królestwa Polskiego był 10 fabryk fajansu i porcelany (1880 r.) Najwięcej było ich w guberni Warszawskiej z produkcją 185 tys. rubli, potem w guberni Kaliskiej - 100 tys. rubli oraz w Radomskiej (do której należał Ćmielów) z produkcją 34,5 tys. rubli. Sam zakład ćmielowski należący do Kazimierza Cybulskiego, produkował wówczas wyroby za 20,5 tys. rubli i zatrudniał 62 robotników. Największą fabryką w tym czasie były zakłady Zygmunta Kufelda i Ludwika Cohna w powiecie Włocławek, guberni Warszawskiej z wyrobami o wartości 57 tys. rubli i zatrudnieniem 124 robotników.

Stanisław Cybulski w ciągu kilku lat zmienił profil produkcji fabryki zmierzając do ujednoczenia produkcji. Zlikwidowano działy fajansu, kamionki i majoliki specjalizując się dalej w porcelanie. Uboczna produkcja cegły ogniotrwałej i kafli nie była zbyt wielka. W takim zakładzie zaczynał pracę młody Franciszek mając za dyrektora technicznego Feliksa Pawłowskiego (1888-1890), a później Stanisława Chełmińskiego do roku 1895. Potem była era Franka (1896-98), który wprowadził w zakładzie nowoczesną technikę odlewania porcelany w formach gipsowych z masy lejnej z dodatkiem peptyzatorów sodowych. Technika ta pozwalała na uzyskiwanie odlewu całościowego, co było przydatne przy wyrobie figurek porcelanowych pustych w środku, a więc lżejszych. Około roku 1900 sprowadzono ponownie do Ćmielowa specjalistów z Limoges. To tam już w roku 1771 rozpoczęto produkcję porcelany na bazie własnych złóż kaolinu. Dyrektorem technicznym został Lechaise, a malarnią i drukarnią kierował Paulhat. Francuzi wprowadzili racjonalne szkolenie pracowników w formie trzyletnich kursów zdobniczych. Franciszek z nich nie skorzystał, miał wtedy 27 lat i 12 lat stażu pracy w fabryce. Za pięć lat zostanie majstrem w odlewni. Z kursów tych korzystała głównie miejscowa młodzież, gdyż po ich ukończeniu istniała gwarancja zatrudnienia. Nauczanie polegało na opanowaniu rysunku odręcznego i technicznego, poznanie zasad dekoracji na porcelanie oraz na praktyce w zakładzie.

Malarnię objął wkrótce wspomniany już artysta malarz Polankiewicz, a także wybitny dekorator Józef Wysocki., który na całe życie związał się z zakładem. Modelarnię początkowo prowadzili dwaj bracia J. i F. Tessinerowie, a następnie zdolny modelarz Mikołaj Kolasa związany z fabryką ćmielowską do r. 1923, a następnie do końca życia z Chodzieżą.

Działalność francuskich instruktorów przyniosła znakomite rezultaty i to nie tylko szkoleniowe. Już w roku 1901 znacznie wzrosła produkcja, a także poprawiła się jakość wyrobów porcelanowych. Na Wielkiej Wystawie w Petersburgu wyroby z Ćmielowa zdobyły Grand Prix, dzięki czemu fabryka otrzymało dużo zamówień z Rosji.

Reklama fabryczna z roku 1902 polecała *"w wielkim wyborze Serwisy stołowe dekorowane w stylu francuskim, Garnitury do herbaty i Kawy oraz wszelką Porcelaną białą, elektrotechniczną i apteczną. Piece i kominki białe i majolikowe."*

W tym samym czasie nastąpiły zmiany pod względem zdobienia wyrobów. Obok dekoracji malowanych ręcznie pojawiła się kalkomania, czyli dekoracja mechaniczna. Na szklivo przenoszono dekorację kolorową odbitą na kalkach techniką litograficzną przy użyciu farb ceramicznych, które po ponownym wypaleniu łączyły się świetnie ze szklivem. Kalki sprowadzano z Francji, Niemiec i Czech.

W roku 1904 odnotowano w ćmielowskiej fabryce drugi większy pożar. Nie był on szczególnie groźny, gdyż produkcji nie przerwano. W ramach likwidacji skutków pożaru zostały poczynione inwestycje w zaplecze socjalne. Przy fabryce powstała ochronka dla dzieci pracowników, łaźnia, straż ogniowa, czytelnia oraz herbaciarnia dla robotników. Ta ostatnia nie cieszyła się powodzeniem, a więc została szybko zlikwidowana. Powstało za to schronisko dla osób starszych wiekiem, głównie dla emerytowanych pracowników fabryki, którzy z przyczyn losowych nie mieli gdzie mieszkać.

Modernizację fabryki przeprowadzono w latach 1909-1910 w sposób zaskakująco odważny i radykalny. Franciszek był już wtedy w kierownictwie zakładów, jako majster odlewni i miał wpływ na decyzje podejmowane w sprawach swojego wydziału. Został zbudowany nowoczesny piec tunelowy klasy europejskiej, do którego porcelana wjeżdżała na wózkach i stopniowo przechodziła proces wypalania i ostygnięcia w ściśle regulowanej temperaturze. Zmechanizowano też inne procesy produkcji. Masę ceramiczną przygotowywano mechanicznie przy użyciu energii otrzymanej z lokomobili o mocy 25 KM. Toczki formierskie i modelarskie poruszane były przez pasy transmisyjne, bowiem fabryka została w pełni zelektryfikowana.

W tzw. drugim okresie księcia Druckiego-Lubeckiego sygnowano wyroby znakiem herbu rodowego. Od 1887 do 1900 stosowano uproszczony znak miecza z czterema półksiężycami przy rękojeści. Był wyciskany w cieście lub malowany kobaltem na szklowie. W latach 1900-1920 wprowadzono znak drukowany w barwie niebieskiej, czerwonej lub zielonej, skomponowany z herbu pod mitrą księżącą z cyframi rodowymi D.L. po bokach i nazwą miejscowości u dołu.

Wspaniale rozwijająca się produkcja została przerwana wybuchem pierwszej wojny światowej po ukończeniu, której ks. Aleksander Drucki-Lubecki jr. nie był zainteresowany inwestycjami na rzecz uruchomienia zdewastowanej przez wojnę fabryki i wystawił ją na sprzedaż.



### 27. Fabryka porcelany odbudowana po zniszczeniach I wojny światowej- r. 1924

Jak już wiemy po wojnie powstała spółka akcyjna do zarządu, której weszli przemysłowcy, właściciele ziemscy oraz dyrektorzy banków lwowskich i warszawskich. Dyrektorem zarządzającym fabryka został Jerzy Holnicki Szulc, doświadczony ceramik z praktyką na Łotwie i w Rosji. Jego zastępcą był Franciszek Ksawery Szymański, a dyrektorem technicznym inż. Leopold Sielicki. Franciszek, który w okresie tych przemian miał 48 lat i 33 lata stażu pracy. Produkcja była bardzo urozmaicona, gdyż oprócz porcelany stołowej białej i malowanej wytwarzano porcelanę elektrotechniczną, ceramikę montażową, apteczną, cegły szamotowe oraz retorty gazownicze. W tym przełomowym 1921 roku fabryka zatrudniała ok. 700 osób i wyprodukowała blisko 300 wagonów wyrobów gotowych. Dało to 17,2 tys. MK czystego zysku, a to oznaczało wypłatę dywidendy dla akcjonariuszy już w pierwszym roku. Zarząd zakładów intensywnie inwestował w zaplecze socjalne i transportowe. Wybudowano dwa domy mieszkalne dla pracowników oraz ochronkę dla dzieci. Powstała normalna bocznicą kolejowa z rampą do transportu surowca i ekspedycji produktów. Wybudowano także kolejkę wąskotorową od stacji

Ćmielów do fabryki. W roku 1924 wybudowano palarnię i odkwaszalnię materiałową oraz wzniesiono odrębny budynek dla warsztatów mechanicznych. W tym samym roku zakupiono fabrykę fajansu w Chodzieży oraz fabrykę kamionek i szamotu "Marywill" w Radomiu. Obie te inwestycje były chybione i zbyt kosztowne. Zakłady w Radomiu odsprzedano już po dwóch latach, a Chodzież upadła w tym samym czasie z powodu fatalnej jakości wyrobów. Jak to się stało, że fabryka posiadając doświadczoną kadrę i świetnej jakości surowce produkowała buble? Okazało się, że była to celowa działalność niemieckich technologów, których usunięto po trzymiesięcznym strajku załogi. Nowa spółka zatrudniła polskich specjalistów, co bardzo szybko przyniosło poprawę jakości wyrobów.

Pracownią dekoratorską Ćmielowa kierował Bolesław Polankiewicz, który w 1922 przeniósł się na stałe do Chodzieży. Następnie działali w zakładzie znakomici dekoratorzy, jak Józef Kwiecień, Józef Wysocki i Stanisław Stan. Spółka Ćmielów opanowała w latach trzydziestych cały rynek krajowy oraz cieszyła się sporym uznaniem na rynku światowym. Główne kierunki eksportu to Turcja, Holandia, Egipt, Palestyna i Stany Zjednoczone.

Analiza stanu zatrudnienia w roku 1938, kiedy to Franciszek odchodził na zasłużoną emeryturę po 50 latach pracy, pokazuje fabrykę tętniącą produkcją przez całą dobę. Szlamownia pracowała bowiem bez przerwy 24 godziny na dobę, dając 120 ton masy do przerobu. Warsztaty tokarskie i odlewnicze pracowały z obsadą 220. osobową, a malarnia 340. osobową. Cztery piece mufłowe oraz piec tunelowy na trzech zmianach obsługiwane były przez 86. pracowników. Ćmielowa nie dotknął specjalnie kryzys światowy na początku lat trzydziestych. Kłopoty za to miała fabryka w Chodzieży, gdzie kryzys ekonomiczny groził nawet zamknięciem zakładu. Wybuchły strajki przeciwko redukcjom w zatrudnieniu i być może to właśnie wtedy Franciszek został wysłany w celu zażegnania tych protestów. Chodzież została uratowana, wzrosła produkcja, krótko przez wojnę fabryka ta zatrudniała ok. 1000 pracowników i była równorzędnym partnerem Ćmielowa pod względem technologicznym i artystycznym.

Zupełnym zaskoczeniem dla fabryki ćmielowskiej było powstanie w roku 1936 konkurencyjnego zakładu ŚWIT działającego, jako spółka akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością. Jest rzeczą oczywistą, że większość pracowników tej nowej firmy stanowili "uciekiniery" z głównego zakładu. Nowy zakład nie miałby szansy konkurowania z fabryką o ponad stuletnich tradycjach w produkcji porcelany stołowej, ale jego siłą były oryginalne projekty nowych fasonów Bogumiła Marcinka. Zostało jednak zbyt mało czasu, gdyż rozwój nowego zakładu został zahamowany przez wybuch wojny.



Franciszek był już wtedy na zasłużonej emeryturze w czasie, której dużo czytał, a także słuchał radia.



**28. Franciszek Pękalski na emeryturze - rok 1938**

Na tym zdjęciu istniejącym tylko w postaci miniaturowej klatki negatywu nie byłem początkowo w stanie rozpoznać postaci mego dziadka. I te dziwne słuchawki na uszach? Na zrobionej odbitce zauważyłem pamiątkowy talerz z okazji 50. lecia pracy zawodowej i wtedy stało się jasne, kogo ta fotografia przedstawia. Rozpoznałem radio, które u zarania istnienia było małym pudełeczkiem z kryształkiem /potem z dwiema lampami/ i parą słuchawek. Na dachach rozwieszało się 50 metrowej długości anteny, których wymagały Detefony-pierwsze radia detektorowe. Co ciekawe nie miały one żadnego źródła zasilania, ale ich zasięg był mizerny. Po wybudowaniu w r. 1931 masztu w Raszynie Detefonu można już było używać w całej Polsce za wyjątkiem wschodniej Wileńszczyzny. Radia te można było nabyć wszędzie -nawet na pocztę -także na raty za 41,50 zł wraz z rocznym abonamentem. Fotografia ta została wykonana na krótko przed wybuchem wojny, żyła jeszcze żona Franciszka Marianna, a jego syn Tadeusz (mój ojciec) nie był jeszcze żonaty.

Córka Aniela (1903-1976) wyszła kilka lat wcześniej za Kazimierza Niedzielskiego (1905-1980) i miała syna Andrzeja ur. w roku 1931. Był to jedyny wnuk, jakiego Franciszek miał okazję poznać osobiście. Aniela była nauczycielką i pracowała w różnych szkołach w powiecie Ostrowiec Św., a także w Ożarowie. W czasie wojny straciła pracę, wróciła do domu rodzinnego z synkiem, a mąż zaginął w zawierusze wojennej. Okazało się, że był w niewoli, a od 1944 walczył w I Armii WP. Po wojnie zdecydowali się na wyjazd na Ziemie Odzyskane, gdzie otrzymali gospodarstwo rolne w Starym Jaromierzu w powiecie zielonogórskim. Wcześniej osiedlił się tam brat Kazimierza Tadeusz Niedzielski (1899-1963) i to on namówił młodszego brata do wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Obaj prowadzili gospodarstwa rolne w gminie Kargowa i na tamtejszym cmentarzu są pochowani. Niewykluczone, że Tadeusz sprowadził także matkę obu braci Marię Niedzielską (1875-1953), ale nie udało mi się uzyskać potwierdzenia tego faktu, gdyż miejscowy USC wrogo odnosi się do badań genealogicznych. Aniela pracowała w miejscowej szkole podstawowej, a ich syn pomagał ojcu w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Istnieje bogata dokumentacja fotograficzna życia siostry naszego ojca w tych stronach, aż do momentu pogrzebu Anieli. Zmarła ona 21 lipca 1976 r., pogrzeb odbył się kilka dni po śmierci, dokładna data nie jest znana. Zgodnie z aktem urodzenia nr 50/1903 Aniela urodziła się w Ćmielowie 22 lutego, data na nagrobku różni się o 1 dzień. Pogrzeb zaczyna się od wywiezienia trumny z gospodarstwa w Starym Jaromierzu do kościoła w Kargowej. Stamtąd kondukt ruszył ulicą Wolsztyńską do Rynku, a po jego przejściu na cmentarz parafialny.



29. Rodzina Anieli Pękalskiej w Starym Jaromierzu - rok 1947

Razem z rodzicami odwiedzałem ciotkę Anielę w latach 1947-50 naszym starym FORDEM. Z Gostynia było to nieco ponad 100 km, drogi marne, jechało się 3 godziny. Wujek Kazimierz potrafił pokonać tę odległość wozem konnym przyjeżdżając na chrzest mojej siostry Marii Anny w maju 1953 r. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Na powyższym zdjęciu miałem trzy lata, stoję z mamą, a obok ciotka Aniela, wówczas 44. letnia. Jest także wuj Kazimierz i ich syn Andrzej Niedzielski.

Wybiegłem nieco w przyszłość, ale córka Aniela była bliska swemu ojcu, cieszył się też on z wnuka, kiedy odwiedzali go na emeryturze.

Wojna spowodowała poważne zmiany w funkcjonowaniu zakładów porcelany. fabryka ćmielowska zachowała integralność, gdyż była to własność prywatna. Dostała tylko nadzorcę niemieckiego, chociaż śmierć głównego udziałowca i opiekuna fabryki Stanisława Burtana w roku 1940, pogorszyła sytuację. Udziały przejęli żona i syn głównego udziałowca. Inż. Juliusz Burtan skutecznie zabezpieczał fabrykę przed upadkiem działając jednocześnie w konspiracji. W listopadzie 1940 r. lista płac obejmowała tylko 50 osób, produkcja spadała z powodu braku surowców i opału. W końcu zatrudniano na stałe tylko 30 osób, a ok. 300 robotników dostawało prace zlecone w miarę posiadanych surowców. Fabryka w Chodzieży znalazła się na terenie Rzeszy i została wywłaszczona już w październiku 1939 r. Pracowników zwolniono, a potem przesiedlano i wywożono na roboty w głąb Niemiec. Niektórzy z przesiedleńców trafili w okolice Ćmielowa i mogli pracować w zawodzie, ale byli to nieliczni szczęściarze.

Końca wojny Franciszek nie doczekał, zmarł 29 września 1941 r. w swoim domu w Ćmielowie przy ulicy Długiej 62. Mieszkała tam w tym czasie jego siostra Zofia Teresa, córka Aniela z synem i córka Honorata. Żona Franciszka Marianna zmarła dwa lata po nim w roku 1943. Honorata zmieniała miejsca zamieszkania, gdyż pracowała także, jako nauczycielka, ale po śmierci swej ciotki Zofii Teresy ostatecznie osiadła w domu rodzinnym i pracowała w urzędzie gminnym. To ona przeprowadziła w roku 1978 postępowanie spadkowe po rodzicach i otrzymała akt własności posesji. Tadeusz Penkalski zrzekł się tego spadku na rzecz siostry w ramach rozliczeń rodzinnych.

Mało brakowało, aby pod koniec wojny fabryka ćmielowska została zniszczona tak, jak to się stało w trakcie pierwszej wojny. Jak głosi legenda zakłady zostały uratowane w końcu roku 1944 przez ówczesnego dyrektora Tadeusza Worskiego, który przekupił oficera niemieckiego złotą papierośnicą. I tak kończy się historia fabryki porcelany w Ćmielowie, z którą przez całe swoje pracowite życie był związany Franciszek Pękalski. Nie przestała ona oczywiście

istnieć, została upaństwowiona w styczniu 1946 roku, ale jej dalsza historia już nas nie interesuje.

O szczegółach śmierci Franciszka wiemy od ciotki Anieli, która z nim mieszkała. Oddajmy jej więc głos w liście do brata z 5.10.41.

*"Ojciec gryzł się niepomierne wojną i warunkami, w jakich znaleźliśmy się razem. Zadowolony był tylko z Ciebie, że jakoś sobie dajesz radę. Martwił się tylko ciągle, jak my przetrzymamy. Mam wrażenie, że to wszystko załamało go, że przestał uważać na swoje bardzo liche płuca. Po niedzielnym spacerze w pole w poniedziałek chciał wstać, ale upadł nieprzytomny. Wezwany doktor orzekł zapalenie lewego płuca i oznajmił, że zrobi wszystko, co możliwe, ale przewiduje bezskuteczność wysiłków. Chodził co dnia, lekarstwa, zastrzyki, ale on cierpiął tak bardzo, że o śmierć prosił. Kopaliśmy kartofle w tym samym tygodniu, ja z Honorką i ciocia Zosia, interesował się zbiorem i zwózką. Przypomniał mi, że obiecałam list do Ciebie napisać, mówił o depezy. Omówił wszystkie szczegóły pogrzebu. Ósmego dnia po nocy bardzo ciężkiej, powiedział, że to koniec, bo mu bardzo niedobrze i o jedenastej umarł. W pierwszych kłopotach pogrzebowych pomógł nam Edek, my byliśmy bez siły i głowy, jak kłębki nerwów.*

*Fabryka zwróciła koszty pogrzebu, księża nie wzięli nic, pogrzeb miał bardzo ładny. Kierownictwo fabryki, wieńce, dużo ludzi. Pochowany tymczasowo w grobach rodziny Wolańskich, tam miał obiecanie miejsce.*

*Jeżeli wojna potrwa jeszcze najwyżej rok, to może przetrwamy z tym, co jest w miejscu opalając z trzech tylko jedno mieszkanie. O pracę niezmiernie trudno, aprowizacja osady prawie żadna, ceny wygórowane. Kto ma żyłkę do handlu i nerwy odpowiadające sytuacjom raz na wozie, raz pod wozem, to żyje znośnie.*

*Niestety żadna z nas nie nadaje się. Józek Kurkiewicz zaczepił się w Krzczonowicach, Wysoczanka w Ćmielowie, a reszta Pęcińska, Krawczykówny, Pękalski tak, jak ja, tkwią niepotrzebni nikomu, bez możliwości odejścia.*

*Ciocia Stasia jest we Lwowie, nie pracuje już."*

Tylko antybiotyki mogły uratować Franciszka, ale tych w tym czasie nie otrzymywali nawet żołnierze na frontach wojny. Tam stosowano wówczas sulfonamidy. Penicylina dla walczących aliantów pojawiła się w r. 1944, a w naszych szpitalach dopiero w 1950.

Wspomnianą Stanisławę, zakonnicę udało się ewakuować ze wschodu, ale z rąk ukraińskich nacjonalistów poniósł śmierć Karol Milewski

## Rozdział IV

### Tadeusz Penkalski - ojciec

#### 1/ Czasy szkolne w ĆMIELOWIE

Urodzony 28 czerwca 1906 Tadeusz był czwartym z siedmiorga dzieci Franciszka i Marianny. Jego starszy brat Kazimierz miał wtedy pięć lat, ale zmarł 15 sierpnia w roku urodzenia Tadeusza. Towarzystką dzieciennych zabaw mogła więc być tylko siostra Aniela starsza o trzy lata.

Rok to był szczególny w dziejach Ćmielowa, gdyż w styczniu upadła Republika Ostrowiecka, która została proklamowana 27 grudnia 1905 na fali strajków, wieców i manifestacji ulicznych, podczas rewolucji w Królestwie Polskim. U jej steru stanął Ignacy Boerner – bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Strajki, które objęły Ostrowiec, Łżę, Ćmielów i okolice, miały początkowo charakter płacowy, potem – antyrosyjski. Wezwano do likwidacji carskiej administracji, organizowania milicji ludowej, tworzenia samorządu rewolucyjnego oraz konfiskaty broni. Republika upadła w połowie stycznia 1906 po wkroczeniu do Ostrowca rosyjskich pułków piechoty z artylerią. W pierwszym miesiącu ekspedycji karnej aresztowano przeszło 50 osób. Wśród nich znaleźli się Adam Mrozowski oraz lekarz fabryczny I. Dąbrowski. Wojska rosyjskie dokonały licznych grabieży. Sztab ekspedycji zajął budynki fabryczne w Klimkiewiczowie. Zagrożono ostrzałem artyleryjskim miasta w przypadku jakiegokolwiek aktu oporu. Trudna sytuacja ekonomiczna i represje spowodowały zahamowanie ruchu wyzwolenczego. Dalsza działalność rewolucyjna prowadzona była w głębokiej konspiracji.

Tak więc rodził się Tadeusz w roku rewolucji przeciwko zaborcy rosyjskiemu, kiedy to protestowano także przeciwko rusyfikacji szkolnictwa. Przyniosło to pewną odwilż w tym zakresie. Zaborcy zezwolili na naukę religii w języku polskim, a także samego języka ojczystego.

Tak też działało się w tej szkole ćmielowskiej, której zdjęcie klasowe z roku 1908 zachowało się w zbiorach dr. Orłowskiego. Nauczyciel widoczny na zdjęciu to Władysław Szymański pracujący aż do lat 30. tych w rejonie Ćmielowa. Ksiądz to Józef Wieczorek, nauczyciel religii w latach 1907-09. Drugi od lewej w rzędzie

siedzących chłopców to Franciszek Orłowski, późniejszy nauczyciel w tej samej szkole.



**30. Zdjęcie klasowe z r. 1908 - Ćmielów**

W takiej szkole elementarnej w jednej sali jednocześnie uczyły się 4 oddziały- wstępny, pierwszy, drugi i trzeci. Z poszczególnego domu mogło do szkoły uczęszczać tylko jedno dziecko przeważnie ośmioletnie lub dziewięcioletnie. Pozostałe dzieci mogły uczyć się tylko prywatnie.

W okresie jednego roku 1909-1910 uzyskując pożyczkę od władz oświatowych i pomoc ludności miasteczka w postaci czynów społecznych wybudowano nowy budynek dla szkoły. Wówczas władze zatwierdziły szkołę już, jako dwuklasową po cztery oddziały, w której pracowało kilku nauczycieli z ministerialnym programem nauczania według instrukcji z 1875 roku. Była to pierwsza wzorcowa szkoła w guberni radomskiej, która zaczęła pracować według tego systemu nauczania. Do wybudowania nowego budynku w 1910 roku w szkole uczyło się 150 uczniów, a po wybudowaniu nowej szkoły w 1911 roku było

około 300 uczniów. Uczono w języku rosyjskim, tylko religia i język polski były prowadzone w języku ojczystym. Do takiej szkoły zaczął uczęszczać mały Tadek w roku 1913, ale jego edukacja w systemie zaboru rosyjskiego trwała tylko dwa lata. Po wybuchu wojny nauczyciele już w latach 1915 – 1918 wprowadzili koncepcję struktury polskiego szkolnictwa, samorządu oświatowego i administracji szkolnej. Podstawą całego ustroju szkolnego miała być wysoko zorganizowana szkoła powszechna, siedmioletnia i siedmioklasowa, bezpłatna, rozbudowana według potrzeb terenowych. Postulat wysoko zorganizowanej szkoły powszechnej i cały projekt ustroju szkolnego był szeroko dyskutowany i w ostrej walce przyjęty przez Sejm Nauczycielski w 1919 roku oraz ujęty dekretem Naczelnika Państwa i zatwierdzony następnie przez Sejm Ustawodawczy 22 lipca 1919 r.



31. Zdjęcie klasy Tadeusza z r. 1914

Widzimy na tym zdjęciu klasowym małego Tadka w początkach edukacji w r. 1914 (zaznaczony zieloną kropką), w środku siedzi nauczyciel W. Szymański. Takie były początki lat szkolnych ojca, ale już wtedy marzył, aby zostać inżynierem, co wymagało studiów politechnicznych. W latach późniejszych szczególnie interesowała go elektrotechnika oraz radiotechnika, a także fotografia. Z domu ojca wyniósł zamiłowanie do książek, które potem kupował przy każdej okazji. Franciszek Pękalski skończył tylko cztery klasy szkoły elementarnej, ale przez całe życie doksztalał się, jako samouk, a także na kursach organizowanych przez fabrykę porcelany. Korzystał też z zakładowej biblioteki dla pracowników.

Okres odwilży nie trwał jednak długo. W 1907 r., po przewyciężeniu wewnętrznego kryzysu nastąpił okres tzw. „reakcji stołypinowskiej”, co dla szkolnictwa Przywiślańskiego Kraju oznaczało powrót do politycznego status quo sprzed 1905 r. W praktyce wprowadzono ograniczenie swobody zrzeszania się, co doprowadziło do likwidacji instytucji oświatowych oraz im podobnych. Zamykano pod różnymi pretekstami szkoły, represjonowano młodzież oraz kontynuowano politykę zwalczania przejawów polskości. Taka sytuacja miała miejsce do momentu wybuchu I wojny światowej i zajęcia ziem b. Kongresówki przez wojska państw Centralnych w 1915 r.

Widzimy zatem, że szkolnictwo pod zaborem rosyjskim miało na celu głównie rusyfikację młodzieży i przygotowanie chłopców służby wojskowej, która w tym czasie trwała pięć lat.





32. Klasa Tadeusza w r. 1916

Na kolejnym zdjęciu z roku 1916 obok Tadka występuje jeszcze trzech innych Pękalskich oznaczonych cyframi tj.: nr 1-Tadeusz, nr 2-Stefan, nr 3-Kazimierz i nr 4-Franciszek. Jak widać klan Pękalskich trzymał się razem, wszyscy byli w jakimś stopniu spowinowaceni. Identyfikacji dokonał w maju 2006 r. nestor rodu Jan Pękalski, który był także posiadaczem kopii tej samej fotografii. Luki w aktach parafialnych Ćmielowa utrudniły bezsporne zidentyfikowanie tych uczniów.



33. Zdjęcie szkolne z r. 1919

To już końcowa faza nauki Tadeusza, choć jego na tej fotografii nie ma. Nauczycielem był Franciszek Orłowski z rodziny z nami spowinowaconej. Jak wiemy obie siostry Tadeusza i on sam zdecydowali się ostatecznie na seminarium nauczycielskie. Ważne były koszty, gdyż ich ojca nie było stać na zapewnienie edukacji poprzez szkołę średnią i studia wyższe z uwagi na konieczność opłacania czesnego. Seminarium takie funkcjonowały na terenie Królestwa Polskiego, w sumie było ich dziewięć. W latach odwilży tj. 1906-1907 powstały polskie seminarium nauczycielskie w Warszawie i Ursynowie. Były to placówki prywatne, a ich absolwenci by otrzymać świadectwo nauczycielskie musieli zdać egzamin przed komisją.

Po roku 1915 wszystko się zmieniło, rosyjskie seminarium ewakuowały się do Rosji wraz z kadrą nauczycieli, a na ich bazie powstały polskie placówki. Powstały też szkoły podstawowe siedmioletnie i Tadeusz taką szkołę ukończył w Ćmielowie w roku 1920.

Tadeusz podjął naukę w seminarium w Ostrowcu Świętokrzyskim, które trzy lata wcześniej ukończyła jego siostra Aniela, a pójdzie w jego ślady Zofia Honorata.



34. Zofia H. Pękalska w VII klasie - r. 1926

Tutaj widzimy ją w górnym rzędzie druga od lewej (oznaczona krzyżykiem), kiedy jeszcze była w VII, ostatniej klasie szkoły podstawowej w 1926 roku. W drugim rzędzie pierwsza z lewej Jadwiga Drabówna, obok niej nauczycielka Maria Lewicka (później z męża Wasik), dalej kierownik szkoły Michał Janaszek. Za księdzem siedzi siostra Marii Zofia Lewicka i w białej sukni Bogumiła Masłowska.

Wcześniej miał miejsce młodzińczy bunt Tadeusza, który nie informując nikogo wyjechał do Gdańska, aby spełnić swoje marzenia o morzu. W swoim życiorysie napisanym 7 marca 1945 roku podaje datę 7 sierpnia 1920, kiedy to wstąpił do marynarki handlowej. Mógł być w tym wieku tylko chłopcem okrętowym, czyli jungą. Jak podaje pracował na statkach duńskich i polskich, ale tych nie było zbyt wiele. Polska flota handlowa dopiero się rodziła. W tym czasie istniało tylko Towarzystwo Żeglugowe "Sarmacja", które eksploatowało niewielki, drewniany statek KRAKÓW. Statek ten zatonął 7 lutego 1922 zgnieciony przez lody w Kattegacie. Załoga (14 osób) uratowała się maszerując po lodzie do Danii.

Tadeusz zakończył swoje pływanie 1 października 1921 roku już, jako marynarz i powrócił do Ćmielowa, aby dalej się uczyć.

## 2/ Seminarium nauczycielskie i praca w szkole

Kształcenie nauczycieli oparte było o pięcioletni cykl nauczania, a kandydaci do seminariów nauczycielskich musieli wykazać się wykształceniem sześcioklasowym, uzdolnieniami muzycznymi i dyspozycjami psychicznymi. Egzamin wstępny był kilkudniowy i obejmował pracę pisemną z języka polskiego i arytmetyki, uzdolnienia muzyczne oraz psychologiczne obserwacje zachowania kandydatów. Dla młodzieży po czterech klasach (a taki poziom wykształcenia przeważał) tworzone w pierwszych latach tzw. *preparandy* – dwuletnie oddziały z programem uzupełniającym wykształcenie na poziomie podstawowym. W roku szkolnym 1922/1923 z *preparand* zrezygnowano. Pięcioletni program nauczania przewidywał nauczanie przedmiotów tzw. ogólnokształcących w pełnym zakresie szkoły średniej oraz przedmiotów pedagogicznych (pedagogiki ogólnej, dydaktyki poszczególnych przedmiotów z programu szkoły powszechnej, psychologii i historii wychowania). W klasach czwartej i piątej także rozbudowaną naukę tzw. zajęć praktycznych, rysunku, śpiewu, ogrodnictwa, gospodarstwa domowego. Począwszy od trzeciego roku nauki uczniowie seminariów nauczycielskich odbywali **praktyki zawodowe**. Młodszy, z kursu trzeciego, czyli klasy trzeciej pełnili pomocnicze dyżury w czasie przerw międzylekcyjnych, uczniowie kursu czwartego przygotowywali i przeprowadzali samodzielne lekcje, kursu piątego – dwutygodniowe praktyki w wybranych szkołach pod okiem wykwalifikowanych nauczycieli danej szkoły. Nauczyciele seminariów nauczycielskich mieli obowiązek kontrolowania przebiegu praktyk i wystawiania ocen, które były brane pod uwagę w ocenach końcowych.

Tadeusz podaje, że wstąpił od razu na drugi kurs seminarium, pewnie dlatego, że miał ukończone 7 klas szkoły podstawowej, ale egzamin wstępny musiał zdawać. Nauka przebiegała początkowo bez żadnych problemów, ale niespodziewanie Tadeusz zakochał się w koleżance szkolnej i chciał się żenić. Działo się to latem 1923, a więc zakochany młodzieniec miał ledwo 17 lat. Nie było na to zgody ojca Franciszka, który po radę udał się do księdza doktora Stanisława Sendysa (1892-1972). Pochodził on z Ćmielowa, gdzie jego rodzina mieszkała od XVIII wieku. Ten wykształcony w Rzymie duchowny pełnił wysokie funkcje kościelne, był m.in. rektorem kościoła na Św. Krzyżu. Wcześniej był kapelanem w armii gen. Hallera, o którym pisano: "*niezwykłe odważny kapłan, ceniony spowiednik i kaznodzieja*". W latach 1920-1924 był on proboszczem w Wągrowcu i miał pod opieką duszpasterską Państwowe Seminarium Nauczycielskie. Za jego radę postanowiono, że Tadeusz będzie kontynuował naukę w Wągrowcu i tak się też stało.

Założone w roku 1903 Królewskie Ewangelickie Seminarium kształciło młodzież niemiecką. Od 1920 r. było to polskie seminarium, a jego pierwszym dyrektorem został Artur Kopacz. To on remontował uszkodzony w czasie wojny budynek seminarium i przygotowywał rozpoczęcie nauki. Rocznik Tadeusza był pierwszym w odrodzonej Polsce, który opuścił mury tej uczelni.



35. Absolwenci seminarium w Wągrowcu - rok 1925

Działo się to 12 czerwca 1925 roku, kiedy ojciec uzyskał świadectwo dojrzałości i opuścił Wągrowiec na zawsze. Na tym zdjęciu stoi w górnym rzędzie czwarty od prawej. W środku siedzi dyrektor Józef Bajerlein (1896-1976).

Młodzieńcza miłość dawno wywietrzała mu z głowy, ale jej ślady pozostały. Tadeusz postanowił, że na zawsze pozostanie w stanie kawalerskim.

Pierwsza szkoła, pierwsza praca oraz samodzielne życie w przydzielonym mieszkaniu służbowym. 1 sierpnia pierwsza nominacja na najniższy stopień nauczycielski, czyli tymczasowy nauczyciel publicznej szkoły powszechnej w Pępowie, wiosce położonej 16 km od Gostynia.

Pierwsze wzmianki dotyczące Pępowa pochodzą z XII w. Zapis z 1136 mówi o tym, że wieś należała do majątku biskupa gnieźnieńskiego. W 1257 r. utworzona została we wsi odrębna parafia. Wtedy to prawdopodobnie zbudowana została pierwsza świątynia pod wezwaniem św. Andrzeja. W 1383 r.

część ziem została odsprzedana staroście wielkopolskiemu. W 1444 jako właściciela części Pępowa wymienia się Peregryna Pampowskiego. Po śmierci ostatniego z rodu Pampowskich w 1571 właścicielem wsi został Melchior Konarzewski wraz z żoną Anną Siedlecką herbu Odrowąż. W posiadaniu Konarzewskich Pępowo pozostawało do XVIII w., kiedy to Weronika Konarzevska wychodząc za mąż za Macieja Mycielskiego wniosła mu w posagu dobra pępowskie.

W okresie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815-1848) miejscowość wzmiankowana, jako Pampowo należała do wsi większych w ówczesnym pruskim powiecie Kröben (krobskim) w rejencji poznańskiej. Pampowo należało do okręgu krobskiego tego powiatu i stanowiło część majątku Chociszewice, którego właścicielem był wówczas (1846) Teodor Mycielski. Według spisu urzędowego z 1837 roku wieś liczyła 164 mieszkańców, którzy zamieszkiwali 20 dymów (domostw). W 1876 r. jego prawnuk Ignacy Mycielski sprzedał majątek przemysłowcowi Adolfowi Hansemanowi (ojcu Ferdinanda von Hansemanna, współtwórcy Hakaty), potem pozostał on w rękach rodziny Oertzernów do końca II wojny światowej.

Młody nauczyciel został dość życzliwie przyjęty przez grono nauczycielskie szkoły w Pępowie, ale traktowano go z rezerwą, gdyż był obcy. Nie znał gwary poznańskiej, mówił z innym akcentem i nie przyjaźnił się z nikim. Co najdziwniejsze nie starał się o względy swoich koleżanek po fachu, choć patrząc na poniższe zdjęcie może i miał rację. Nie wszystkie osoby na zdjęciu to kadra pedagogiczna, występuje tam mąż jednej z nauczycielek, który w szkole nie pracował.

Tadeusz zarabiając 130 zł miesięcznie wolał poświęcić się pracy i podnoszeniu kwalifikacji, a nie szukaniu rozrywek towarzyskich. Krąg ten ograniczał się do księdza proboszcza, wójta i kierownika szkoły.



36. Tadeusz i grono pedagogiczne szkoły w Pępowie - rok 1927

Kadra pedagogiczna Pępowa składała się z osób w kwiecie wieku, a Tadeusz miał zaledwie 21 lat w chwili wykonania tego zdjęcia. W okresie wakacji był często powoływany na ćwiczenia wojskowe, dlatego widzimy go tutaj w kurtce mundurowej. W tym wieku widać wyraźne podobieństwo do mnie w tym samym wieku.

Pedagodzy miejscowi byli kształceni w systemie pruskim, stosowali surowe kary wobec uczniów, czemu młody Tadeusz stanowczo się sprzeciwiał. Czując się osamotniony nawiązał kontakty z absolwentami seminarium w Ostrowcu Św., których spora grupa trafiła do Wielkopolski. Znał ich przecież, razem studiowali przez pierwsze dwa lata, a co najważniejsze byli jego rodakami z dawnej guberni radomskiej. Kiedyś razem robili długie wyprawy w Góry Świętokrzyskie biwakując w leśnych ostępach i łowiąc ryby. To z tego grona wyszła inicjatywa założenia na terenie powiatu Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz zwalczanie przy jego pomocy pruskich nawyków kształcenia młodzieży.

Jak wszyscy absolwenci seminarium nauczycielskiego Tadeusz został automatycznie przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej. Służba w rezerwie polegała na obowiązku odbycia przeszkolenia wojskowego (dla rezerwistów do 38 roku życia, którzy nie odbyli służby zasadniczej) i ćwiczeń wojskowych. Przeszkolenie trwało do 5 miesięcy. W praktyce Tadeusz niemal w każde wakacje spędzał na ćwiczeniach w kompanii saperów minerskich. Było to szkolenie w 69 pułku piechoty, który

wywodził się z 11 pułku strzelców wielkopolskich, a nową numerację zyskał po włączeniu Armii Wielkopolskiej w struktury Wojska Polskiego. W czasie wojny pułk ten walczył w składzie 14. dywizji piechoty, ale Tadeusz jako ochotnik został wcielony do zmotoryzowanego, rezerwowego plutonu saperów w składzie 55. pułku piechoty w tej samej 14. dywizji.

Niełatwa to była służba, o której dowiemy się więcej, kiedy opiszę udział Tadeusza w wojnie obronnej w 1939 roku. Potrzebni byli rezerwiści rośli, silni fizycznie oraz posiadający dodatkowe specjalizacje i zawody. Liczący 1,80 cm wzrostu Tadeusz był zdrowy i zahartowany w górskich wędrówkach w każdych warunkach atmosferycznych. Posiadał też prawo jazdy, początkowo na motocykle, ale z czasem uzyskał pozwolenie na wszystkie pojazdy. Zamiłowanie do elektrotechniki skierowało go do wąskiej specjalizacji wojskowej, czyli do saperów minerskich, gdzie jak wiemy występują różnego rodzaju zapalniki elektryczne i chemiczne.



**37. Tadeusz w mundurze saperów - r. 1933**



Ćwiczenia polegały na budowie przepraw wodnych oraz zakładaniu i rozbijaniu pól minowych. Sporo godzin poświęcano też na teorię ogólną wojskową i specjalistyczną.

Z ewidencji wojskowej wynika, że Tadeusz odbył sześciotygodniowe szkolenia w 69. pułku piechoty latem 1927, 1929 oraz 1931 roku.

Jak z powyższego wynika pierwsze prawdziwe wakacje miał w roku 1928 i wtedy mógł w końcu pojechać do Ćmielowa odwiedzić rodzinę oraz pochodzić po Górach Świętokrzyskich. Oglądały się panny z Ćmielowa za przystojnym Tadkiem, który w dodatku miał państwową posadę nauczyciela, czyli pewne i stałe źródło zarobku. On jednak wierny był swemu przyrzeczeniu z młodości i nie planował żadnego związku dłuższego niż jedna noc na sianie z dziewczyną poznaną na tańcach w remizie. W roku 1930 Tadeusz nie mógł sobie pozwolić na wakacje, gdyż sporo czasu zajmowało mu przygotowanie do trudnego egzaminu niezbędnego do uzyskania tytułu nauczyciela stałego publicznej szkoły powszechnej, co wiązało się z podwyżką wynagrodzenia.

**Nauczyciele w tym czasie byli dobrze opłacani, ale dotyczyło to tych o najwyższych kwalifikacjach nauczających w szkołach średnich.**

Od roku 1923 nauczyciel gimnazjum, pełne kwalifikacje, 25-letni staż pracy, otrzymywał pensję na poziomie starszego inspektora policji, pułkownika lub zastępcy wojewody. Nauczyciele byli wydzieleni w odrębną zbiorowość urzędników państwowych w grupach od IV (566 etatów po 1000 zł) do XI grupy (12452 etaty po 130 zł). Nie były to niskie pensje. W tym czasie: średnia zapłata dla służących (ok. 700 tys. osób) wynosiła 20 zł za miesiąc, a robotnik mógł liczyć na dniówkę 2 zł. Nauczyciel stały łądował w grupie X i IX tabeli wynagrodzeń, czyli zbliżał się do 200 zł miesięcznie. W 1935 r. średni zarobek nauczyciela szkoły powszechnej wynosił 250 zł, ale Tadeusz będąc już kierownikiem szkoły zarabiał sporo ponad 300 zł.

1 lutego 1931 po zdaniu egzaminów Tadeusz został mianowany stałym nauczycielem, co było normalne, gdyż obowiązywał 5. letni staż pracy na stanowisku tymczasowego nauczyciela.

Nasz ojciec dobrze wspominał lata spędzone w Pępowie, gdzie nabierał szlifów, jako wychowawca dzieci, a jednocześnie przechodził dość intensywne szkolenie wojskowe, które przyda mu się w czasie walk z agresją niemiecką w 1939 roku. Opuścił Pępowo w listopadzie 1931 z nominacją na kierownika szkoły w Sikorzynie. Kronika tamtejszej szkoły całkowicie pominęła 6. letni okres kierowania szkołą przez Tadeusza, a po mojej interwencji wprowadzono absurdalną poprawkę, jakoby Tadeusz został mianowany kierownikiem z dniem 1 września 1939 r.



38. Tadeusz z uczniami szkoły w Pępowie - rok 1930

Pierwsze wzmianki o tej wsi pochodzą z 1420 r. Była częścią krobskiego klucza dóbr biskupów poznańskich. W 1794 r. po konfiskacie dokonanej przez władze pruskie wieś weszła w skład dóbr rządowych i została oddana w dzierżawę. W okresie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815-1848) miejscowość należała do wsi większych w ówczesnym pruskim powiecie Kröben (krobskim) w rejencji poznańskiej. Sikorzyn należał do okręgu ekonomii Krobia tego powiatu i stanowił część majątku Chumiętki, którego właścicielem był wówczas rząd pruski w Berlinie. Według spisu urzędowego z 1837 roku wieś liczyła 143 mieszkańców, którzy zamieszkiwali 22 dymy (domostwa).

W 2. połowie XIX wieku dobra została wykupione przez Komisję Kolonizacyjną i sprzedane Niemcom.

Podobna wieś, jak Pępowo, ale położona znacznie bliżej Gostynia, też z murowaną szkołą z czasów pruskich.

Z historii tamtejszej szkoły wynika, że Prusacy wybudowali pierwszy budynek szkolny w r. 1833, a nauczycielem był Józef Buchwald. W r. 1878 budynek szkoły został powiększony o sień kuchenną, stodołę, ubikacje i sklep w ogrodzie (?). Rok 1889 to budowa budynku nr 2, nauczycielem był Gustaw Wolf, a po nim Alojzy Petzelt. Jak wiadomo władze pruskie prowadziły usilną akcję

germanizacji w swoim zaborze. Germanizacja w ogólnych aspektach przypominała akcję rusyfikacyjną, prowadzoną przez władze carskie. Jej naczelnym założeniem było zmarginalizowanie roli języka polskiego w życiu publicznym. Stąd też rząd pruski wprowadził serię ustaw ograniczających używanie języka polskiego w miejscach publicznych i urzędach. Również w szkołach niepodzielnie dominował język niemiecki, a urzędnicy państwowi używający polskiego na co dzień byli szykanowani. Niesławą okryła się „ustawa kagańcowa” z **1908** roku, zakazująca używania języka polskiego na zgromadzeniach.

Po odzyskaniu niepodległości w szkole rozpoczęła się nauka języka polskiego, którego uczyła Hanna Wezówna z rodziny Modlibowskich z Czachorowa. W 2013 r. szkoła otrzymała patronkę w postaci Wandy Modlibowskiej, znanej pilotki i bohaterki wojennej. Po r. 1926 kierownikiem szkoły był Feliks Kirstein, a po nim Czesław Kaczmarek z Łęki Wielkiej. Tadeusz zamieszkał w mieszkaniu służbowym i rozpoczął pracę, która miała trwać do napaści Niemiec na Polskę w r. 1939.



39. Tadeusz w swoim mieszkaniu w Sikorzynie - r. 1936

To były dobre lata. Wysokie zarobki bez obciążenia rodziną pozwalały młodemu nauczycielowi na rozwijanie swoich zainteresowań. Na pierwszym miejscu była fotografia, nabył więc Tadeusz pod koniec 1937 r. kosztowny aparat Rolleiflex z dodatkowym wyposażeniem, jak filtry, nakładki makro itp. W mieszkaniu urządził sobie ciemnię, gdzie sam wywoływał negatywy i robił odbitki.



40. Autoportret w lesie - r. 1934

Jego fotografie były coraz doskonalsze, widoczne były wpływy Jana Bułhaka (1876-1950), wybitnego polskiego fotografika piktorialisty. Był on kierownikiem Zakładu Fotografii Artystycznej na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W r. 1932 Tadeusz zapisał się na subskrypcję programowego dzieła Bułhaka FOTOGRAFIKA. Obszerny wywód programowy Jan Bułhak ilustruje wyłącznie własnymi fotografiami, ukazując zarazem szerokie spektrum swoich możliwości. Z jednej strony są tutaj najbardziej znane kadry krajoznawcze z Wileńszczyzny, jak również detale flory i fauny czy mniej oczywiste portrety. Bułhak ujawnia tu także kulisy swego warsztatu, dydaktycznie prezentuje przykłady nieudanych kadrów lub niewłaściwej ich obróbki. Na oczach czytelnika wyznacza granicę między fotografią, a nie-artystycznymi wcieleniami fotografii. Dzieło to kosztowało niebagatelną w tym czasie kwotę 38,00 zł i było wydane w 1250 egzemplarzach numerowanych.

Dzisiaj jest to biały kruk, trudny do kupienia w antykwariatach za cenę przekraczającą tysiąc złotych. Ja sam się z tej książki wiele nauczyłem. Tadeusz szybko się zmotoryzował kupując motocykl DKW, którym w 10 minut mógł dojechać do Gostynia na spotkania z coraz szerszym gronem znajomych.



41. Z Olą Gościniak przy motorze - r. 1936

W tym okresie zaprzyjaźnił się z rodziną Gościniaków z Gostynia i flirtował z dwiema córkami tej rodziny. Antoni Gościniak pracował na poczcie i kiedy wybuchła wojna został 21.10. 39 r. rozstrzelany przez Niemców na gostyńskim rynku razem z 29. polskimi patriotami. Nie udało mi się ustalić czy Gościniak był powstańcem wielkopolskim, a jego niska ranga pocztowca nie uzasadniała takich represji. Wystarczyło jednak, że miejscowi Niemcy uznali, że jego postawa była antyniemiecka, by znaleźć się na listach wrogów Hitlera. W szkole pracowała też Stanisława Juskowiak (1887-1978), która wykonywała prace w zakresie utrzymania czystości, zimą paliła w piecach, ale także gotowała posiłki dla kierownika szkoły, który był kawalerem. Urodziła się w pobliskim Czachorowie i chodziła do szkoły w Sikorzynie będąc dzieckiem. Była to naturalnie szkoła pruska i dzieci zaczynały naukę od poznania wszystkich członków rodziny cesarskiej. Musieli znać ich daty urodzin, imiona oraz tytuły,

jakie posiadali. Musiało to być wykute na pamięć i Stanisława pamiętała te imiona do starości. Za pomyłki bito dzieci różgami lub kazano im stać bez ruchu przez długie godziny. Pruski kodeks karny zniósł kary cielesne w r. 1872, ale przez długi czas były one w szkołach stosowane. Obrazują to wydarzenia we Wrześni. Karę chłosty wobec dzieci zastosowano 2, 13 i 20 maja 1901 r., kiedy to bito uczniów w obecności inspektora szkolnego Wintera. Wymierzaniem kary 14. dzieciom za odmowę odpowiadania w języku niemieckim na lekcji religii zajął się nauczyciel Schölzchen. Płacz uczniów usłyszeli przechodnie, szybko pod szkołą zgromadziło się ok. 1000 osób. Złorzeczyli nauczycielom, żądali zaprzestania bicia i prześladowania ich dzieci. Wydarzenia te przeszły do historii, jako strajk dzieci wrzesińskich w obronie języka polskiego.

W zaborze pruskim przemoc nauczyciela nad uczniami Polakami była jednym z elementów programu germanizacji. Pruscy pedagodzy wychodzili z założenia, że uczniowie są przedmiotem tresury, zatem chłostali i bili po twarzy przy każdym zająknięciu.

Oprócz kierowania szkołą Tadeusz w wolnych dniach wyruszał na wędrowki po okolicznych lasach z aparatem fotograficznym w ręku, którym dokumentował przyrodę, ale także takie rozrywki, jak np. kąpiel w rzece.



42. Lato 1939 - okolice Gostynia

Nieuchronnie nadchodził czas wojny i niewyobrażalnych okrucieństw germańskiego potwora. Sielskie życie na wsi kończyło się bezpowrotnie. Już nigdy nie powróci tam Tadeusz, nie będzie też nauczycielem. Do nauczania wciąż go ciągnęło w okresie powojennym, doksztalał się, miał nadzieję, że znowu stanie przy tablicy i będzie uczył młodzież. Te marzenia nigdy się jednak nie spełniły. Interesował się żywo podległym mu szkolnictwem, jego wyposażeniem i szkoleniem nauczycieli. Na tym zdjęciu z roku 1945, jako burmistrz Gostynia wśród uczestników pierwszego powiatowego kursu szkoleniowego dla pedagogów (siedzi w środku).



(fot. za zgodą <http://gaso-gostyn.pl/>)

Większość z tych nauczycieli Tadeusz znał osobiście z okresu swojej pracy w szkołach w Pępowie i Sikorzynie.

### 3/ Walka w kampanii wrześniowej - okupacja

Jako kierownik wiejskiej szkoły podstawowej w Sikorzynie k. Gostynia Wielkopolskiego Tadeusz Penkalski zajmował się w tych dniach prozaicznymi obowiązkami nauczyciela. Ostatnie naprawy i odnawianie klas, przygotowanie planu lekcji i inna papierkowa praca. Jego macierzysty 69. pułk piechoty stacjonował w Gnieźnie i od marca 1939 roku wszedł w skład Armii "Poznań" dowodzonej przez gen. dywizji Tadeusza Kutrzebę. Z uwagi na wiek Tadeusz nie brał już od roku 1936, kiedy to przekroczył 30. rok życia, udziału w szkoleniach rezerwy i nie był ujęty w planie mobilizacji alarmowej 69. pułku. Została ona przeprowadzona od 24 sierpnia godzina 4.00, a po jej zakończeniu pułk liczył 3,6 tysiąca żołnierzy i oficerów.

Mobilizacja formacji tyłowych trwała już po rozpoczęciu działań, ale Tadeusz w jej ramach otrzymał przydział do 57. pułku piechoty w składzie tej samej 14. poznańskiej dywizji piechoty. Biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania taki przydział mobilizacyjny był logiczny, gdyż łatwiej było dotrzeć w czasie wojny do Poznania, aniżeli do Gniezna. Nie bez znaczenia był także fakt, że Tadeusz wstąpił ochotniczo do wojska. Nic by to jednak nie dało, rezerwistów w wieku 33 lat nasze wojsko nie potrzebowało, brakowało dla nich mundurów i broni. Ale rezerwista z rzadką specjalnością sapera minerskiego oraz szofera pojazdów wojskowych został przyjęty z otwartymi ramionami. W ramach mobilizacji wojsko zabierało prywatne wozy osobowe i ciężarowe, potrzebni byli więc kierowcy.

57 pułk piechoty im. Karola II Króla Rumunii przybył do obozu ćwiczebnego w Biedrusku 22 sierpnia wraz z 58. pułkiem. Wieczorem 23 sierpnia zostały one zaalarmowane i przeszły marszem nocnym do Poznania. Na miejscu 57. pułk piechoty otrzymał rozkaz mobilizacji kartkowej, zwanej też kolorową, od koloru kart mobilizacyjnych. Cała operacja przebiegła bardzo sprawnie-pierwsi rezerwiści przybyli już po 15 minutach, a pozostali po upływie 30-49 min. od zawiadomienia. Oznacza to, że pierwszy rzut mobilizowano w całości spośród mieszkańców Poznania i najbliższych okolic. Po południu 24 sierpnia stan pułku sprawdził dowódca 14. dywizji gen. Franciszek Wład. Nadliczbowych oficerów, podoficerów i szeregowych przydzielono do ośrodka zapasowego 57. pułku, którym dowodził major Adam Solski, dotychczasowy kwatermistrz pułku. Tak więc jednostka z którą ojciec mój przeszedł szlak bojowy we wrześniu 1939 roku wieczorem 24 sierpnia osiągnęła pełny skład bojowy ludzi i sprzętu. 57.



pułkiem samodzielnie dowodził ppłk. dypl. Tomasz Rybotycki, a jego decyzje w formie rozkazów przekazywał do wykonania sztab pułku. Sztab pułku - składał się ze sztabu taktycznego i kwatermistrzostwa pułku. Pracami sztabu taktycznego kierowali:

- pierwszy adiutant, który referował dowódcy pułku wszystkie wiadomości związane z położeniem jednostek nadrzędnych, podwładnych i sąsiadów (kpt. Marian Filipowicz, poległ 10 września),
- oraz oficer informacyjny, który gromadził i analizował wiadomości o nieprzyjacielu (por. Kasperek).

Po podjęciu decyzji przez dowódcę pułku na podstawie dostarczonych mu danych, do opracowania rozkazów wykonawczych powołano również drugiego adiutanta (kpt. Bolesław Stanisław Sobociński) i oficera łączności (kpt. Wilhelm Józef Sawicz). Wyznaczono także lekarza pułkowego (mjr. lek. dr Jerzy Konstanty Saciuk) oraz dowódcę pionierów pułkowych (ppor.rez. Zygmunt Konieczny) i oficera obrony przeciwgazowej (ppor. Zdzisław Wacław Pietrzyk) jako doradców technicznych. W skład sztabu taktycznego wchodził również oficer łącznikowy.

Tadeusz w swej specjalności byłby przydzielony do plutonu pionierów, który składał się z 3 drużyn i sekcji chemicznej. Na biedkach o zaprzęgu konnym lub zmobilizowanych samochodach ciężarowych znajdowała się amunicja saperska, miny przeciwpancerne, środki odkażające, ubrania ochronne i środki do wykrywania skażeń terenu. Pluton posiadał sprzęt saperski oraz materiał do budowy kładek na przeprawach wodnych o szerokości do 80 m i sprzęt do budowy promu, którego nośność pozwalała przeprowiać działa 75 mm. Pluton ten był przydzielany batalionom w razie potrzeby. Oczywiście w czasie wojny z tak silnym przeciwnikiem pluton taki był dalece niewystarczający. Istniała potrzeba rozbudowania go do stanu kompanii, ale brakowało specjalistycznego sprzętu. Tym niemniej podjęto mobilizację żołnierzy rezerwy o specjalnościach saperskich i kwalifikacjach kierowcy wozów ciężarowych, do której to grupy należał ojciec. Pamiętać też trzeba, że na szczeblu dywizji istniała jednostka saperska, która dowodził mjr. sap. Henryk Kosicki. Jak powiedział mi pan Zygmunt Odrowąż-Zawadzki pionierzy występowali do szczebla pułku, a saperzy od szczebla dywizji, nazwa specjalności wojskowej miała więc charakter czysto organizacyjny.

Tadeusz trafił do ośrodka zapasowego 14. dywizji, ale nie jako żołnierz zmobilizowany, ale-jak już wspomniałem- jako ochotnik. Podkreśla to w swoim życiorysie podając jednocześnie datę 3 września. Ośrodek Zapasowy składał się 55., 57., i 58. pułku, szkoły podoficerskiej dla małoletnich nr 2 ze Śremu, kompanii oficerskiej z nadwyżek oficerów rezerwy, taborów pułkowych oraz archiwum akt pułkowych. Dowódcą Ośrodka Zapasowego 14. dywizji był ppłk.

Józef Kokoszka. Brakowało uzbrojenia i umundurowania, był tylko jeden samochód ciężarowy (płatnika-kpt. Górny) i dwa prywatne samochody osobowe oficerów rezerwy. Do swej macierzystej jednostki trafił Tadeusz ostatecznie 4 lub 5 września, nie brał więc udziału w obronie Poznania i w działaniach rozpoznawczych na terenie Niemiec.

Pierwsze transporty z Ośrodka Zapasowego wyruszyły koleją w dniach 27 i 28 sierpnia do rejonu postoju i koncentracji na północ od Kutna. Stąd też, już w trakcie działań wojennych, wysyłano dalsze uzupełnienia, w tym ochotników. Przyjmowano jednak tylko ochotników o poszukiwanych specjalnościach wojskowych, co nie było bez znaczenia w przypadku mego ojca.

Zadaniem 14. dywizji była obrona Poznania w oparciu o dawne forty niemieckie wybudowane przez francuskich jeńców po wojnie w 1871 roku. 27 sierpnia oddziały 57. pułku zostały przesunięte w rejon swoich odcinków obronnych. Dowódcą obrony zachodniej części Poznania został płk. Mieczysław Łukoski, dowódca piechoty dywizyjnej. Jego stanowiskiem dowodzenia był fort Grollman, natomiast dowódca 57. pułku ze sztabem zajmował koszary pokojowe przy ul. Grunwaldzkiej, a od 1 września podziemia hotelu POLONIA położonego obok koszar.

Jak wiadomo Niemcy nie zaatakowali Poznania bezpośrednio 1 września. Ich zagony pancerne szły na północ i na południe od miasta.

Główne uderzenia Wehrmachtu w dniu rozpoczęcia wojny poszły na kierunki Bydgoszcz-Tuchola na północy i Wieluń-Częstochowa na południu. W rejonie operacyjnym 14. dywizji działały tylko oddziały Grenzschtzu wzmocnione często samochodami pancernymi, jednostki Landwehry i dywersanci. Toczyły się więc walki graniczne na niewielką stosunkowo skalę. Niemcy zajęli Rawicz i Zbąszyń, które zostały odbite m. in. przez oddziały 57. pułku.

Działania lotnictwa niemieckiego w Poznaniu zaczęły się o godzinie 9.00, kiedy to nad miasto nadleciał samolot rozpoznawczy. Pierwszy nalot nastąpił o godzinie 11.20. Dwie grupy samolotów nadleciały od zachodu nad Luboń i tam się rozdzieliły. Pierwsza grupa 9 samolotów zaatakowała dworzec kolejowy, a druga licząca 20 samolotów Heinkel-111 skierowała się na ławicę. W rejonie dworca bomby trafiły w magazyny Hartwiga i Barcikowskiego, które płonęły do nocy. Straty wśród ludności cywilnej były duże. Artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła jeden samolot, a samoloty z ławicy (startowały wśród padających bomb) zestrzeliły dwa Me 109. Bomby trafiły na lotnisku w hangar i wartownię pełną żołnierzy. Zginęło 27 ludzi, ponad 30 było rannych. Naloty powtarzały się do godzin wieczornych, a ich wyniku zginęło 250 osób, w tym 45 żołnierzy, a kilkaset osób było rannych.

W niedalekim Lesznie miasta bronił 1 batalion mjr. Jana Dymowskiego z 55. pułku. 1 września w godz. od 5.15 do 6.10 Leszno zostało ostrzelane ogniem

artylerii niemieckiej. Około godziny 9.00 dywersanci niemieccy, zabarykadowani w domu na rogu ul. 17 stycznia i Bolesława Chrobrego, ostrzelali budynek Komendy Garnizonu. Aby nie narażać żołnierzy na niepotrzebne straty w szturmie na budynek, ostrzelano go ogniem artylerii. Po kilku strzałach hitlerowcy uciekli. Wtedy dopiero wdarli się do wnętrza żołnierze. Wzięto rannych dywersantów, a tylko nieliczni zdołali zbiec. W odwet za ostrzelanie Leszna przez artylerię grupa wypadowa z 1 batalionu (55 pp) pod dowództwem kpt. Edmunda Lesisza wykonała 2 września udany atak na nadgraniczną miejscowość niemiecką Dębowa Łąka (Geyersdorf). Polacy zmusili Niemców do odejścia z nad granicy i opanowali miejscowość. Niemcy cofali się nadal na Wschowę. Po zajęciu Dębowej Łąki artyleria polska ostrzelała koszary niemieckie we Wschowie, a następnie grupa wypadowa powróciła do Leszna. Wypad w kierunku Wschowy wykonał również wzmocniony cyklistami szwadron czołgów rozpoznawczych por. Chłopika z Wielkopolskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. Romana Abrahama. Grupa wypadowa wyruszyła o godzinie 16.00. Do granicy piechotę podwieziono autobusami. Po walce z niemiecką strażą graniczną i patrolem motocyklistów o godzinie 18.00 zdobyto Dębową Łąkę skąd artyleria ostrzelała Wschowę (Fraustadt). Dalej ruszył 3. pluton ppor. Stefana Perkiewicza docierając na przedmieścia Wschowy. Miejscowa ludność w panice rzuciła się do ucieczki w kierunku na Głogów. Po zmroku oddział wypadowy na rozkaz gen. Abrahama wycofał się do Leszna. Był to jeden z nielicznych ataków piechoty Wojska Polskiego na terytorium wroga w kampanii wrześniowej.

**3 września** Tadeusz zdając sobie z tego, że rok szkolny z pewnością się nie rozpocznie, zgłosił się w komendzie uzupełnień w Lesznie jako ochotnik i został odesłany do Poznania. Mimo bombardowań komunikacja kolejowa działała prawie normalnie. W tym samym czasie 55. pułk wyszedł z Leszna do Zaniemyśla w celu przygotowania obrony rzeki Warty. Natomiast 57. pułk przebywał wraz z resztą 14. dywizji w rejonie Swarzędza stanowiąc odwód Armii "Poznań". Plan przewidywał przejście nocne do rejonu Czarniejewo-Września. Wiadomość o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję pozytywnie wpłynęła na morale żołnierzy. Tadeusz zaczął wątpić, czy zdąży sobie powojować, skoro do akcji weszli tak potężni "sojusznicy" Polski. Od zmierzchu 57. pułk rozpoczął nocny marsz na osi Kostrzyń-Nekla-Czeluścin. Drogi były w wielu miejscach zablokowane przez uciekającą ludność, ale w nocy fala uchodźców malała znacznie.

**Czwarty dzień września** - na miejsce postoju dowództwa 14. dywizji wyznaczona została Września. W związku z tym gen. Wład wydał rozkaz dla 55. pułku, aby ten wycofał się z Zaniemyśla i dołączył do dywizji. W trakcie przemarszu pod Środą nastąpił atak niemieckiego lotnictwa w wyniku którego

1. kompania ckm straciła 5. zabitych, 13. rannych, 5 koni i taczankę.

Do swego pułku usiłuje też dołączyć Tadeusz, nie wiadomo dokładnie czy udało mu się to 4 czy 5 września. W każdym razie zgodnie z jego dokumentacją kombatancką właśnie w tym dniu rozpoczął swój szlak bojowy w kampanii wrześniowej.

**Piąty dzień września** - od rana 57. pułk piechoty znajdował się po marszu na postoju w lasach Powidz-Giewartów, na północ od miejscowości Niezgoda. Do dywizji dołączył już 55. pułk, a dowództwo ulokowało się w miejscowości Słupca. Był tam także sztab Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. To tam spotkali się generałowie Wład i Abraham, a ten ostatni przedstawił dzieje głośnego już wypadu na Fraustadt (Wschowa) w drugim dniu wojny. Tu też nastąpił kontakt z dowództwem Armii "Poznań", które znajdowało się w dworze Mchówek niedaleko Izbicy Kujawskiej. Zgodnie z rozkazami gen. Kutrzeby 14. dywizja miała się kierować na wschód do Ślesina. Oddziały dywizji wyruszyły na kolejny nocny marsz drogami zakorkowanymi przez uchodźców. Ci sami ludzie będą potem wracać do swoich domów kiedy zrozumieją, że ta ucieczka była bez sensu. Nie wszyscy wrócą, wielu zginie pod bombami i ostrzałem wroga. Tadeusz jechał swoją ciężarówką załadowaną sprzętem saperskim, ale dla piechoty te nocne marsze były wyczerpujące.

**Dzień szósty** - o 7.00 57 pułk bez 3. batalionu znajdował się w rejonie Wiśniewa-Góry, natomiast 3. batalion wraz z 58. pułkiem stanął w miejscowości Skulsk. Dowództwo dywizji umieszczono w miejscowości Przeclaw. Dywizja znalazła się w pobliżu strefy obronnej na linii jezior od Ślesina, do jeziora Gopło. Tam też spodziewano się toczyć walki obronne, ale ku zaskoczeniu sztabu dywizja miała nocą wyruszyć dalej na wschód w rejon na północ od Kłodawy. Obronę linii jezior miała objąć Poznańska Brygada Obrony Narodowej płk. Siudy. Dalszy marsz był jednak trudny z uwagi na dwa tylko wąskie przejścia przeszkód wodnych istniejące w Ślesinie i Skulsku. Dlatego gen. Wład zdecydował się rozpocząć wcześniej marsz, aby nie przedłużać go zbyt po świcie. Silne stanowiska obronne na nic się nie przydały. W dodatku dywizja straciła batalion saperów pozostawiony do dyspozycji płk. Siudy. Bombowce niemieckie pojawiły się dość szybko nad obu przejściami, ale skuteczny ogień artylerii (14. Bateria Artylerii Przeciwlotniczej kpt. Stanisława Zaleskiego) oraz karabinów maszynowych (71. Kompania ckm Przeciwlotniczych por. Pawła Leńskiego) spowodował zestrzelenie dwóch Heinkli 111. Pozostałe samoloty zmuszone były atakować z dużej wysokości i bomby były niecelne. Drogi były wąskie, piaszczyste i w dodatku zatłoczone uchodźcami. Ciężki sprzęt i wozy taborowe sprawiały wiele kłopotów w trakcie tego przemarszu.

**Dzień siódmy** - 57 pułk wraz z 2. dywizjonem artylerii po nocnym przemarszu znalazł się w godz. 8.00-9.00 na noclegu w lesie na południe od Brdowa

(Nowiny Brdowskie). Tam też rozłożył się 14. dywizjon artylerii ciężkiej. Znany był już rozkaz operacyjny armii "Poznań" z poprzedniego dnia pisany w miejscowości Leszcze. Armia miała wycofywać się na Warszawę i Otwock licząc się z możliwością niemieckiego natarcia z kierunku Łodzi. W rozkazie tym nakazano niszczenie zakładów przemysłowych i lokomotyw, ale 14. dywizja nie posiadała batalionu saperów, który pozostał w Poznaniu i nie była w stanie tego rozkazu wykonać. Jest to istotne z uwagi na specjalność wojskową Tadeusza. Saperów brakowało i z tego powodu chętnie przyjmowano ochotników o tej specjalności. Armia "Łódź" została pokonana i znajdowała się w odwrocie. Tego dnia przed południem gen. Wład odwiedził wszystkie pułki, przekazał im rozkaz armii i polecił zostawić ludności ciężkie wozy taborowe w zamian z lżejsze wozy chłopskie. Nadmiar bagażu także miano pozostawić ludności cywilnej. Korekta rozkazu armii nadeszła po południu. 14. dywizja miała się udać w rejon na zachód od Krośniewic, a nie do Lubienia, jak pierwotnie przewidywano. Całość ugrupowania armii wskazywała na przygotowanie się do bitwy z hitlerowcami w rejonie Łęczycy. Armia "Poznań" miała uderzyć pierwsza, a następnie do walki miała wejść zbliżająca się armia "Pomorze" dowodzona przez generała Bortnowskiego.



**Dzień ósmy** - po kolejnym nocnym marszu 57. pułk dotarł do Krośniewic o godzinie 7.00. Pozostały tutaj 2. i 3. batalion. Obronę przeciwpancerną w kierunku na Łęczycę miał zorganizować 1. batalion i dlatego zatrzymał się w Bielicach. Dowództwo dywizji znajdowało się na folwarku Niwki, obok miejscowości Drzebice, na północny wschód od Kłodawy. Dotkliwy brak saperów dawał się we znaki 14. dywizji i dlatego wysłano do sztabu armii "Poznań" porucznika Dynowskiego z zadaniem odzyskania batalionu saperów, o którym nie wiadomo nawet gdzie się dokładnie znajduje. Dowództwo armii przeniósł się z miejscowości Leszcze na swoje poprzednie miejsce postoju w dworze Mchówek koło Izbicy Kujawskiej. Por. Dynowski niewiele wskórał, ale przywiózł nowe rozkazy. 14 dywizja otrzymała zadanie przejścia na południe od Kutna. Marsz, jak zwykle, zaczął się o zmierzchu. Dywizja weszła w skład grupy operacyjnej generała Knolla-Kownackiego. Miała uderzać na Piątek z rejonu na południe od Kutna. Na wschód od 14. dywizji działała Wielkopolska Brygada Kawalerii, a na zachód miała nacierać 17. dywizja. Ok. 19.00 słychać było ogień

artyleryjski z rejonu Łęczycy. Niespodziewanie nadeszła szyfrowana depesza z rozkazem natychmiastowego wycofania się. Okazało się, że Niemcy już 3 września zdobyli szyfry i prowadzili działania dezorientujące.

**Dzień dziewiąty** - przez Kutno 57. pułk przechodzi ok. 3.00 w nocy. Szczególnie zniszczony był rejon dworca kolejowego, w kilku miejscach dogasały pożary. Nie było widać śladów ich gaszenia przez straż pożarną czy też przez mieszkańców. O świcie pułki osiągnęły wyznaczone rejony. 57 pułk stanął w miejscowościach Wały, Rybie i Świniary, a dowództwo dywizji w dworze Nowa Wieś (Antoniewo). Mimo zmęczenia marszami żołnierze cieszyli się, że w końcu będą mogli bić się z wrogiem. Szybko rozeszła się wiadomość o natarciu przez Bzurę na Piątek. Ruszyły kompanie zwiadowcze i kawaleria dywizyjna celem rozpoznania pozycji nieprzyjaciela. Brakowało nadal 14. batalionu saperów, który przydałby się przy forsowaniu Bzury. Nie dołączył on jednak do dywizji mimo interwencji w dowództwie armii. Domyślano się, że saperzy pracują na linii jezior ślesińskich lub na przedmościu Koło.

Bzura miała w rejonie ataku szerokość 20-30 m, a głębokość 1,5 m. Natomiast dolina rzeki miała 4-7 km szerokości i występowały tam liczne bagna. Dlatego dla 14. dywizji przydzielono w końcu saperów z 1. kompanii 47. batalionu wraz z dwoma plutonami z 2. kompanii oraz 171 kolumnę pontonową. Tadeusz służył w pułkowym oddziale saperów (zwanych też pionierami, dowodzonym przez por. Koniecznego), ale siły te były zbyt szczupłe na potrzeby natarcia poprzez przeszkodę wodną. Dla wzmocnienia obrony przeciwlotniczej przepraw przez rzekę dywizja otrzymała dodatkowo 48. kompanię przeciwlotniczych ckm. Rozpoznanie wykazało, że wróg obsadził okopaną piechotą wszystkie suche dojścia nad rzekę, a kierunek na Piątek był szczególnie mocno broniony. Tam właśnie miał nacierać 57. pułk. Dowódcy plutonów pionierów z każdego pułku brali udział w rozpoznaniu i oceniali techniczne możliwości forsowania Bzury. Tadeusz, jako kierowca ciężarówki, miał za zadanie dostarczyć niezbędny sprzęt przeprawowy w wyznaczony rejon forsowania rzeki. Zaskoczenie nieprzyjaciela miało polegać na wieczornej porze natarcia i braku przygotowania artyleryjskiego. Grupa operacyjna Knoll-Kownackiego w składzie 14., 17., i 25. dywizji piechoty miała uderzyć w bok nieprzyjaciela od rejonu Łęczycy do Piątku. Zadaniem dla 57. pułku było uderzenie na Goślub, a po jego opanowaniu w drugiej fazie działań jednostka miała zająć Piątek. Tam pułk miał zorganizować okrężną obronę przeciwpancerną. Bezpośrednie wsparcie natarcia zapewniały 1. i 2. dywizjon artylerii lekkiej i 14. dywizjon artylerii ciężkiej.

Pierwotny termin natarcia wyznaczony na godzinę 17.00 nie został dotrzymany z powodu braku gotowości artylerii. Atak przesunięto więc na 18.00. Z rejonu Ktery uderzyły dwa bataliony 55. pułku szybko wypierając Niemców.

Pluton pionierów 57. pułku stacjonował w tym dniu w m. Wały, tam też mieściło się dowództwo pułku. Przed natarciem Tadeusz w ramach swego plutonu naprawiał most na Bzurze pod Młogoszynem osłaniany przez kompanię zwiadowczą. Prace te ukończono tuż przed godziną 18.00 i przez ten most wkrótce ruszyło natarcie pułku. Uderzały dwa bataliony, a 3. batalion pozostał w odwodzie w pobliżu mostu. 1. batalion przeszedł Bzurę, opanował dwie placówki wroga i zabezpieczył las na północ od dworu Goślub. Do niewoli wzięto 6. jeńców, zdobyto także kod rakiet, dzięki czemu skutecznie dezorientowano Niemców. Następnie 1. kompania uderzyła na dwór i zdobyła go. W tej walce zabito 16. Niemców, a do niewoli wzięto 25. jeńców. Straty własne wyniosły 3. zabitych i 7. rannych. Po przejściu na południe od dworu 1. kompania zajęła pozycje obronne w styczności z wrogiem. Natomiast 2. batalion w tym czasie uderzył na wzgórze 102 i zdobył je. Niemcy zostali wyparci, bronili jeszcze tylko wsi Górki Pęcławskie. Jednocześnie trwała walka kompanii zwiadowczej o dwór Pęcławice, który przy wsparciu 5. kompanii został zdobyty. Późna pora zmniejszyła impet dalszego natarcia, które miało być kontynuowane o świcie dnia następnego.

**Dzień dziesiąty** - około północy przybył na nowe stanowisko dowodzenia do dworu Goślub płk. Rybotycki ze swoim sztabem. Nie był zadowolony z dotychczasowego tempa natarcia, które jednak trwało nadal. Dowódca 1. batalionu mjr. Hrycek wydał rozkaz 1. i 2. kompanii wypadu na Goślub I i II. Jednak wróg był czujny i nie dał się zaskoczyć. Doszło do walki na bagnety i ok. 3.00 kompanie wycofały się na pozycje wyjściowe. Teraz głównym zadaniem było zdobycie miasteczka Piątek. Uderzać miały wszystkie trzy bataliony 57. pułku. O świcie, przy wsparciu kompanii ckm i 5. baterii artylerii kpt. Aleksandra Lichonia, ruszyło decydujące natarcie. Wkrótce po walce wręcz opanowano Górki Pęcławskie. Zdobyto 12 ckm i inny sprzęt, wzięto też kilkunastu jeńców. Oczyszczono także miejscowość Orądky zabijając 5. Niemców i zdobywając 1 rkm. Straty były spore-poległ dowódca 1. plutonu ckm ppor. Józef Leśniak i 2. plutonu ckm ppor. Jan Mąka, a także 4. strzelców i wielu amunicyjnych. Ok. 7.00 padł dowódca 2. batalionu mjr. Wieczorek trafiony kulą strzelca wyborowego, a dowodzenie przejął kpt. Sobociński. Poprowadził on dalej natarcie-zdobyto Rogaszyn i Michałówkę. To tam wyróżnił się kapral podchorąży Roman Maćkowiak, który zlikwidował 7. niemieckich strzelców wyborowych siedzących na drzewach. Natarcie 2. batalionu osłaniała od wschodu kompania zwiadowców por. Polaszka. Dalej na wschód działała 71. kompania kolarzy oraz kawaleria dywizyjna.

Po zdobyciu przez 2. batalion rejonu Piekary-Orenice ok. godziny 10.00 nawiązano kontakt z 1. batalionem, który rozpoczął wtedy natarcie z rejonu Goślub II na wzgórze 107 i 108 i na samą miejscowość Piątek. W samo południe

2. batalion przełamał zażartą obronę Piątku i opanował wschodnią część miasta. 4. kompania z tego batalionu zdobyła wóz dowodzenia niemieckiej 30. dywizji piechoty wraz z mapą sytuacji bojowej.

Natomiast 3. batalion uderzył o świcie na Goślub I z silnym wsparciem artylerii, ckm oraz plutonu moździerzy 81 mm. Po przejściu 300 m kompanie dostały się pod ogień artylerii i strzelców wyborowych. Tych ostatnich usadowionych na drzewach zlikwidował dowódca plutonu ckm ppor. Rzyśko. Zdobyto Goślub I mimo kontrataku wroga w sile dwóch plutonów. Następnie ok. 11.00 w walce wręcz 1. kompania zdobyła wzgórze 108. To tam por. Zawadzki ze sztabu dywizji widział poległych Polaka i Niemca wzajemnie przebitych swymi bagnietami. Na wzgórzu tym naliczono po bitwie 120. poległych Niemców. Droga na Piątek była otwarta. O godzinie 12.30 kompanie 1. batalionu wdarły się do miasta i dotarły do szosy Piątek-Łęczyca likwidując obronę. Pół godziny później całe miasto było oczyszczone z nieprzyjaciela. W obronie miasteczka poległo 180. Niemców. Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami 57. pułk zorganizował obronę przeciwpancerną skrzyżowania dróg w Piątku. 3. batalion zdobył następnie Pokrzywnicę na południowy zachód od Piątku. Po zdobyciu wsi Janowice okazało się, że Wehrmacht przed wycofaniem się rozstrzelał tam pod stodołą 9. zakładników. W pośpiechu nie dobito rannych i 3. z nich zostało uratowanych przez służbę sanitarną batalionu. Tak oto walczył "rycerski" Wehrmacht już w pierwszych dniach wojny mordując ludność cywilną i depreczając konwencję genewską.

Bataliony 57. pułku wykonały w tym dniu postawione przez dowództwo dywizji zadania. Swoje zadanie wykonał też Tadeusz dowożąc swoją ciężarówką materiały i biorąc udział w odbudowie mostu przez Bzurę.

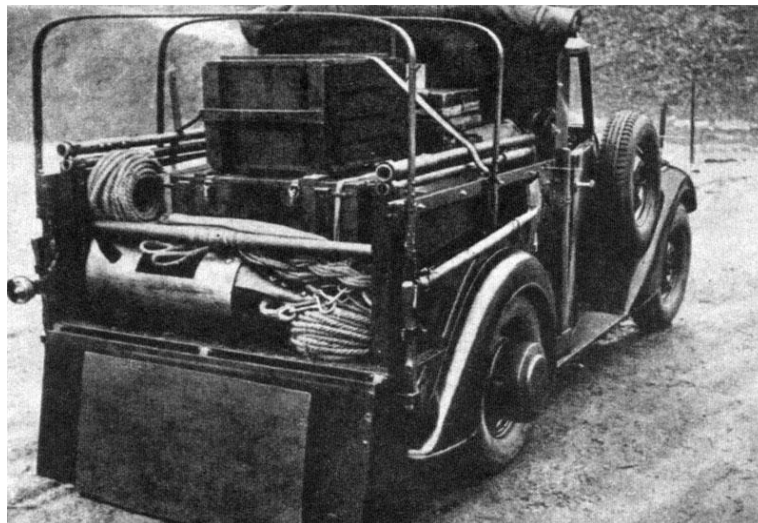


43. Tymczasowa saperska przeprawa wodna



**Dzień jedenasty** - w tym dniu 57. pułk nie prowadził działań zaczepnych, natarcie na południe w kierunku Strykowa prowadził 55. oraz 58. pułk. Ten ostatni zabił 200. Niemców wychodzących z lasu w rejonie Witowa i wziął ponad 200. jeńców, w większości rannych. W tym rejonie było wiele rozbitych wcześniej i pozbawionych łączności oddziałów wroga. Trzeba było mozolnie oczyszczać zdobyty teren z tych niedobitków. Do południa na koncie 58. pułku było zabitych 250. Niemców, wielu jeńców i zdobytego sprzętu wojskowego, w tym czołgi. Wczesnym rankiem nastąpił atak na kwaterę dowództwa 14. dywizji w folwarku Sułkowice. Jak się okazało był to zbłąkany niemiecki pluton, który został szybko rozbity przez kompanię ochrony sztabu, a uciekinierów wybiła kawaleria dywizyjna majora Żnińskiego uderzając na tyły maruderów. W tym dniu działania zaczepne na wschód od Armii "Poznań" rozpoczęła Armia "Pomorze" kierując swe natarcie na Bielawy-Głowno. Była to dobra wiadomość dla 14. dywizji, której żołnierze byli już zmęczeni dotychczasowymi walkami, a nieprzyjaciel stale dowoził nowe siły i rzucał je do walki. Noc z 10/11 września 1. batalion 57 pułku spędził w Piątku, a 2. batalion zajmował pozycje w rejonie Sułkowic i Krzyszkowic, dowództwo pułku było także w Piątku. 11 września 57. pułk pozostawał w odwodzie dywizji w pierwszej fazie działania za wyjątkiem 1. batalionu. Nacierał 58. pułk i do południa zabił 250. Niemców. Opanowano Pludwiny i Domaradzyn. W kontrataku dwóch niemieckich pułków z 10. dywizji piechoty utracono Pludwiny około 17.00. Niemcy atakowali też na innych kierunkach, nasilał się ostrzał artyleryjski. W rejon Bzury wróg rzucił 7 dywizjonów artylerii ciężkiej zmotoryzowanej z dywizji operującej w Kieleckim i dodatkowo 5 dywizjonów ciężkiej artylerii armii. Dywizjony te zaczęły zajmować stanowiska po południu i korzystały z punktów obserwacyjnych w lesie Pludwiny (Woliska). Wieczorem ten nękający ogień w znacznym stopniu utrudnił działania 58. pułku piechoty. W tej sytuacji gen. Wład zdecydował się na opanowanie lasu Pludwiny w ataku nocnym 12 września i wyjście na Stryków. Natarcie to miał wspierać 1. dywizjon z 7. pułku artylerii ciężkiej. Wzmoczony ostrzał przyniósł straty także 57. pułkowi. Jedna z nawał ogniowych skierowana na Mąkolice trafiła w stodołę, w której spali żołnierze 4. kompanii 2. batalionu. Kilku żołnierzy i oficer zginęli, a kilkunastu było rannych. Czynny udział w walkach brał 1. batalion z 57. pułku, który ok. 9.00 rano dotarł do Bielawy. Mjr. Hrycek uderzył dwoma kompaniami i szybko zdobył tę miejscowość. Zginęło kilkunastu żołnierzy niemieckich, wielu było rannych, wzięto 6. zdrowych jeńców oraz broń. Posuwając się dalej batalion stoczył potyczkę pod Łubami Bielawskimi, a w m. Zgoda uzyskano styczność z

Wielkopolską Brygadą Kawalerii. Żołnierze batalionu byli kompletnie wyczerpani marszami i walkami, zasypiali stojąc.



44. Samochód minersko-zaporowy saperów

**Dzień dwunasty** - w tym dniu rano powrócił z wypadu na Biesiekierz Rudny 3. batalion 57 pułku. Atakował on stanowiska niemieckiej artylerii i zdobył je zabijając kilkunastu ludzi z ich obsługi. Wzięto 2. zdrowych jeńców i zdobyto 4 działa kalibru 150 mm i wiele innego sprzętu. Działa zostały zniszczone, a następnie zajęto wieś Biesiekierz Rudny. Kolejnym wypadem 9. kompania zaatakowała Bądków i duże zgrupowanie samochodów nieprzyjaciela w czasie postoju niszcząc większość z nich. W Bądkowie uwolniono 40. cywilnych zakładników.

Po wykonaniu wypadu 3. batalion przeszedł do Feliksowa i zachodniej części Władysławowa, gdzie zamykał lukę pomiędzy oddziałami 14. i 17. dywizji. Atak Niemców w tym dniu uderzył w pozycje 55. pułku w rejonie Osse i Koźle. Kosztem ciężkich strat wroga zatrzymano, a następnie odparto w kierunku lasu Pludwiny. W tym czasie pod Głównem walczył 1. batalion 57. pułku napotykając na silny opór Niemców. Zabrakło wsparcia z 4. dywizji piechoty, której dowódca wraz z kilkoma sztabowcami wyleciał w powietrze na minie w rejonie Bielaw. Natarcie na Głowno wspierał 17. pułk ułanów, ale obrona była silna i Niemcy kontratakowali. Wieczorem wszelkie działania wstrzymano i przyszedł rozkaz wycofania się za Bzurę. Przewidziano jedną trasę odwrotu-przez Mąkolice i Piątek do Młogoszyna. Pierwszy wyruszył 57. pułk (bez 1. batalionu), który miał za zadanie zorganizować przyczółek na południowym brzegu Bzury. To było znowu zadanie dla saperów i z pewnością ciężarówka, którą kierował mój ojciec jechała w czołówce kolumny pułku.

**Dzień trzynasty** - marsz rozpoczął się tuż przed północą. Na czele szedł 2. batalion, a sam marsz był uciążliwy i powolny, gdyż tą samą drogą wycofywały się tabory różnych pułków. Generał Wład stanął o świcie na pagórku w pobliżu Młogoszyna, aby dokonać przeglądu 57. pułku. Gdy żołnierze zobaczyli dowódcę dywizji zaczęli maszerować defiladowym krokiem, a generał salutował. Nie było czasu na odpoczynek, trzeba było zbudować przyczółek i pozycje obronne. Zorganizowano obronę przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Rejonu przepraw broniła 14. bateria plot i 71. kompania ckm przeciwlotniczych. Około 9.00 pojawił się w rejonie przeprawy samolot rozpoznawczy Henschel 126, który został szybko zestrzelony. Zaraz potem nadleciało blisko 20 samolotów Heinkel zrzucając w rejonie przeprawy ponad 80 bomb i ostrzeliwując ją ogniem maszynowym. Dwa samoloty z tej grupy zestrzelono. Straty były niewielkie-teren był bagnisty i bomby zagłębiały się w grząski grunt nie czyniąc większych szkód. Poza tym widoczność ograniczały mgły. Sztab dywizji zajął na kwaterę dwór Konary. Zastanawiano się, dlaczego gen. Kutrzeba przerwał bitwę i rozkazał odejście za Bzurę. 14 dywizja zdobyła przecież Piątek, a 10 września był dzień chwały 57. pułku, który walczył z przeważającymi siłami. Niewiele brakowało do przecięcia ważnej arterii komunikacyjnej Łódź-Łowicz. Nieprzyjaciel poniósł wielkie straty i uznał się za pokonanych wycofując się w nocy z 12 na 13 września z lasu Pludwiny. Nie chciał dalej walczyć gen. Bortnowski załamany klęską armii "Pomorze", osobiście zatrzymał działania gen. Bołtucia i zwolnił tempo natarcia 4. dywizji. Generał Kutrzeba w tej sytuacji nie miał innego wyjścia. Tymczasem oddziały czekał kolejny nocny marsz. O godzinie 18.00 gen. Wład wydał rozkaz 57. pułkowi przekazania obrony przedmościa Pęcławice 70. pułkowi z 17. dywizji. Jak się okazało "zaginiony" 1. batalion znajdował się w rejonie Urzecz pod rozkazami 4. dywizji. 57. pułk po przekazaniu obrony ruszył marszem o 19.00 w rejon Bąkowa Górnego. Marsz był bardzo wolny z powodu zatłoczenia drogi uchodźcami i taborami. Grupa Operacyjna gen. Bołtucia miała nacierać na Łowicz, a potem na Skierniewice, aby poszerzyć pas działania dla wycofania Armii "Poznań". Przerwanie działań zaczepnych na kierunku południowym dało Niemcom czas na uporządkowanie swoich oddziałów i zorganizowanie działań w celu okrążenia i zniszczenia obu armii. Był to wielki błąd, który "zawdzięczamy" generałowi Bortnowskiemu, nie raczył on nawet powiadomić gen. Kutrzeby o nieoczekiwanym odwróceniu swoich sił. Nieudolny ten dowódca spędził wojnę w oflagu, a potem wyemigrował. Zmarł w roku 1966 w USA.

**Dzień czternasty** - po uciążliwym marszu nocnym 57 pułk (bez 1. batalionu) zatrzymał się w Bąkowie Górnym. O 11.00 zwiad lotniczy doniósł o zbliżaniu się dużej ilości czołgów od Błonia na Sochaczew. W tej sytuacji 57. pułk otrzymał

zadanie przygotowania obrony przeciwpancernej na rzece Słudwia. W rejonie Jackowice-Zduny znalazł się 2. batalion, a w rejonie Szymanowic 2. batalion. Od strony Łowicza słychać było silny ogień artylerii, to weszła do walki grupa operacyjna Armii "Pomorze". Czołgi niemieckie nie pojawiły się i cała praca niewyspanych i skrajnie wyczerpanych żołnierzy poszła na marne. A tu już nadchodziły rozkazy dalszego marszu dla 14 dywizji, która miała odejść w rejon Wyborów-Chąsno. Niestety rzeczka Słudwia okazała się być poważną przeszkodą z uwagi na otaczające ją bagna. Niełatwe zadanie czekało na Tadeusza i oddział saperów, którzy musieli zbudować most dla przeprawy taborów i ciężkiego sprzętu oraz kładkę dla pieszych. Gen. Wład osobiście decydował o kolejności przeprawy nie tylko własnych jednostek, ale także obcych z armii "Poznań" i "Pomorze".

57 pułk skierował się na Łowicz w kierunku Jackowice, Złaków Kościelny, Wyborów i Błędów. W rejonie Łowicza widoczne były liczne łuny pożarów. Kolejny, katastrofalny błąd popełnił gen. Bortnowski. O 10.00 wydał rozkaz 26. dywizji wycofania się na północny brzeg Bzury i zorganizowania obrony ppanc. Ruch tych jednostek w ciągu dnia spowodował liczne ataki lotnicze i artyleryjskie. Dywizja straciła w sumie aż 4 bataliony. Ponownie cały wysiłek żołnierzy i oficerów został zmarnowany fatalnym dowodzeniem dowódcy armii "Pomorze".

**Dzień piątnasty** - 57. pułk ukończył przemarsz o 8.00 rano. 2 batalion ulokował się w Błędowie, a 3. batalion na południe od Chąsna. Dołączył też 1. batalion, który walczył razem z brygadą kawalerii, a potem w ramach 4. dywizji pod Urzeczem. Tu w końcu żołnierze mogli trochę odpocząć i wyspać się. Ale już o 18.00 ruszyli zwiadowcy, a pół godziny za nimi 57. pułk, który udawał się po osi południowej Błędów-Litynek-Emilianów do przeprawy przez Bzurę w rejon Jeziorka. W czasie przemarszu dowódca 3. batalionu mjr. Kępiński dowiedział się o zajęciu Emilianowa przez Niemców. Wydano rozkazy zgodnie, z którymi 2. batalion miał nocnym wypadem zdobyć Emilianów, a następnie wyjść na pobliski las, gdzie krył się wróg i zaatakować. 3. batalion miał dojść do rejonu Jeziorka, opanować dwór Złota i pozostać w gotowości do uderzenia na las Emilianów i folwark Władysławów. Trzeba było walczyć o dojście do rzeki zamiast ją forsować.

**Dzień szesnasty** - o 1.00 w nocy atak na Bronisławy przeprowadził 55. pułk ponosząc znaczne straty w ludziach sięgające ponad 60% stanu. 57. pułk o świcie miał atakować dwór Złota i las Emilianów. Rozkazy dotyczące dywizji uległy w nocy zmianie, ale zadanie 57. pułku pozostało nadal aktualne. Ale pułk otrzymał wsparcie 18. pułku piechoty i o 6.00 ruszyło natarcie 2. batalionu bez wsparcia artylerii. W gęstej mgłę opanowano skraj lasu, ale opór wroga był b. silny. Gdy mgła ustąpiła ogień niemiecki stał się celniejszy i powodował duże

straty. 3. batalion został zatrzymany silnym ogniem we wstępnej fazie natarcia, a w dodatku nie ruszyło wcześniej uzgodnione natarcie wspierające 18. pułku. Pułk ten ruszył do ataku niespodziewanie o 7.30, zamiast o 8.00 w ataku skoordynowanym z 3. batalionem 57. pułku. Zemściło się to zatrzymaniem obu chaotycznie prowadzonych ataków. Następne, wspólne tym razem natarcie miało ruszyć o 10.30. Krótco przed tą godziną nastąpił nalot lotnictwa niemieckiego, a następnie z lasu Emilianów wyjechała dywizja pancerna wroga licząca 300 czołgów. Sytuacja uległa radykalnej zmianie, 57. pułk musiał szybko zorganizować obronę ppanc. Nie było na to czasu, gdyż czołgi atakowały już 3. batalion i północne skrzydło 2. batalionu. Piechota poniosła ciężkie straty (60% stanu) rozjechana dosłownie przez czołgi. Ale nieco dalej działa artylerii pułkowej zniszczyły 3 czołgi, a działa ppanc podpaliły 6 czołgów. Kilka czołgów zniszczyła piechota przy pomocy rusznic ppanc. W sumie 57. pułk zniszczył w rejonie Żłota 13 czołgów. 3. batalion stracił wielu żołnierzy w tym swego dowódcę, ale pozostało w akcji ok. 300 ludzi walczących z piechotą wroga posuwającą się za czołgami. W tym dniu od odłamka pocisku czołgowego został ranny w głowę Tadeusz Penkalski. Utracił także swój pojazd tj. ciężarówkę ze sprzętem saperskim, która spłonęła podpalona ogniem czołgów. Około 12.00 57. pułk odzyskał swój 1. batalion i skierował go do ataku na las Emilianów. Atakująca 1. kompania poniosła duże straty, a walki toczono z niemieckim 74. pułkiem piechoty. Nie zdołała ona pójść dalej za czołgami.

**Dzień siedemnasty** - nocna narada w sztabie gen. Wład odbyła się o godzinie 1.00 bez udziału odciętego przez Niemców dowódcy 55. pułku płk. Wicierzyńskiego. Nie było nowych rozkazów od dowódcy grupy operacyjnej gen. Knolla-Kownackiego, a przynajmniej nie dotarły one do 14. dywizji. W tej sytuacji gen. Wład rozkazał odejść do rejonu Łów i stąd przejść do rejonu Budy Stare. Był to ostatni rozkaz pisemny dowódcy dywizji. Wyczerpani całodziennym bojem i nocnymi przemarszami żołnierze 57. pułku raz jeszcze musieli zebrać resztki sił i ruszyć, jako straż przednia dywizji. To zadanie wymagało torowanie drogi, zrzucanie blokujących drogę pojazdów oraz ubezpieczenie ppanc od wschodu. Pułk ruszył o 3.00 poprzedzany oddziałem zwiadowców por. Rzycki w sile 50 ludzi. Tadeusz znajdował się na wozie konnym w grupie oddziałów specjalnych za batalionami piechoty pułkowej. Stracił dużo krwi, głowę miał w bandażach. Na dotychczas zajmowanych stanowiskach pozostał 1. batalion.

Marsz był trudny, drogi kompletnie zatarasowane. Płk. Rybotycki dowiedział się od szefa sztabu dywizji, że gen. Wład ma zamiar dokonać przeglądu 57. pułku w Aleksandrowie. Trochę to dziwna decyzja w obliczu przeważających sił wroga. Aby dotrzeć na wyznaczone miejsce dowódca musiał rozczłonkować pułk, gdyż lotnictwo niemieckie panowało już niemal całkowicie w powietrzu. Oprócz

bomb pułk został ostrzelany przez czołgi z kierunku zachodniego. Na szczęście była jeszcze amunicja do dział i artyleria zniszczyła 3 czołgi. Po dojściu w rejon łłowa nastąpił ponowny silny nalot. Lotnictwo wroga atakowało z niespotykanym nasileniem, gdyż zabrakło amunicji do ckm i działek plot. Były to dwie floty powietrzne z Pomorza Zachodniego liczące 350 samolotów atakujące na stosunkowo niewielkim obszarze.

Wieczorem tego dnia w m. Budy Stare gen. Wład przeprowadził odprawę 57. i 58. pułku. Poleciał zniszczenie dokumentów i ukrycie sztandarów jednostek. Stan pułków wynosił w tym dniu po ok. 700 ludzi w każdym. Po zebraniu rozproszonych żołnierzy pułki miały maszerować o 22.00 do przepraw w rejonie Brochów-Witkowice.

Gen. Kutrzeba, dowódca Armii "Poznań" tak oceniał stan 14. dywizji po tych atakach: "*W rzeczywistości 14 d.p. była 16 września przez natarcie czołgów silnie zdeorganizowana i na rozkaz swego dowódcy zbierała się pod łłowem. Doszła tam 17 września podczas najsilniejszego ataku lotniczego i uległa. Właściwie dywizja, jako całość przestała istnieć*"

**Dzień osiemnasty** - koniec epopei 57. pułku i Tadeusza z sekcji saperów minerskich był już bliski. Ranny dowódca plutonu saperów gorączkował i był wyczerpany ciągłymi bombardowaniami. Maszerował razem ze swoją sekcją pozbawioną środków transportu, gdyż konie zostały wybite przez lotnictwo. W tym dniu ciężko ranny został gen. Wład. W miejscu, gdzie rano było dowództwo dywizji widniały wielkie leje po pociskach artylerii ciężkiej, wokół leżały zabite konie. Rannego generała przewieziono do gajówki Januszew, gdzie ok. 18.00 zmarł.

Siłami 55. pułku przeprowadzono natarcie o godz. 17.00 i przekroczone Bzurę. Ale za rzeką czekała na żołnierzy zapora czołgowa. W dwóch liniach ustawiono dziesiątki wozów pancernych w odstępach co 300 metrów. Natomiast 57. pułk forsował Bzurę wraz z Pomorską Brygadą Kawalerii na południe od Witkowic w godzinach 19.00 do 20.30. Dalej walczone o las w rejonie Tułowic, a do Puszczy Kampinoskiej dotarło ok. 400 żołnierzy. Nie było wśród nich Tadeusza Penkalskiego. Był w innej grupie żołnierzy 57. pułku złożonej z lżej rannych i niezdolnych do walki. Kiedy rankiem 19 września podeszli oni pod Bzurę wokół byli już Niemcy.

Zadania swoje saperzy pułkowi wykonali celująco budując przeprawy przez przeszkody wodne i bagna oraz zapory przeciwczołgowe, często pod ogniem nieprzyjaciela. Pracowali na rzecz całej dywizji, która dotkliwie odczuwała brak swego batalionu saperów oddelegowanego w sposób nieprzemysłany do innych zadań. Z tej też przyczyny nie był możliwy do wykonania rozkaz dowódcy armii o niszczeniu zakładów przemysłowych i lokomotyw. Rozmawiałem

telefonicznie z gen. Zygmuntem Odrowążem-Zawadzkiem (1911-2008), autorem monografii 14. Poznańskiej Dywizji Piechoty, ostatnim żyjącym oficerem operacyjnym sztabu tej dywizji. Powiedział mi, że 57. pułk był jego macierzystą jednostką zanim po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej przeszedł do pracy w sztabie dywizji. Od niego też dowiedziałem się, że dowódca dywizji gen. Wład wielokrotnie interweniował w sprawie odzyskania 14. batalionu saperów, ale do końca działań nie udało się tej jednostce powrócić do składu dywizji. Najprawdopodobniej budowali oni umocnienia dla Batalionu Obrony Narodowej płk. Siudy, który osłaniał działania Armii "Poznań" w bitwie nad Bzurą.

Saperzy 57. pułku w starciu z dywizją pancerną 16 września utracili prawie cały swój sprzęt, kilku z nich zostało rannych i nie byli już w stanie wykonywać swoich zadań. 17 września podszedł pod Bzurę 7. batalion saperów należący do innej dywizji (dowodził kpt. A. Wasilewski), który posiadał sprawne elementy do budowy mostu pontonowego. Brzeg rzeki był już jednak opanowany przez Niemców i każdą przeprawę trzeba było zdobywać w boju.

**Dzień dziewiętnasty** - piechota 57. pułku w małych grupach przeszła Bzurę i walcząc posuwała się wzdłuż kanału Łasica. Były to małe grupy żołnierzy bez rozwiązanego wcześniej 1. batalionu. Większość tych grup dostała się do niewoli. Ale do Warszawy dotarło ostatecznie 25. oficerów i ponad 700. żołnierzy z całej 14. dywizji, których wcielono do 60. pułku piechoty 25. dywizji. Tadeusz dostał się do niewoli rankiem 19 września. Tysiące jeńców zgromadzono w hali fabrycznej niedaleko Sochaczewa. Jeńcy otrzymywali początkowo tylko chleb i wodę, później raz dziennie zupeł. Tam też przeprowadzono selekcję, w wyniku której Tadeusz trafił do stalagu w Inowrocławiu. Stamtąd otrzymał 5 października przepustkę na swoje nazwisko plus 5 kolegów z obozu, którzy podróżowali razem z nim. 7 października powrócił do Sikorzyna, gdzie przez pewien czas leczył swoje rany.

### **Okupacja niemiecka**

System niemieckich obozów jenieckich był skomplikowany, podobnie jak kryteria, według których trzymany tam jeńców zwalniano lub przetrzymywano nieraz do końca wojny. Pierwszym był zawsze obóz frontowy (Frontstalag), a po nim Dulag, czyli obóz przejściowy. Takim był też stalag w Inowrocławiu, gdzie rozdzielano podoficerów i szeregowców do stałych obozów jenieckich lub zwalniano do domów. Największym obozem jenieckim był Stalag I A Stablack, położony w Prusach Wschodnich niemiecki obóz jeniecki z przeznaczeniem dla podoficerów i szeregowców wojsk lądowych w północnej

części dawnego niemieckiego poligonu Stablack, znajdującego się w obecnych Stablawkach i Kamińsku w gminie Górowo Iławeckie w powiecie bartoszyckim w województwie warmińsko-mazurskim oraz częściowo w okolicy miasta Dołgorukowo w obwodzie kaliningradzkim. Podczas funkcjonowania stalagu w latach 1939-1945 przebywało w nim około 255 000 jeńców wojennych z całej Europy.

Tadeusz był ranny, a jego funkcja dowódcy plutonu saperów oraz stopień wojskowy (plutonowy), kwalifikowały go do szybkiego zwolnienia do domu. Razem z nim zwolniono pięciu innych żołnierzy, z których trzech także było lekko rannych. Niestety nie znamy ich nazwisk, gdyż przepustka na dojazd do domu była wystawiona na nazwisko Tadeusza z dopiskiem "plus 5". Dokument ten został przekazany do ZBOWiD-u w trakcie starań o uzyskanie statusu kombatanta. Mój ojciec zapamiętał dobrze swego towarzysza broni z Pomorza pochodzącego z wioski Stara Jania w powiecie starogardzkim. Na jego prośbę odszukałem tego człowieka, ale jego relacja niewiele wniosła do opisu wojennej epopei Tadeusza. Nie był on w jego plutonie, a poznali się dopiero w pierwszej fazie niewoli.

Ta przepustka była w zasadzie jedynym dokumentem potwierdzającym udział Tadeusza w kampanii wrześniowej. Nie było wpisów w książeczce wojskowej, gdyż w zamieszaniu wojennym nikt o to nie zadbał, a dokumenty wojskowych komend uzupełnień oraz dywizyjne w znacznej części zaginęły. Żył w tym czasie wielu świadków, zachowało się archiwum 57. pułku piechoty, dzięki czemu ZBOWiD bez problemu zweryfikował udział Tadeusza w wojnie obronnej, za co został on odznaczony specjalnym medalem.



45. Medal za 1939 r.



Odnaczenie to odebrałem ja, gdyż mój ojciec w tym czasie już nie żył. Nie przywiązywał on wagi do swoich czynów wojennych, uważał, że spełnił swój obowiązek wobec Ojczyzny. Nie chciał zabiegać o status kombatanta, chociaż wiązało się to z konkretnymi przywilejami, także materialnymi. Musiała zadbać o to moja matka, która dziedziczyła te przywileje po mężu-kombatancie.

Po wyleczeniu się z ran Tadeusz zarejestrował się w niemieckim urzędzie pracy, jako zawodowy ogrodnik i pszczelarz. W rzeczywistości mieszkał nadal w swoim mieszkaniu służbowym na terenie szkoły, której działalność została zawieszona bezterminowo. Po uwięzionym znajomym radioamatorze Benschmidcie (zam. przy ul. Poznańskiej w Gostyniu) Tadeusz przejął dobrej klasy odbiornik radiowy i prowadził nasłuch stacji zagranicznych. Jak wiadomo było to zagrożone karą śmierci, dlatego Tadeusz sprytnie ukrył radio, które w trakcie wielu rewizji nie zostało odnalezione. Jak mi później opowiadał skrytka ta mieściła się w piecu kaflowym. Wiadomości z nasłuchu trafiały do zaufanych mieszkańców Gostynia, wówczas nazwę miasta zmieniono nieznacznie na Gostyn, ale już w r. 1940 rozporządzeniem gauleitera Greisera nazwa ta brzmiała bardziej po niemiecku, czyli Gostingen.

Nie był Tadeusz świadkiem bestialskiej egzekucji, kiedy to 21 października rozstrzelano 30. Polaków na gostyńskim rynku. Mieszkańcy miasta mieli obowiązek oglądanie tej egzekucji, znam jej przebieg z relacji mojej matki.



46. Rozstrzeliwanie Polaków w r. 1939

Ranek 21 października 1939 roku. Ciemne chmury pokrywają niebo. Od wczesnych godzin rannych na gostyńskim Rynku zapanował ruch. To polscy kolejarze pod eskortą niemieckich żołnierzy ustawiają rodzaj drewnianej ściany przed pomnikiem Serca Jezusowego. Nikt nie zdaje sobie sprawy z grozy sytuacji. Rano od 8.00 ratuszowy woźny Mieczysław Kawski obchodzi ulice miasta.

Głośno dzwoniąc przystaje co pewien czas i czyta rozporządzenie władz niemieckich. *"Dzisiaj w sobotę 21 października o godzinie 9.30 stawią się wszyscy dorośli mężczyźni na Rynku. Ktokolwiek zarządzenia by nie wykonał będzie z miejsca aresztowany i ciężko ukarany."*

Rynek godzina 9.30. Na placu znajduje się około dwóch tysięcy mężczyzn i kobiet. Wzdłuż chodników stoją kolumny ciężko uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu.

Od stopni ratusza, gdzie więziono 40 obywateli powiatu gostyńskiego, w kierunku wkopanej w ziemię drewnianej ściany ze słupów telefonicznych czy podkładów kolejowych, stoją tworząc szpaler, Niemcy. Wejście do ratusza otoczone jest przez policję i gestapo. Obok stoi 30. członków Sonderkommando. Mieszkańcy patrzą z przerażeniem, nie mogą uwierzyć, że rozstrzelani będą cywile. Po północnej stronie Rynku przejęty grozą tłum, po drugiej czerwone autobusy pocztowe, które przywiozły pluton egzekucyjny oraz auta osobowe oficerów SS.

Ratuszowy zegar wybija godzinę dziesiątą. Otwierają się drzwi. Pod eskortą, która mierzy karabinami w tłum, wychodzi pierwsza dziesiątka: hrabia Henryk Grocholski, senator Stanisław Karłowski, dyrektor szkoły Szczepan Kaczmarek, pomocnik młynarski Kazimierz Stryczyński, stojący na czele gostyńskiej endecji, Mieczysław Hejnowicz, powstaniec wielkopolski, Stefan Skiba, Stefan Pawlak, policjant Leon Kwaśny, Szczepan Paluszczak, Wawrzyn Szwarc, powstaniec. Gestapowcy ustawiają ich pod drewnianą palisadą, tyłem do plutonu egzekucyjnego. Pada komenda *Feuer!* Rozlega się grzmot salwy karabinowej, ludzie osuwają się na ziemię. Nie wszyscy umierają od razu, tych gestapowcy dobijają strzałami z pistoletu w głowę.

Osiemnastoletnia córka Mieczysława Hejnowicza Zofia, płacząc i krzycząc: *Mordercy*, rzuca się w kierunku zwłok ojca. Żołnierze brutalnie ją odpychają. Esesmani wybierają z tłumu mężczyzn, rozkazując im przenieść zwłoki na przygotowane wcześniej, stojące w narożniku Rynku i ulicy św. Ducha, otwarte ciężarówki Służby Pracy. Niechętnym lub opieszałym esesmani przykładają broń do skroni. Po rękach przenoszących zwłoki mężczyzn spływa krew zamordowanych. Ciężarówka odjeżdża na cmentarz. Tam ciała zabitych zostaną zrzucone na schody cmentarza, potem do wykopanego dołu, gdzie dobijano dających jeszcze oznaki życia.

W kwadrans po pierwszej egzekucji miejsce pod ścianą śmierci zajmują: szambelan Edward Potworowski, baron Antoni Graeve, prezes *Sokoła* Kazimierz Peisert, dyrektor gimnazjum Leon Kapcia, młody polonista, prezes Akcji Katolickiej - Roman Weiss, brat Mieczysława – Józef Hejnowicz, asystent pocztowy Antoni Gościński, Maksymilian Piątkowski, Jan Jasiak i Józef Łagodziński. W oknie kobieta z niemowlakiem na rękach. Łagodziński macha jej na pożegnanie. To jego żona. W chwili egzekucji nerwy jednego ze skazańców nie wytrzymują – baron Graeve, zanim pada strzał, odwraca się do strzelających i rzuca na ziemię. Po dobieciu rannych gestapowcy chwytają wrywającego się barona i prowadzą do ratusza. Tam w holu katują, kopią po całym ciele. Trzymając za nogi, wloką go z powrotem na miejsce straceń w trzeciej dziesiątce skazanych. Oniemiały tłum patrzy jak głowa barona obija się o bruk. Strzał w serce pozbawia go życia. W trzeciej grupie pod ścianą z drewnianych pni giną: burmistrz Hipolit Niestrawski, Stanisław Zydorczyk, Franciszek Hejduk, Kazimierz Wierachowski, Wojciech Pawlak, Franciszek Wawszczak, Józef Rosik, Tomasz Skowron, Franciszek Staszak oraz Jan Rosiński.

Szare niebo nad Gostyniem wydaje się jeszcze ciemniejsze. Ostatnia grupa ma być wyprowadzona – oczekują jeszcze na wyrok. Niespodziewanie do izby posterunku wpada zdenerwowany polizeimeister Georg Bracke, który nie pozwala gestapowcom na egzekucję kolejnej dziesiątki. *Trzydziestu zostało rozstrzelanych. Czy to nie dość, przeklęta bando?* – krzyczy.

Ludzie rozchodzą się do domów. Mężczyźni ponuro milczą, kobiety płaczą. Większość straciła kogoś z rodziny lub znajomych. Wszyscy są zszokowani zbrodnią dokonaną publicznie w okrutny, zwierzęcy sposób. Nawet żołnierze Wehrmachtu nie patrzą mijanym gostyniakom w oczy. Powoli Rynek pustoszeje. Pozostały jedynie ślady krwi, które woźny zasypuje powoli piaskiem.

Relacja mojej matki pokrywa się z grubsza z tym opisem tragedii. W sposób literacki opisała ją Zofia Hejnowicz-Portalska (1921-2011) w swojej książce *"Chmury nad domem"*, którą udało mi się nabyć w antykwariacie. Była naocznym świadkiem śmierci ojca i wujka. Jej matkę zmuszono do fikcyjnej sprzedaży młyna i wysiedlono z Gostynia. Moja matka przyjaźniła się z Zofią, spotykały się przy okazji zjazdów absolwentów gimnazjum gostyńskiego.

W końcu Tadeusz został przymusowo przesiedlony do Gostynia, ale jako nauczyciel, w dodatku podejrzewany o działalność antyniemiecką, miał trafić do obozu koncentracyjnego.

Uratowała go dobra znajomość technik fotograficznych, a był akurat potrzebny taki pracownik w Drogerii Centralnej. Zakład ten zabrali Niemcy polskiemu właścicielowi i oddali swojemu rodakowi z Austrii. Bardzo popularny był w tym czasie niedrogi aparat małoobrazkowy LEICA, a w ślad za tym powstawały liczne laboratoria fotograficzne. Proces wywoływania negatywów i robienia odbitek był zbyt skomplikowany dla przeciętnego fotoamatora. Tadeusz zaczął tam pracę z dniem 1 sierpnia 1941 r.

Ponieważ Wielkopolska została włączona do Rzeszy Polacy stali się elementem zbędnym. Jednak w pierwszej kolejności namiestnik Hitlera gauleiter Arthur Greiser zamierzał oczyścić Warthegau z Żydów.



Bundesarchiv, Bild 183-ED0455  
Foto: o. Ang. | Oktober 1938

47. Kat ziemi poznańskiej A. Greiser

W obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof) zgładzono ok. 200 tysięcy Żydów z Kraju Warty i pewną ilość z łódzkiego getta.

W Gostyniu na terenie klasztoru stacjonował batalion Sonderkommando, który zajmował się wysyłką ludności żydowskiej do tego obozu oraz tłumieniem najmniejszych przejawów oporu wśród ludności polskiej.

Brutalne akcje wysiedleńcze z Gostynia rozpoczęły się w grudniu 1939 roku.

Akcja ta była dokładnie zaplanowana i realizowana z całą bezwzględnością.

Pojedyncze przypadki wysiedleń miały miejsce jeszcze w pierwszych tygodniach okupacji. Objęły one m.in. dwie rodziny żydowskie, które przesiedlono do Łodzi.

W miejsce wysiedlonych Polaków sprowadzano ludność niemiecką z Rzeszy, ale także Niemców bałtyckich. Po wysiedleniach zaczęły się roboty przymusowe, na które z pow. gostyńskiego wywieziono blisko 700 osób. Nie powróciło z nich 48 osób.



48. Kompania SS w klasztorze gostyńskim - 1941 r.

Widoczną na tej fotografii kompanię zbrodniarzy hitlerowskich wizytował SS Brigadeführer, Generalmajor policji Oskar Knofe. Jak wynika z przebiegu służby Knofe był w 1941 roku głównym policjantem w okręgu Poznań i z tej racji wizytował jednostkę w Gostyniu. Stanowisko objął we wrześniu 1939 roku, a więc zaraz po ataku Niemiec na Polskę. Powinien odpowiadać za rozstrzelanie mieszkańców Gostynia i powiatu gostyńskiego w październiku 1939 r. Widocznie zabrakło bezpośrednich dowodów. Ale to on wydawał rozkazy siepaczom hitlerowskim.

W 1949 roku esesman ten został wydany Polsce przez aliantów i sąd w Poznaniu skazał go na niezwykle łagodną karę 8 lat więzienia. Został zwolniony z więzienia w roku 1955, zmarł w roku 1978 w wieku 90 lat. Jego liczne ofiary umierały znacznie młodziej.

Tadeusz mieszkał teraz przy ulicy Adolfa Hitlera, czyli przedwojennej 3 Maja razem ze Stanisławą Juskowiak, która także straciła pracę w szkole i w tym czasie żywiła i zajmowała się domem mojego ojca. Niemcy wprowadzili swoje nazewnictwo ulic w mieście. Pozostały tradycyjne, acz zniemczone nazwy ulic takich, jak Leszczyńska czy Poznańska, ale wprowadzono obce nam ulice: SA (Klasztorna), Horsta Wessela (Bojanowskiego) i Theodora Drewsa (Nowe Wrota), powstał też plac Bismarcka (Plac K. Marcinkowskiego).

Theodor Drews był teologiem ewangelickim i dyrektorem szkoły prywatnej podejrzewanym o działalność dywersyjną. Na początku września żołnierze polscy rozstrzelali 10. Niemców za szpiegostwo i dywersję w pobliskim Małachowie. Był wśród nich Drews, gdyż na cmentarzu w Piaskach znaleziono skład broni i to on był za to odpowiedzialny. Pogrzeb z wielką pompą, przelotem samolotów bojowych, kompanią honorową, odbył się w Gostyniu na początku października 1939 r. na cmentarzu ewangelickim. Tak oto dywersanta wykreowano na "bohatera". Niedługo to trwało, gostyńskie ulice wróciły do starych, przedwojennych nazw. Na krótko znowu, Hitlera zastąpił Stalin, potem Marchlewski i dzisiaj ulica, przy której mieszkałem zwie się Wrocławska.

Życie w czasie okupacji nie było łatwe. W sklepach mogli zaopatrywać się tylko Niemcy, Polacy otrzymywali żywność na kartki w wydzielonych sklepach. Brakowało wszystkiego, a więc kwitł czarny rynek, który okupanci zaciekle zwalczali. Tadeuszowi udało się pewnego razu kupić 40 świec do oświetlenia mieszkania. Został uznany za spekulanta i skazany przez sąd na karę grzywny w wysokości 70 marek. Wolno było posiadać 20 świeczek. Była to równowartość jego tygodniowych zarobków w drogerii. Pracy było dużo, w końcu właściciel drogerii Herr Dassel poprosił Arbeitsamt o dodatkowego pracownika do fotolabu. Skierowanie otrzymała 19. letnia wtedy Krystyna Niewiarowicz, córka głównego chemika i szefa laboratorium w miejscowej cukrowni Stefana

Niewiarowicza. On także w 1939 r. znalazł się w gronie zakładników przetrzymywanych w piwnicach ratusza po 24 godziny i następnie zwalnianych. Miał szczęście, gdyż nie był zbyt wysoko na listach Polaków przeznaczonych do likwidacji. Rozstrzelano w grupie 30. zakładników m.in. jego przyjaciela, szefa biura w gostyńskiej cukrowni. Dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski opuścił miasto przed wkroczeniem Niemców. Brał bowiem udział w powstaniu wielkopolskim w stopniu kapitana oraz w powstaniu śląskim, jako major. Potem służył w wojsku dochodząc do stopnia pułkownika. Z takim "dorobkiem" był od początku wojny poszukiwany przez gestapo.

W sierpniu 1939 roku Psarski został zmobilizowany i przydzielony do dowództwa saperów przy sztabie Armii Poznań. Tu jego losy w kampanii wrześniowej związały się z służbą wojskową Tadeusza Penkalskiego, jako sapera w składzie tej samej armii. Saperzy armijni nie brali jednak udziału w bitwie nad Bzurą, gdzie Tadeusz dostał się do niewoli. Dlatego Zygmunt Psarski uniknął niewoli i działał w konspiracji kierując w roku 1943 cukrownią w Michałowie pod Błoniem.

Młodziutka Krysia miała pomagać Tadeuszowi w wywoływaniu filmów i robieniu odbitek dla klientów. Dość szybko nawiązała się między nimi nić sympatii, a potem głębsze uczucie. Krysi imponował fakt, że Tadeusz walczył w kampanii wrześniowej i był ranny. Poza tym był przed wojną dyrektorem szkoły, człowiekiem wykształconym i odcytanym. Doskonale mówił po niemiecku, znał także język rosyjski.

Na związek małżeński nie było jednak szansy. Zarządzenia okupanta przewidywały bowiem dla kobiet wiek 25 lat, a dla mężczyzny lat 28. Tadeusz znacznie przekraczał ten limit, miał wówczas 36 lat, a Krysia była zbyt młoda. Wiek 28 lat osiągnęłaby dopiero w roku 1951! Nie było też szans na spotkania poza miejscem pracy. Rodzice Krysi zostali wysiedleni z 5. pokojowego mieszkania do nędznej stróżówki w cegielni na przedmieściach. A Tadeusz też miał tylko pokój z kuchnią, w której spała Stanisława.

Siłą rzeczy to, co miało się stać, stało się na zapleczu drogerii w pomieszczeniu ciemni fotograficznej. Zostałem tam poczęty pod koniec 1943 roku, kiedy rysowały się pierwsze oznaki klęski hitleryzmu. Pobici pod Stalingradem i w Afryce Niemcy bronili się przed inwazją aliantów na Sycylię i Włochy. Rodziła się nadzieja wśród uciskanych narodów Europy.

Na tym zdjęciu Krysia jest już w ciąży ze mną, pierwotnym synem Tadeusza.



49. Krysia w fotolabie - wiosna 1944 r.

Czy jednak było to pierwsze dziecko Tadeusza? Bo oto 25 grudnia 1941 r. urodziła się Janina Kazimiera Stachowiak poczęta 13 lub 20 kwietnia tegoż roku. Postępowanie sądowe wykazało, że matka tej dziewczynki istotnie odwiedziła Tadeusza w Sikorzynie, ale była już wówczas w ciąży, którą chciała usunąć. Jednak położna, którą o to prosiła odmówiła zabiegu i zeznała, że sprawcą ciąży był konduktor czy kierowca autobusu. W innej wersji ojcem miał być policjant niemiecki. Tadeusz nie znał wcześniej matki Janiny i nie miał z nią żadnych kontaktów. O alimenty wystąpił kilka lat po wojnie ojciec matki, która zmarła w r. 1948. Cała ta sprawa dość wyraźnie wskazuje, że Tadeusz został wrobiony w ojcostwo i musiał płacić z tego tytułu alimenty. Szczegóły tej sprawy zawarte są w dokumentach opublikowanych na stronie [http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/papers\\_3.html](http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/papers_3.html)

Wynurza się z nich ponury obraz okupacyjnej rzeczywistości. Przyciskana przez gestapo w kwestii ojcostwa dziecka Stachowska próbuje wpisać się na listę folksdojczów. Argumenty ma mocne, gdyż jej matka jest Niemką. Mogłaby wówczas wskazać, jako faktycznego sprawcę ciąży policjanta niemieckiego. Jednak jej wniosek został oddalony, wskazuje więc na Tadeusza jednocześnie go szantażując, że doniesie do gestapo o radioodbiorniku i o udziale Tadeusza w ukrywaniu osób poszukiwanych przez policję oraz w nielegalnym uboju świń. Nie wiadomo skąd ma te informacje, gdyż sama pracuje wówczas w Poznaniu w restauracji " *Nur für Deutsche* ". Zapewne od rodziny mieszkającej w Gostyniu.



Sprawa zostaje wniesiona do sądu jeszcze 1942 roku, zeznaje wielu świadków w tym położna i są one korzystne dla Tadeusza. W styczniu 1943 rozprawa przed Sądem Grodzkim, w obecności inspektora Jugendamtu, uniewinnia Tadeusza. Podstawą jest pismo Stachowskiej, która przyznaje, że ojcem dziecka jest szofer Sobkowiak. Po wojnie przez kilka lat nic się nie dzieje. Stachowska nie wraca do Gostynia, gdyż musiałaby stanąć przed sądem za kolaborację, denuncjacje i próbę wpisania się na listę narodowościową. Wychodzi też na jaw, że została aresztowana przez gestapo, w więzieniu wyleczono ją z choroby wenerycznej i zesłano do domu publicznego.

W latach 1945-1948 przebywa gdzieś na Ziemiach Odzyskanych, gdzie umiera z powodu kiły w wieku niespełna 30 lat. Sprawę do sądu wnosi opiekun Janiny Kazimiery, czyli jej dziadek, Franciszek Stachowiak. Przechodzi ona przez wszystkie instancje, dociera do Sądu Najwyższego. W międzyczasie z akt sądowych z r. 1942 ktoś usuwa korzystne dla Tadeusza zeznania świadków i pismo Stachowskiej o faktycznym ojcu jej dziecka.

To jego osobisty wróg, urzędnik sądowy Bartosz, po wyzwoleniu komendant Milicji Obywatelskiej, członek SD.

Ostatecznie sąd nie udowodnił ojcostwa, ale dziecko musiało mieć ojca i zapadł wyrok zasądający alimenty, które Tadeusz płacił do r. 1959.

Wiele można by tutaj napisać o ruchu oporu na terenie powiatu gostyńskiego. Ale to odrębny temat, zbyt obszerny na to opracowanie. "Czarny Legion" był organizacją wywodzącą z pracowników Huty Szkła, w ich szeregi wkradł się konfident gestapo i całe kierownictwo zostało ścięte gilotyną w więzieniu w Dreźnie.

Bataliony Chłopskie zajmowały się głównie organizowaniem sieci nasłuchu radiowego, czyli tym, co Tadeusz prowadził indywidualnie już w r. 1939.

Zajmował się tym Michał Glura i jego syn Franciszek. Pisaniem i redagowaniem bieżących wiadomości zajmowali się brat Franciszka Jan Glura i Jan Woźny. Gazetki rozchodziły się do zaufanych ludzi w okolicznych wioskach. W połowie września 1941 roku aresztowano brata i przeprowadzono kilkugodzinną rewizję u ojca. Przez przypadek znaleziono dobrze ukryte radio w wydrążonym pniu do rąbania drzewa. Bratu Janowi udało się zbiec z aresztu w Krobi. Franciszek i jego ojciec dostali się do więzienia w Lesznie, gdzie byli katowani przez gestapo. Na trzy tygodnie trafili do Fortu VII w Poznaniu, gdzie miały miejsce dalsze przesłuchania. Ze względu na umiejętności stolarskie zatrudniono go przy budowie nowego obozu w Żabikowie pod Poznaniem. 23 lipca 1943 roku został wywieziony do Oświęcimia i odtąd był numerem 131046. Trafił tam również jego ojciec, dla którego pobyt w obozie skończył się śmiercią. W styczniu 1945 roku ewakuowano obóz na zachód. Spośród ok. 4 tysięcy więźniów większość,

po kilku dniach marszu przy dwudziestu paru stopniach mrozu i buncie w przygodnym obozie Blechhammer, zmarła. W lutym Franciszek Glura wrócił pieszo z obozu do domu.

Tadeusz przyjaźnił się Franciszkiem Glurą, połączyło ich zamiłowanie do radiotechniki. Glura założył w mieszkaniu warsztat i zarabiał na życie naprawiając radia. Znałem go dobrze, gdyż mieszkaliśmy w pobliżu.



50. Esesmani gostyńscy - r. 1944

Nadszedł w końcu dzień, który mógł skończyć się tragicznie dla naszej rodziny. Był wczesny ranek, poniedziałek, 11 lipca 1944. Nagle o drzwi mieszkania rodziców Krysi zaczęły uderzać kolby karabinów. Padły szybkie komendy żandarmów niemieckich. Pakować się, każdy po jednej walizce i marsz na dworzec kolejowy. Zostaniecie wywiezieni na roboty do Niemiec. Stefan Niewiarowicz znający doskonale niemiecki zaprotestował wskazując na Krysię, która była na ostatnich nogach w ciąży ze mną. Tutaj Niemiec zawahał się. Poleciał udać się ojcu Krysi do starostwa i załatwić odroczenie wysyłki na roboty. Stefan pracował w starostwie, jako kreślarz i znał tam wszystkich. Odpowiedni dokument uzyskał stosunkowo szybko i groźba wyjazdu do Niemiec, które były w tym czasie intensywnie bombardowane, została oddalona. W międzyczasie pojawił się na cegielni Tadeusz i po paru godzinach napięcia wszyscy razem dziękowali losowi, że mogli pozostać razem. Termin mego porodu minął 10 lipca, ostatecznie przyszedłem na świat 17 lipca, trzy dni przed zamachem na Hitlera i pięć dni przed ogłoszeniem Manifestu Lipcowego. Tym samym najpewniej uratowałem rodzinę i samego siebie przed wywózką pod bomby

alianckie. Był to ostatni transport gostynian na roboty do Rzeszy, nie wszyscy powrócili po wojnie do swoich domów.

Jako, że rodzice pracowali w laboratorium fotograficznym, moje pierwsze dni na tym świecie zostały zarejestrowane niemal dzień po dniu.

[http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/1\\_rok/1st01.html](http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/1_rok/1st01.html)

Kłęska "Tysiącletniej Rzeszy" zbliżała się szybkimi krokami. Tadeusz został wezwany do gestapo w Lesznie, gdzie przez trzy dni przesłuchiwany w sprawie posiadania radia i ukrywania osób poszukiwanych. Były to stare sprawy, a gestapo nie miało żadnych nowych świadków. Nie został jedna zwolniony do domu, a skierowano go do pracy przy kopaniu rowów przeciwczołgowych w rejonie Stare Długie niedaleko Leszna. Krysia umierała z niepokoju, sądziła że Tadeusz został aresztowany i wywieziony do obozu. Na szczęście po tygodniu otrzymał on przepustkę i mógł odwiedzić rodzinę. Potem trzeba było powrócić do budowy umocnień, kolejna przepustka została udzielona na święta 24-27 grudnia 1944, potem powrót do Starych Długich do 20 stycznia 1945 r.



51. Ucieczka Niemców z Gostynia - 20.01.1945

Około 20 stycznia 1945 roku Niemcy z powiatu gostyńskiego zaczęli uciekać na zachód. Niemcy z okolic Ponieca przenieśli się do Pawłowic, licząc, że linia frontu szybko się cofnie. Część zabierała ze sobą polskich furmanów. Widać było wypakowane samochody, wozy konne, małe wózki pchane przed sobą.

Czasami Niemcy organizowali duże tabory: na przykład 19 stycznia z Piasków ruszył transport około 200 wozów konnych eskortowanych przez uzbrojonych Niemców. Gostynianie czuli, że zbliża się decydująca zmiana ich sytuacji. Okupanci przestali być już tak pewni siebie, nadal jednak pozostawali groźni. Mieszkańcy z nadzieją obserwowali wycofujące się oddziały niegdyś wielkiej i niepokonanej armii Hitlera. Teraz często ich widok był żałosny. Wycofujące się oddziały węgierskie ograbiły podczas stacjonowania, klasztor na Świętej Górze. Przy okazji Madziarzy porzucili swoje mundury i przebrali się w czarne uniformy strażackie. Resztki armii walczącej na wschodzie wycofywały się w nieładzie. Jadący na koniu żołnierz niemiecki ciągnący sanki, na których siedzi jego kolega: to obrazy zapamiętane przez mieszkańców Gostynia z tamtych styczniowych dni. Żołnierze Wehrmachtu często wchodzili do polskich domów, prosząc o gorącą wodę i gotowali sobie kawę lub herbatę. Styczeń 1945 roku był bardzo mroźny. Sporym problemem był brak chleba. Obrabowane przez uciekające wojsko sklepy zostały pozamykane. Ludzie bali się wychodzić na ulice, często do sąsiadów przemykano się ogródkami. W styczniu 1945 roku starosta gostyński dr Reichelt nawoływał przez ustawione na ulicach głośniki by żołnierze z rozbitych jednostek Wehrmachtu zgłaszali się do tworzących się oddziałów Volksturmu. W mieście krążyła informacja, że Niemcy będą wysadzać zakłady pracy i duże budynki, wcześniej gromadząc w nich ludzi. Ludność zmuszano do kopania rowów. Jeszcze w czwartek 25 stycznia w Gostyniu pełno było niemieckich czołgów. Tego dnia ewakuowano szpital z całym sprzętem medycznym. Po południu ewakuował się landrat i władze administracyjne miasta z burmistrzem Stolpe. W dniu 21 stycznia zakwaterowany został w gostyńskim gimnazjum specjalny oddział Wehrmachtu, którego celem miało być zniszczenie miasta przed wkroczeniem Armii Czerwonej. W nocy z 21 na 22 stycznia miastem nagle wstrząsnął wybuch. Część gmachu liceum runęła. Nie wiadomo, co się właściwie stało. - *Podobno był jakiś zdrajca wśród Niemców* - wspomina Tadeusz Krysztofiak. - *Volksturm miał likwidować zakłady w Gostyniu i wysadzać ludzi. Jeden z nich nie chciał, by ginęli niewinni cywile.* Według relacji Krysztofiaka, z ruin wyciągano zwłoki ofiar wybuchu. Czy wybuch był przypadkiem, wynikiem nieostrożnego obchodzenia się z materiałami wybuchowymi zgromadzonymi w budynku liceum, czy też celową działalnością, pozostanie tajemnicą.

25 stycznia, około 10 rano od strony Piasków wkroczyła do Gostynia Armia Czerwona. To była pierwsza próba wejścia. Kilku Niemców schroniło się w budynku rozdzielni gazu przy drodze Piaski- Gostyń. Jeden z nich zbił szybę i w ten sposób z karabinem maszynowym oczekiwali na Armię Czerwoną. -

*Podjechał jeden czołg - mówi o tych wydarzeniach Tadeusz Krysztofiak. - Żołnierze radzieccy nie spodziewali się nagłego ostrzału. Wyszli. Byli młodzi i ...pijani. Jeden z nich niósł czerwoną flagę. Pod ostrzałem z budynku z rozdzielni zginęło 4 lub 5 żołnierzy. Kierujący czołgiem wycofał się w kierunku Piasków. Ranni zostali umieszczeni w szpitalu wojskowym w Marysinie. Kolejne czołgi nadeszły ze strony Piasków i Godurowa, a także od Podrzecza. Ludność cieszyła się z wyzwolenia. Oficer rosyjski szedł z ubezpieczeniem przez miasto –wspomina Jan Tomaszewski- Koło obecnej apteki w Rynku zostali przywitani kwiatami. Podobno pojawiły się na domach biało-czerwone flagi. Mimo iż bano się, że linia frontu może się nagle załamać i w każdej chwili Niemcy mogą powrócić, jawnie manifestowano swą radość. Na Bojanowskiego ludzie witali Armię Czerwoną z wódką i kiełbasą. Sowietci byli jednak nieufni, obawiali się trucizny; najpierw kazali spróbować „poczęstunek” Polakom. To samo spotkało Stefana Niewiarowicza, kiedy witał Rosjan chlebem i bimbrem własnej roboty. Dzięki tej "produkcji" w ostatnich latach wojny nasza rodzina miała w bród mięsa, masła, jaj i serów. Rosjanie jechali przeważnie konno, samochodów prawie nie było. Według relacji osób, które witały ich w okolicach kina: *Banda! Każdy inaczej ubrany. Zamiast wojskowych pasów, przepasani sznurkami.* Rosjanie nie wyglądali na armię odpowiednio wyposażoną: zwinięte w rulon i przewieszane w pół koce, dziurawe spodnie, a niektórym przez dziury widać było części bielizny. Całość wzbudzała zdziwienie i litość. *Rosjanie chodzili ubrani w tak zwane „szynele” -- czyli płaszcze związane sznurkiem.* Tylko niektórzy, najczęściej oficerowie, mieli żołnierskie buty. Większość nosiła *sapogi* – obuwie z filcu, zwane również walonkami. Tylko niektórzy mieli plecaki i, co odróżniało ich od armii niemieckiej, nikt nie posiadał maski przeciwgazowej. Obrazu dopełniały karabiny - *pepesze* na sznurkach. *Byli zaniedbani, brudni i zmęczeni.* Po ucieczce Niemców Polacy zabierali rzeczy pozostawione w klasztorze, który wówczas pełnił rolę szkoły strażackiej. Gostynianie przebrani w mundury strażackie zostali zatrzymani przez Sowietów. Według jednej z relacji byli to polscy uczniowie uczący się w tej szkole, według innej po prostu mundury te były dobrej jakości, a zapotrzebowanie na ubrania było duże - więc gostynianie korzystali z tych uniformów. Rosjanie prowadzili ich w kierunku Leszna. Na Rynku Polacy prosili, by ich nie zabijać, by wypuścić. Oficer radziecki stwierdził jednak, że najpierw musi się skontaktować ze swoją władzą zwierzchnią. Aresztowani zostali uwolnieni dopiero przy strzelnicy, musieli jednak zostawić mundury. Powiat gostyński został wyzwolony przez wojska I Frontu Ukraińskiego, w czasie bezpośrednich walk poległo ok. 130 Rosjan. W walkach o Gostyń zginęło 18 żołnierzy. Żadne źródło nie wspomina o ostrzale wkraczających wojsk*

sowieckich przez ciężki karabin maszynowy ulokowany na wzniesieniu w rejonie ulicy Górnej. Naocznym tego świadkiem był Tadeusz. Z militarnego punktu widzenia był to stanowisko najbardziej zagrożające wkraczającej z kierunku wschodniego Armii Czerwonej i przyniosło jej największe straty. Zanim ogień z dział czołgowych mógł zniszczyć tą pozycję, Niemcy wycofali się w kierunku na Leszno porzucając ckm z amunicją.

#### 4/ Gostyń po wojnie

Komendantem wojennym na powiat gostyński został major Szałow, a jego zastępcą mjr Paweł Swirydow. Mieszkańcy pamiętają jego przemówienie na Rynku. Mówił wtrącając słowa polskie. Pierwszy sztab radziecki znajdował się w domu państwa Dolatów, a później u Grzymisławskich przy ulicy Wrocławskiej. Komenda policji politycznej NKWD mieściła się w budynku na rogu ulicy Kolejowej i Wiosny Ludów, natomiast spali oni w czerwonym budynku przy ulicy Kolejowej. Po wojnie ulica ta nosiła nazwę Józefa Stalina, a później Polskiej Partii Robotniczej.

27 stycznia utworzono Komitet Obywatelski, którego zadaniem było zorganizowanie administracji oraz organów porządkowych. Komitet liczył 18 osób, byli to przedwojenni radni i członkowie zarządu miasta. Do tego doszli delegaci KRN i Wojska Polskiego (por. Momot).

W dniu 30 stycznia 1945 roku powołano Tymczasową Radę Powiatową w Gostyniu w składzie: Waław Zygmąński, Franciszek Dworzak, Stanisław Hibner, Józef Sobierajski i Walerian Woźny. Pierwszym starostą po wojnie został były księgowy wydziału powiatowego- Waław Beczkiewicz. Powołano także Milicję Obywatelską. Jej pierwszym komendantem został Jan Bartosz. Później zostanie on zaciekłym wrogiem Tadeusza, który doprowadzi do jego dymisji i wyrzucenia ze stronnictwa SD. Później Bartosz zostanie usunięty z grona radnych MRN za nieustanne kopanie dołków pod burmistrzem. Przyczyna była prosta, Bartosz uważał, że to on powinien zostać burmistrzem z tytułu wieku i wykształcenia. Jednak miał on maturę, podobnie jak Tadeusz i był urzędnikiem sądowym średniego szczebla. W czasie, gdy kształtowały się nowe władze był bezpartyjny, nie miał więc żadnego poparcia politycznego. Nie miał dobrej opinii w Komendzie Wojennej miasta, jako sanacyjny urzędnik sądownictwa.



52. Oficerowie komendy wojennej Gostynia - 1945 r.

Szefem bezpieczeństwa na powiat gostyński został por. Stanisław Momot. Tymczasowa Rada Powiatowa powołała 30 stycznia 14. osobową Radę Miejską Gostynia. Znalazło się w niej 8. radnych sprzed wojny. Z kolei Rada Miejska powołała tymczasowego burmistrza, którym został sekretarz przedwojennego Zarządu Miejskiego Kazimierz Mrowiński. Takie ukształtowanie nowych władz nie było na rękę powstałej właśnie nieformalnej komórki Polskiej Partii Robotniczej. Na jej czele stanął były działacz KPP Ludwik Wolski. Członkami zostali: Jan Hałas, prac. umysłowy, Stanisław Juskowiak, robotnik (kuzyn Stanisławy) oraz m.in. Tadeusz Penkalski, nauczyciel. Przed wojną mój ojciec był raczej apolityczny, nie należał do żadnej organizacji za wyjątkiem ZNP. W lutym 1945 roku orientował się jednak, z której strony wieje wiatr historii, stąd decyzja o wstąpieniu do PPR. Nie był przecież posiadaczem, nie miał majątku, a miał rodzinę na utrzymaniu, która w grudniu tego roku miała się powiększyć o córeczkę. Pochodzenie - co było w tym okresie bardzo ważne, też miał robotnicze, gdyż jego ojciec przepracował w fabryce porcelany 50 lat. Jego stosunki z komendą wojenną układały się znakomicie dzięki doskonałej znajomości języka rosyjskiego. Nie nabył jej tylko w szkole, zbyt krótko trwała w niej nauka w tym języku. W znacznym stopniu był samoukiem, gdyż pogłębiał znajomość rosyjskiego lekturą książek i gazet oraz konwersacją przy każdej okazji. Przed wojną żyła w Polsce spora grupa białych emigrantów, którzy po rewolucji uciekli z ZSSR. Tadeusz miał wśród nich znajomych jeszcze z Ostrowca. Szacunek Rosjan budziła też niezwykła zdolność Tadeusza do popijania z nimi alkoholu, nieraz przez całą noc. A pito często spirytus i to szklankami. Dzięki temu Tadeusz mógł od ręki załatwiać sprawy ważne dla miasta. W odbudowę zniszczonego w 70% gimnazjum zaangażował się bardzo mjr Paweł Swirydow.

Sam jeździł do innych komendantów i załatwiał potrzebne materiały budowlane. Po wyzwoleniu nie postrzegano Rosjan, jako nowych okupantów, jak głosi dzisiejsza propaganda rodem z IPN. Panowała wielka radość z klęski znieawidzonego okupanta hitlerowskiego, a wcześniej pruskiego zaborcy. Zniknęło stałe zagrożenie życia, otwarto kościoły zamienione w czasie okupacji na magazyny czy koszary, jak klasztor gostyński, poprawiło się zaopatrzenie w żywność. Do miasta wracali wywiezieni na roboty do Niemiec (660 osób) oraz więźniowie obozów, którym udało się przeżyć (152 osoby, zginęło 65). Wracali też wysiedleni ze swoich domów, których było 1734 osoby. Nigdy nie wróciło 320 osób zamordowanych lub zmarłych w wyniku represji niemieckich. Blisko 40% ludności polskiej było dotkniętych eksterminacyjną polityką okupanta. Przypomnijmy, że we wrześniu 1939 r. Gostyń liczył 7687 mieszkańców narodowości polskiej.

22 lutego 1945 przybył do Gostynia pełnomocnik Rządu Tymczasowego porucznik Marcin Mazurek. Razem z nim z ramienia KC PPR przyjechał Marian Sobisiak (1908-1879) i razem z władzami miasta i powiatu uzgodnili podział mandatów. Do rad miało wejść 70% robotników i rzemieślników, 10% przedstawicieli inteligencji, 10% kupców i 10% przedstawicieli wolnych zawodów. Zgodnie z tymi zasadami 24 lutego 1945 na uroczystym zebraniu dokonano wyboru Miejskiej Rady Narodowej. Rada z kolei dokonała wyboru prezydium z przewodniczącym rady, burmistrzem i wiceburmistrzem. Burmistrzem został Tadeusz Penkalski (PPR), jego zastępcą i jednocześnie delegatem do Powiatowej rady Narodowej Jan Migas (bezpartyjny, później w SD).

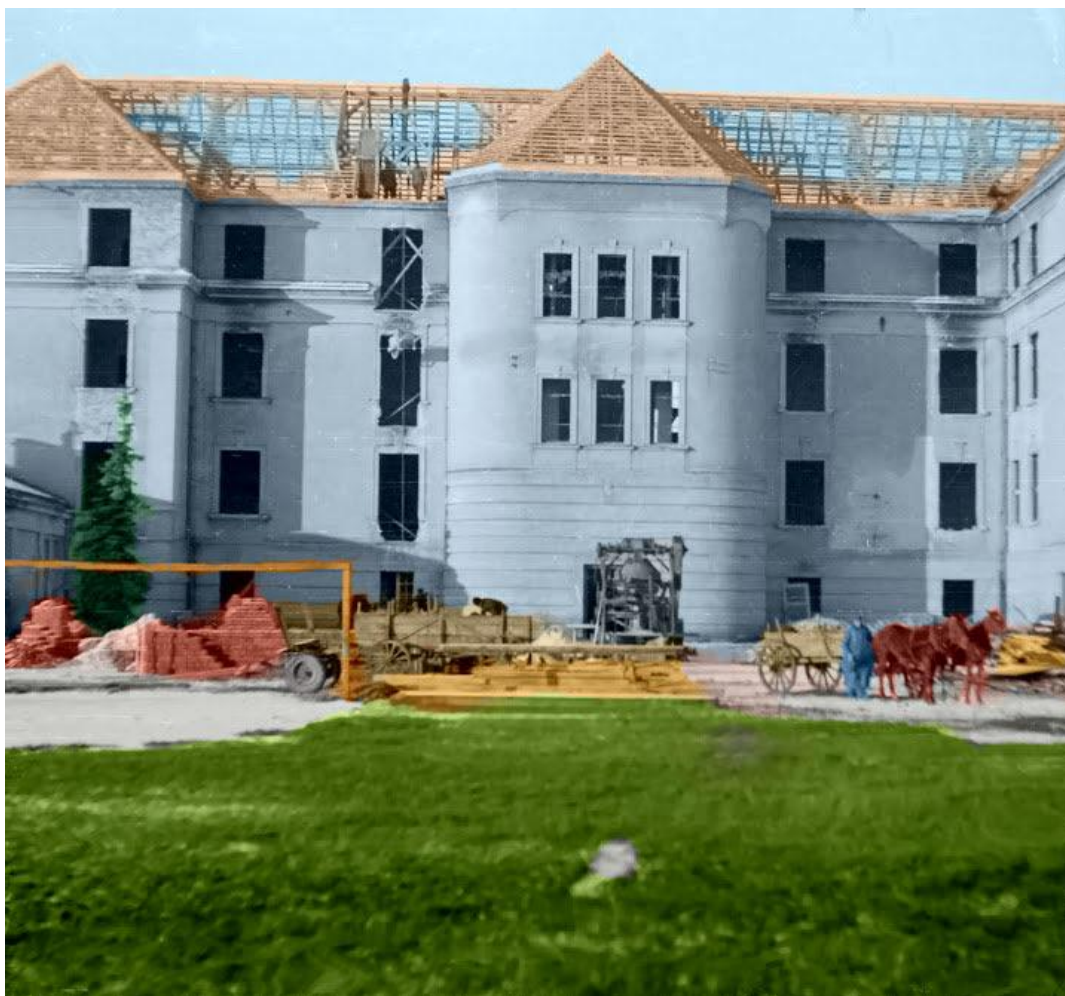
Nastąpiły tygodnie i miesiące żmudnej pracy w celu przywrócenia do normalnego życia miasta i odbudowania zniszczeń wojennych. Trzeba było dokonać rozgraniczenia między miastem, a sąsiednimi gminami. To zadanie latem 1945 na poniższym zdjęciu wykonuje komisja Miejskiej Rady z burmistrzem Tadeuszem Penkalskim na czele (trzymaj mapę z prawej).





53. Komisja MR z burmistrzem miasta w terenie - lato 1945 r.

Zaraz po ustąpieniu zimy przystąpiono też do odbudowy gimnazjum. Na czele komitetu odbudowy stanął dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski. Gmach leżał w gruzach, a mimo to już 24 kwietnia 1945 roku rozpoczął się pierwszy po wyzwoleniu rok szkolny w Miejskim Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym Ziemi Gostyńskiej w Gostyniu. Odbudowa gmachu, w której aktywnie uczestniczyli uczniowie, już w letnie wakacje 1946 roku była na ukończeniu. W dniu 22 czerwca tego roku odbyła się pierwsza matura, którą zdało 12 osób. Z dniem 1 września 1947 roku gimnazjum zostało upaństwowione i przyjęło nazwę: Państwowe Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące w Gostyniu Poznańskim.



54. Odbudowa gimnazjum w Gostyniu - kwiecień 1945

W okresie powojennym na terenie powiatu gostyńskiego działały różne ugrupowania zbrojne określane w czasach PRL-u mianem band. Dziś wiemy, że były to oddziały WiN, czy pozostałości po formalnie rozwiązanej Armii Krajowej. Działały także autentyczne bandy złożone z dezertarów z Armii Czerwonej oraz pochodzenia własnego. Ojciec mój jadąc samochodem w końcu roku 1945 został w okolicach Leszna zatrzymany przez patrol w mundurach sowieckich. Ponieważ była to powszechna wówczas praktyka zwolnić, ale zaniepokojony dziwnymi okolicznościami tej kontroli przyspieszył nagle i uciekł ratując być w ten sposób życie. Otóż patrol ten zatrzymał go w środku lasu, a Sowieci nie mieli własnego pojazdu i wyglądali dziwnie - nieogoleni, mundury brudne i obszarpane. Rzeczony patrol pożegnał ojca długą serią z pepeszy, na szczęście niecelną. Po zgłoszeniu tego incydentu władzom bezpieczeństwa okazało się, że

w tym rejonie nie było żadnych legalnych patroli czerwonooarmistów. Na początku września 1945 pojawiła się na terenie powiatu gostyńskiego dobrze uzbrojona 40. osobowa grupa dowodzona początkowo przez "Dzielnego", a potem "Kościuszkę". Nie znam politycznego pochodzenia tej formacji, która z czasem rozrosła się do blisko 100 osób. W marcu i kwietniu 1946 roku oddział ten dwukrotnie obrabował bank włościański w Krobi, napadał też na gminne spółdzielnie, PGR-y i osoby prywatne. Kilkanaście zbrojnych potyczek z milicją i ubowcami nie doprowadziło do rozbitcia tego oddziału, a wśród poległych funkcjonariuszy byli Henryk Lisicki i Kazimierz Urbański. Na terenie tym działały także oddziały "Wichra" oraz "Błyska", ale były to grupy mniej liczne, 15-30. osobowe. W dniu 23 września 1946 roku w okolicach wsi Stankowo w pobliżu Gostynia rozegrała się zacięta bitwa pomiędzy oddziałem "Kościuszki", a siłami KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego), milicji i PUB (Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa). Kilka dni po tym starciu dowódca grupy postanowił się ujawnić i skorzystać z amnestii. Wraz z nim ujawniło się 41. jego żołnierzy, którzy zdali 31. sztuk broni palnej, 7 granatów i 217 sztuk amunicji.

Ich dowódca Marian Rączka ps. "Kościuszko", "Błysk" i "Ogień", wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu, dnia 27 stycznia 1951 r. został skazany na karę śmierci. Dnia 4.06.51 r. wyrok złagodowano decyzją Prezydenta Bolesława Bieruta na dożywotnie więzienie. Warto prześledzić drogę życiową tego odważnego człowieka, gdyż Tadeusz był kilkakrotnie na obławach służb bezpieczeństwa kierowanych przeciwko dowodzonemu przez niego oddziałom zbrojnym. Z czasem stał się legendą ziemi gostyńskiej.

Urodził się 22 grudnia 1925 roku w Gostyniu. Był synem Jana i Marii z domu Furmaniak. Jesienią 1939 roku cała rodzina została wysiedlona przez Niemców do Czerniewic (powiat Tomaszów Mazowiecki), gdzie początkowo pracował jako parobek przy pasieniu krów, a następnie jako pomocnik rzeźnika u Jana Komińskiego w Wawrze pod Warszawą. Tam jesienią 1941 roku zetknął się z podziemną organizacją, prawdopodobnie z Narodową Organizacją Wojskową, do której wstąpił i przyjął pseudonim „Tarzan”. Dowódcą tej grupy był Edward Wikliński ps. „Brzoza”. Za szmugiel mięsa Marian został aresztowany przez gestapo i wywieziony na roboty do Niemiec, skąd po pewnym czasie uciekł i przedostał się do Kutna. Parę miesięcy później ponownie został zatrzymany, znowu w czasie transportowania uciekł i wyruszył w kierunku Warszawy. Po dotarciu do stolicy nawiązał kontakt ze swym dawnym dowódcą, który skierował Rączkę na kurs podoficerski AK do Puszczy Kampinoskiej. Po ukończeniu szkolenia został mianowany na stopień starszego sierżanta i objął funkcję dowódcy plutonu żandarmerii o kryptonimie „4-T”, którego zadaniem było likwidowanie szpiegów, konfidentów, Polaków współpracujących z

Niemcami. W sierpniu 1944 roku wziął udział w powstaniu warszawskim, gdzie za męstwo i odwagę został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po upadku powstania wydostał się wraz z ludnością cywilną z Warszawy i został skierowany do obozu przejściowego w Pruszkowie. Stamtąd hitlerowcy wywieźli go do prac fortyfikacyjnych w Wielkopolsce. W styczniu 1945 roku korzystając z paniki, jaka wybuchła wśród Niemców przed zbliżającym się frontem uciekł do rodzinnego miasta.



55. Marian Rączka

Po wyzwoleniu Gostynia, wstąpił ochotniczo do tworzonej właśnie Milicji Obywatelskiej, a następnie został przeniesiony do Pudliszek, gdzie pełnił stanowisko komendanta obozu jeńców niemieckich. W sierpniu 1945 roku wrócił do Gostynia i pracował, jako dyżurny centrali telefonicznej w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Zimą nawiązał kontakt z oddziałem AK „Dzielny”. Pomógł mu w tym Ludwik Kuklewski, wartownik UB w Gostyniu, którego brat był członkiem oddziału i występował pod pseudonimem „Wilk”. Akowcy zaproponowali Rączce i Kuklewskiemu, aby pomogli uwolnić aresztowanych partyzantów: Edwarda Paizerta, Jana Kaczmarka, Edmunda Książkiewicza, Bronisława Bartule, Jana Sowińskiego. Akcja ta z nieznanых przyczyn jednak nie doszła do skutku. Bezpieczeństwo zaczęło podejrzewać obu funkcjonariuszy o współpracę z podziemiem, jednak początkowo z braku konkretnych dowodów nie mogli zostać aresztowani. W styczniu 1946 roku przeniesiono obu do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, gdzie 2. lutego zostali zwolnieni z resortu. Trzy dni później osadzono

ich w areszcie przy ulicy Kochanowskiego w Poznaniu, pod zarzutem współpracy z „reakcyjnymi bandami”. We wspólnej celi znajdowało się, oprócz Rączki i Kuklewskiego 16. więźniów, w tym pochodzący z Gostynia Antoni Piotrowiak. W nocy z 23 na 24 marca 1946 roku, po wyłamaniu krat w celi aresztu, więźniowie zbiegli. W okolicach Bielewa 26 marca Rączka i Piotrowiak wstąpili do oddziału partyzanckiego „Dzielny”, którego dowódcą był w tym czasie „Żyd” (nazwisko nie ustalone). W wyniku rozłamu, 27 kwietnia 1946 roku dowództwo nad partyzantami przejął Marian Rączka i pełnił tę funkcję do 27 września, tj. do momentu ujawnienia się oddziału przed organami bezpieczeństwa publicznego w Gostyniu. Parę tygodni później, 22 października 1946 roku został zatrzymany i osadzony w areszcie na siedem miesięcy. Po wyjściu na wolność 13 maja 1947 roku przez rok pracował w warsztacie samochodowym u Lisieckiego w Gostyniu. Niestety pracę tę musiał porzucić, ponieważ właściciel firmy miał kłopoty z tytułu zatrudnienia tak „niewygodnej” osoby. Postanowił w poszukiwaniu pracy wyjechać z Gostynia. W Nosolicach pow. Głogów, otrzymał posadę ślusarza w tamtejszej cukrowni. W lutym 1949 roku spotkał się z Ludwikiem Sinickim zamieszkałym w Ciosańcu pow. Wolsztyn. W trakcie rozmowy okazało się, że Sinicki w czasie II wojny światowej był żołnierzem AK, a po jej zakończeniu dalej działał w konspiracji. Musiał się ukrywać, ponieważ groziło mu aresztowanie. Mimo wszystko postanowili nawiązać kontakt z organizacjami niepodległościowymi i kontynuować walkę z „władzą ludową”. Dlatego też Rączka w niedługim czasie podjął współpracę z organizacją AK „Zawisza”, działającą w Krobi. Od tej pory będzie występował pod pseudonimem „porucznik Błysk”, major „Stanisław Kosowski”, i „pułkownik Ogień”. Dnia 23 lipca 1949 roku Marian Rączka został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

Postanowieniem z 22 czerwca 1956 roku karę dożywocia na mocy amnestii złagodzano do 12 lat więzienia. Dnia 5 czerwca 1957 roku orzeczono zwolnienie z odbywania reszty kary i Marian Rączka opuścił mury więzienia we Wronkach. Na tym nie zakończyły się jego perypetie z organami bezpieczeństwa i służbami więziennymi. 13 grudnia 1981 roku w chwili ogłoszenia stanu wojennego został internowany i osadzony w areszcie śledczym w Ostrowie Wielkopolskim, a następnie w DarłóWKu. Miejsce internowania opuścił 2 lutego 1982 roku. Zmarł 1 maja 1985 roku.

W zbiorach mego ojca zachowała się unikalna fotografia oddziału Rączki, gdzie łatwo rozpoznać jego dowódcę stojącego w środku. Jest chyba najmłodszy z całej grupy, w r. 1946 miał 21 lat i fakt ten uratował mu zapewne życie, gdyż Bierut najczęściej, choć nie zawsze, ułaskawiał młodych dając im szansę "naprawienia błędów".



56. Partyzanci Rączki - r. 1946

Zorganizowany, zbrojny opór przeciwko władzy ludowej, jak się wydaje, wygasł po 1947 roku. Nie było w tym rejonie dużych kompleksów leśnych umożliwiających przetrwanie większych oddziałów partyzanckich, jak na wschodzie kraju.

Konspiracja natomiast trwała i rozwijała się aż do roku 1954. Odrodziła się też w gostyńskim Liceum Ogólnokształcącym. W roku 1950 UB dokonał tam aresztowań wśród uczniów planujących rzekomo akty sabotażu na linii kolejowej do Kościana. Nie wiadomo do końca, czy nie była to prowokacja Urzędu Bezpieczeństwa, szczególnie aktywnego w tych latach. Inna grupa konspiracyjna z tego terenu to *Hultajska Piątka* Andrzeja Jankowiaka działająca w latach 1952-53 na terenie powiatu gostyńskiego. Nieco wcześniej, w latach 1950-51, działała grupa konspiracyjna wśród uczniów o nazwie "*Harcerstwo*". Wywodziła się ona z podgostyńskich Piasków, a kierował nią Feliks Szlachetka. Akta sądowe ostatniej konspiracji w gimnazjum gostyńskim najprawdopodobniej nie zachowały się. Pamiętam natomiast, że po jej wykryciu zwolniony został ze stanowiska dyrektor gimnazjum w latach 1948-54 Antoni Szymański, nota bene nasz sąsiad.

Lista organizacji podziemnych działających na terenie Wielkopolski opracowana przez Henryka Czarnieckiego liczy 166 pozycji. Jej autor powiedział mi :*" Moja strona to tylko "Przewodnik po dokumentach sądowo - więziennych dotyczących organizacji niepodległościowych Wielkopolski 1945-1956". Jest bardzo dużo braków, a to z powodu braku akt spraw sądowych czy prokuratorskich. Proszę pamiętać, iż moje opracowanie dotyczy jedynie organizacji rozpoznanych i zlikwidowanych. Wiele z nich dzięki Opatrzności*

*ocalało. Ludzie ci uniknęli więzienia, a zatem nie mogą być wymieniani w "przewodniku po dokumentach".*

W latach okupacji na terenie Wielkopolski działały formacje konspiracyjne wywodzące się ze środowiska endecji, czyli tzw. Obóz Narodowy i Narodowa Organizacja Wojskowa, a później od 1942 r. Narodowe Siły Zbrojne. Rejon Gostynia podlegał prawdopodobnie pod komendę powiatową w Jarocinie należącą do podokręgu kaliskiego. Komendantem tego powiatu był ppor. Franciszek Lubiowski ps. "Andrzej". Po wojnie działały nieliczne grupy tzw. podziemia narodowego, ale dowodów na to zachowało się mało. W rejonie Kościana, a więc niedaleko Gostynia miała działać w r. 1946 grupa "Rycerz" dowodzona przez Czesława Lecińskiego ps. "Szeff Czesiu". Nie zachowały się jednak żadne ślady aktywności tej jednostki.

Teren Wielkopolski nie sprzyjał działalności grup konspiracyjnych. Silna była PPR, a pod WUBP Poznań podlegało 3 tys. funkcjonariuszy. W 1946 r. utworzono tutaj Państwowy Komitet Bezpieczeństwa celem koordynacji działań przeciwko siłom podziemia niepodległościowego. Do tego dochodziła Milicja Obywatelska, 14 pułk KBW oraz regularne wojsko w ramach 4 dywizji piechoty. Nie było też rozległych kompleksów leśnych ułatwiających ukrywanie się oddziałów podziemia.



Po wojnie Stefan Niewiarowicz powrócił do swego służbowego mieszkania przy ulicy Dobramyśl, obszernego z pięknym ogrodem, słonecznego.

Uciekający w pośpiechu Herr Dr Karl Heinz Bachmann, wysoki urzędnik hitlerowski, który zajął mieszkanie Stefana pozostawił całą, bogatą bibliotekę, cenne zbiory znaczków pocztowych i wiele innych wartościowych rzeczy. To było i tak mało za pięcioletnie zesłanie rodziny Stefana Niewiarowicza do wilgotnej stróżówki przy cegielni.

Tadeusz przydzielił sobie mieszkanie w nowym budynku wybudowanym przez okupantów dla swoich urzędników i ich rodzin na osiedlu zwanym *Neue Heimat* przy ulicy 3 Maja 5, wkrótce przemianowanej na ulicę Juliana Marchlewskiego.



57. Lokatorzy domu przy ul. 3 Maja 5 - rok 1945

Pozostałe 4 budynki tego osiedla stały przy ul. Nowej, później Feliksa Dzierżyńskiego, a obecnie ks. Olejniczaka.

Nie udało mi się ustalić nazwisk tych pierwszych lokatorów, jednym z nich mógł być por. Momot (w mundurze), szef bezpieczeństwa, pierwszy z prawej w kapeluszu prawdopodobnie komendant MO Bartosz. Budynek ten przez długie lata pozostał "zmilitaryzowany", gdyż na parterze mieszkali kolejni komendanci Milicji Obywatelskiej. Jeszcze w latach 40. na I piętrze naprzeciwko nas zamieszkał dyrektor gimnazjum Szymański, a na parterze lekarka Helena Lejowa z rodziną. Ona jedyna żyje do dnia dzisiejszego dobiegając do wieku 100 lat. Czynsz i inne opłaty za nasze mieszkanie pokrywała Miejska Rada Narodowa. Konkretnie były to opłaty za opał i prąd, a później także za telefon. Zgodnie z pismem Zarządu Miejskiego z 10 października 1946 decyzja ta została zatwierdzona przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.



W trakcie kadencji Tadeusza na stanowisku burmistrza trwały nieustannie próby skompromitowania go i usunięcia ze stanowiska. Celowali w tym wspomniany tu Bartosz, zastępca burmistrza Migas, radni Szaj i Podgórski. Najwcześniej wyłynęła sprawa ponemieckich skrzyń ze sprzętem czy też złomem elektrotechnicznym, które Tadeusz otrzymał od Rosjan, jako wynagrodzenie za pracę tłumacza na rzecz Komendy Wojennej w Gostyniu. W tej sprawie 24 listopada 1945 r. burmistrz spotkał się z swoim zastępcą Migasem i Kazimierzem Mayerem, członkiem Zarządu Miejskiego. W trakcie tego spotkania Tadeusz przedstawił sprawę uzyskania od Komendy Wojennej budynku, w którym ta urzędowała wraz ze wszystkimi meblami biurowymi. Aby zdobyć oficjalne poparcie władz sowieckich Tadeusz udał się do sztabu dywizji, który mieścił się w Rydzynie k. Leszna. Zarząd wyraził mu podziękowanie za załatwienie tej sprawy i postanowił umieścić w tym gmachu gimnazjum do czasu odbudowy zniszczonego przez okupanta właściwego budynku. Na tym spotkaniu Zarząd Miejski wyraził też zgodę na umieszczenie w magazynach miasta skrzyń ze złomem elektrotechnicznym otrzymanym od Komendy Wojennej na podstawie protokołu zdawczo-odbiorczego z dnia 24.10.45, potwierdzonego przez młodszego lejtnanta Bileńko.

I oto po sześciu latach 5 maja 1951 Prokuratura Powiatowa w Gostyniu kieruje do sądu akt oskarżenia p-ko Tadeuszowi, zarzucając mu przywłaszczenie wspomnianych skrzyń o wartości 50 tys. zł (w starej walucie). Nie jest on już burmistrzem miasta, ale stare sprawy i donosy nadal się za nim ciągną. Sąd uniewinnia Tadeusza od zarzutu przywłaszczenia dobre skrzyń ze złomem wobec oczywistych faktów i zeznań świadków.

Co zawierały sporne skrzynie? Stały w naszej piwnicy, często do nich zaglądałem. Otóż były tam żarówki, dławiki telefoniczne, przełączniki, kable, odgromniki, bezpieczniki, liczniki do prądu stałego, gniazdka telefoniczne, części do akumulatorów, jakieś przekładniki itp. Praktycznie był to sprzęt nieużywany o nas, w dodatku na prąd stały lub zmienny, ale o częstotliwości 110 V nieużywanej w Polsce. Przeznaczony był do radiostacji wojskowych, centralek telefonicznych i stacji niskiego napięcia.

Co ciekawe ta sama prokuratura 28 lutego 1950 r. umorzyła postępowanie w sprawie przywłaszczenia skrzyń i zarządziła zwrot dowodów rzeczowych. W uzasadnieniu napisano, że brak jest podstaw do wszczęcia postępowania sądowego. Mija rok i po kolejnych donosach prokuratura uznaje za konieczne wniesienie aktu oskarżenia do sądu.

Inny kuriozalny atak na burmistrza nastąpił w listopadzie 1948 r. Znowu mamy tutaj Bartosza, prezesa Stronnictwa Demokratycznego w Gostyniu i jego popleczników Podgórskiego i Szaja. Ten ostatni wnioskował o votum nieufności dla burmistrza pod zupełnie błahym powodem. Radni nie zgodzili się na ten

wniosek, gdyż powinien on być zgłoszony na piśmie, należycie uzasadniony oraz podpisany przynajmniej przez pięciu radnych. Podgórski nadal próbował zawiesić w czynnościach burmistrza zwołując egzekutywę Komitetu Powiatowego PZPR. Jej uchwała nie mogła być ważna, gdyż egzekutywa była zdekompletowana, a sam Podgórski został wcześniej wyrzucony z PZPR, ale odwołał się i nadal formalnie był członkiem partii. Doszło jednak do podjęcia uchwały Miejskiej Rady Narodowej o zawieszeniu burmistrza, chociaż też nieważnej z powodu braku decyzji Prezydium Wojew. Rady Narodowej. Komitet Wojewódzki zareagował błyskawicznie. Bartosza usunięto z Miejskiej Rady Narodowej, Szaj dostał naganę partyjną, a Podgórskiego ostatecznie wydalonego z szeregów partii.

Wcześniej burmistrz spowodował usunięcie Bartosza ze stanowiska komendanta MO i oskarżył go o przywłaszczenie dwóch kompletów mebli biurowych oraz jednej maszyny do pisania. Poważnym zarzutem było też zatrudnienie przez Bartosza na stanowisku swego zastępcy i śledczego niejakiego Boruszkiewicza, który okazał się być konfidentem gestapo. Przy okazji tego sporu dowiadujemy się, jaki zasługi dla miasta przypisywał sobie Tadeusz po czterech latach urzędowania.

Odbudowanie i wyposażenie gimnazjum, miał tutaj niewątpliwe zasługi, ale była to praca wielu ludzi, nie tylko burmistrza. Budowa chłodni przy rzeźni miejskiej, budowa basenu kąpielowego, elektrowni, zrównoważenie budżetu miasta. Na końcu wymienia swój udział w walkach z bandami. Tu kilka słów wyjaśnienia dla osób nieznających powojennych realiów. Cywilni urzędnicy państwowi nie mieli obowiązku walczyć z oddziałami leśnymi z bronią w ręku. Ale obecność sołtysów, wójtów czy burmistrzów miast w ekspedycjach karnych kierowanych przez urząd bezpieczeństwa czy wojskowe jednostki KBW był pożądanym i dobrze widzianym przez władze. Chodziło tu o szybkie rozpoznawanie osób schwytanych z bronią w ręku, udział w ich przesłuchaniach na miejscu akcji czy też organizowanie pochówków osób zabitych. Ojciec opowiadał mi o tych wydarzeniach, niezbyt chętnie jeździł na akcje, gdyż stanowiły oczywiste zagrożenie dla życia. Sztab jednostek bezpieczeństwa był na ogół lokowany w miejscach oddalonych od strefy walki, ale nieraz kule świsnęły nad głową. Tadeusz miał sporą wiedzę o oddziale Mariana Rączki, którego podziwiali nawet ubecy za to, jak sprytnie unikał zasadzek i wymykał się wielu obławom.

Nie sposób nie wspomnieć o pierwszym ataku na burmistrza Gostynia, który wyszedł z tych samych kręgów związanych ze Stronnictwem Demokratycznym i Polskim Stronnictwem Ludowym kierowanego wówczas przez Mikołajczyka. Stamtąd właśnie wywodził się dyrektor gimnazjum Jan Gruchała. Warto przypomnieć jego drogę życiową. Miałem okazję poznać go osobiście na I Zjeździe Absolwentów gimnazjum gostyńskiego. Trzymał się doskonale i nie wyglądał wcale na swoje lata.



58. Jan Gruchała, pedagog

Urodzony 1 listopada 1911 w Łączynie w pow. kartuskim, zm. 13 czerwca 2006, nauczyciel, pedagog, organizator szkolnictwa, działacz społeczny.

Syn Bazylego i Augustyny Hinc, pochodził z kaszubskiej rodziny szlacheckiej Żonaty z Melanią Marceliną z domu Batura, nauczycielką geografii

Szkołę powszechną ukończył w 1922 w rodzinnej miejscowości, w latach 1922 – 1926 uczęszczał do gimnazjum staroklasycznego w Pelplinie

i Kościerzynie, gdzie zdał egzamin dojrzałości. Następnie, w latach 1926-1933, odbył przeszkolenie wojskowe w Dywizyjnym Kursie Podchorążych 4 Dywizji Piechoty w Brodnicy nad Drwęcą. W 1936 nominowany na stopień podporucznika Wojska Polskiego. Jako oficera rezerwy skierowano go do 64. pułku piechoty w Grudziądzu.

Od najmłodszych lat interesował się naukami humanistycznymi, szczególnie historią starożytną. W latach 1933 -1937 studiował filologię klasyczną na Uniwersytecie Poznańskim. Pierwszą pracę nauczyciela języka łacińskiego, podjął 1 września 1938 w Prywatnym Gimnazjum w Gostyniu Poznańskim.

Przez rok uczył łaciny moją matkę Krystynę i jej koleżanki. Zawsze był mile wspomniany przez matkę, a spotkanie z nim po latach bardzo ją ucieszyło. W kampanii wrześniowej wojny obronnej 1939, jako żołnierz 64 pułku piechoty Armii „Pomorze” walczył w bitwie nad Bzurą, pod Kutnem, Łowiczem, koło Modlina. Dotarł do Łomianek, gdzie z niedobitkami 16 dywizji piechoty, 24 września dostał się do niewoli niemieckiej.

Przez cały okres okupacji przebywał w oflagu, początkowo w obozie jenieckim w Osterode w górach Harzu, a następnie do 30 stycznia 1945 w Woldenbergu (dzisiaj Dobiegniew). W obozie włączył się w działania Związku Nauczycielstwa Polskiego i organizowania obozowej oświaty, przygotowywania podoficerów i oficerów do wykonywania zawodu nauczyciela po zakończeniu wojny.

Po uwolnieniu z obozu z uwagi na zły stan zdrowia uniknął wcielenia do nowo tworzonych jednostek Wojska Polskiego. Włączył się w odbudowę szkolnictwa polskiego. 7 lutego 1945 podjął się zorganizowania Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Inowrocławiu. Wkrótce jednak na polecenie władz oświatowych Wielkopolski udał się do Gostynia i objął w kwietniu 1945 funkcję tymczasowego dyrektora Gimnazjum i Liceum Ziemi Gostyńskiej. Wspólnie z mieszkańcami do sierpnia 1946 odbudowuje zniszczony gmach szkoły. W Gostyniu był także przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i działaczem Polskiego Związku Zachodniego. Na początku 1948 uznany zostaje przez wizytatora ministerialnego za element politycznie niepewny i wyrzucony ze stanowiska dyrektora gostyńskiego liceum. W obronie Jana Gruchały staje kurator poznański i nakłania go do przyjęcia funkcji dyrektora Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Pile.

Obok prof. Gruchały do opozycji wobec burmistrza należał od początku Bartosz oraz sekretarz koła SD niejaka Kowalska. To z ich inicjatywy ukazał się w "Głosie Wielkopolskim" z dnia 4 listopada 1945 r. w dziale " Z życia Wielkopolski" artykuł pod fascynującym tytułem "*Germanofile w Gostyniu*".

W artykule tym w sposób bardzo stronniczy było napisane, że burmistrz miasta otoczył niezwykle czułą opieką Niemca Musterera, przydzielił mu w pełni wyposażone mieszkanie i załatwił posadę.

Fakty była całkowicie odmienne. Oskar Musterer nie był Niemcem, a Polakiem repatriowanym z Rzeszy. W sierpniu 1945 r. zajmował się nim Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa i po potwierdzeniu braku jakichkolwiek związków z okupantem niemieckim przekazał go władzom miasta z zaleceniem stworzenia mu warunków egzystencji. Rzekomy Niemiec mógł się legitymować zaświadczeniem, że jest on i jego rodzina Polakiem z Rzeszy z pełnymi prawami obywatelskimi. Repatriant ten nie otrzymał mieszkania z zasobów miejskich, ale

przydział na mieszkanie w budynku prywatnym, które stało nieużytkowane z uwagi na jego zły stan techniczny wymagający remontu. Kłamstwem był też zapis, że burmistrz zatrudniła Musterera, jako stróża ogrodów miejskich, gdyż skierował on go tylko do Urzędu Pośrednictwa Pracy celem rejestracji. Rzeczono wielce przychylny Niemcom burmistrz skierował też do bezpieki wnioski o usunięciu Musterera z miasta, gdyż wydawał mu się on podejrzany. Po publikacji tego artykułu i riposie burmistrza w Gostyniu nastąpiło trzęsienie ziemi. Zjechały się komisje powiatowe, wojewódzkie, partyjne i urzędnicze. Po roku badania tej nieskomplikowanej sprawy redaktor odpowiedzialny "Głosu Wielkopolskiego" został skazany za zniesławienie, a burmistrz i, przy okazji sam Musterer, zostali całkowicie oczyszczeni. Polak z Rzeszy opuścił pod koniec 1945 r. niegościnnie Gostyń i osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych, gdzie do dzisiaj żyją jego potomkowie w okolicach Nowej Soli.

Kolejną potyczkę musiał stoczyć Tadeusz o swoją pasiekę skonfiskowaną przez Niemców w Sikorzynie. Było to 27 nowoczesnych uli typu Dadant Blatt. Ule Dadanta są do tej pory niezwykle w naszym kraju popularne. Nic w tym dziwnego - mają bowiem wiele zalet. Niestety, jak w każdym przypadku, są one okupione pewnymi niedogodnościami.

Niewątpliwą zaletą uli Dadanta jest to, iż mają tylko jedno pomieszczenie gniazdowe, co znacznie usprawnia utrzymywanie kontroli nad pszczelą rodziną. Mają również, do zbierania miodu, osobne plastry, co stanowi kolejne ułatwienie pracy pszczelarza. Niemniej, fakt, iż wykorzystujemy w nich inne ramki do komory gniazdowej, a inne do magazynu plastrów, jest małą komplikacją. Odnowienie konstrukcji jest trudne, a miodu nie da się wybierać w całości. Ul Dadanta jest nierozbieralny (jego warstwy są nieruchome). Dlatego właśnie stosuje się w nim poławiacze wylotowe. Te mają jednak jedną wadę - szuflada ula jest na tyle mała, iż i tak trzeba opróżniać ją każdego dnia.

W poszukiwaniu swojej pasieki Tadeusz zwrócił w kwietniu 1945 do Wielkopolskiego Związku Pszczelarzy o informacje o swojej pasiece. Odpowiedź nadeszła szybko i była, o dziwo, precyzyjna. Ule miały się znajdować w majątku Pijanowice oraz w samym Sikorzynie w gospodarstwie Niemca Fritza Hoffmana. 19 kwietnia Tadeusz zwrócił do Starostwa Powiatowego o zezwolenie na zabranie tych uli. Powiatowe Biuro Rolne wydało stosowne zezwolenie i ule zostały zabrane i przywiezione do ogrodu naszych krewnych Górskich. Zadanie było o tyle proste, że ule tego typu nie były używane na terenie Wielkopolski, zatem łatwo je można było odróżnić. Poza tym były charakterystycznie malowane.

Z Pijanowic ludzie burmistrza przywieźli bez problemów 22 ule, 15 żywych i 7 martwych. Natomiast z Sikorzyna 5 uli i to o nie rozgorzał spór. Na gospodarstwie Niemca Hoffmana siedzieli już repatrianci z Buga, którzy

otrzymali je wraz z ziemią i zabudowaniami, jako rekompensatę z mienie pozostawione na wschodzie. Państwowy Urząd Repatriacyjny stanął w obronie nowych posiadaczy gospodarstwa i pismem inspektora Piotrowskiego z Wydziału Osadnictwa (5.07.1945), zażądał ich zwrotu osadnikom. Musiał jednak ustąpić, gdyż Tadeusz zadbał o stosowne pozwolenia.

Dzięki temu przez następne 12 lat mieliśmy w bród miodu dla własnego użytku, a ja chętnie pomagałem ojcu w prowadzeniu pasieki.

Wróćmy na chwilę do życia prywatnego Tadeusza. Jak wiemy nie mógł on poślubić Krysi w czasie wojny, gdyż obowiązywały niemieckie przepisy dotyczące wieku małżonków, pod koniec wojny jeszcze zaostrzone.

Ślub został zatem zastąpiony uroczystością oficjalnych zaręczyn młodej pary w gronie przyjaciół i rodziny.



59. Zaręczyny Tadeusza i Krysi - wrzesień 1944 r.

Ślub był możliwy dopiero po wyzwoleniu i odbył się 3 marca 1945 r. To wtedy Tadeusz formalnie zmienił pisownię swego nazwiska, gdyż obowiązywała nadal pisownia przez "ę" tak, jak w metryce przysłanej z parafii Ćmielów z tej okazji. Następnego dnia odbył się ślub kościelny, gdyż w tym czasie nie obowiązywały rygory formalnego ateizmu dla wysokich rangą funkcjonariuszy państwowych i partyjnych. Prezydent Bierut w otoczeniu biskupów występował w czasie świąt państwowych, a nawet kościelnych, jak Boże Ciało. Sytuacja uległa radykalnej zmianie dopiero po roku 1948.

Zdjęcie poniższe wykonał ojciec Krysi Stefan Niewiarowicz swoim Kodakiem.

Znowu pracuje on w cukrowni, jako szef laboratorium i główny chemik.  
9 miesięcy po tym ślubie na świat przyjdzie córka Ewa, moja siostra.



60. Ślub kościelny Krysi i Tadeusza w marcu 1945 r.

Najbliższe lata będą okresem bardzo dla naszych rodzin pomyślnym. Zarówno Tadeusz, jak i Stefan bardzo dobrze zarabiali na swoich eksponowanych stanowiskach. Żona Stefana Aleksandra sprowadziła do Gostynia swoją siostrę Janinę, która przed i w czasie wojny mieszkała w Równem. Jako repatrianci dostali dzięki Tadeuszowi piętro pięknej willi z dużym ogrodem. Ogród był także przy ulicy Dobramyśl, gdzie spędzałem dużo czasu w dzieciństwie. W naszym domu przy ulicy 3 Maja odbywały się przyjęcia, a dzieci w tym czasie nocowały u dziadków. Zaraz po wojnie w dobrym tonie było gościć naszych wyzwolicieli, którzy chętnie dali się zapraszać do domu burmistrza, który mówił w ich języku i po paru głębszych śpiewał z nimi rosyjskie piosenki wojskowe w rodzaju "Tri tankista" czy "Wołga, Wołga". Rosjanie i oficerowie UB chętnie polowali na zwierzynę, gdyż lasy były jej pełne. W czasie wojny hitlerowcy polowali raczej na ludzi niż na jelenie.

Tadeusz chcąc, nie chcąc musiał kupić fuzję i sztucer, aby dostosować się do powojennych zwyczajów elity. Na poniższym zdjęciu polował szef bezpieczeństwa por. Momot w środku) w towarzystwie swego kierowcy-ochroniarza (po lewej) oraz gajowego. Był też burmistrz, który zamiast strzelby wolał aparat fotograficzny.



61. Na polowaniu - zima 1945 r.



Letnie wakacje Tadeusz i Krysia spędzali w Gdyni, gdzie Stefan był współwłaścicielem kamienicy przy ulicy Świętojańskiej i miał tam niewielkie mieszkanie w oficynie, gdzie zatrzymywał się przyjeżdżając do Gdyni. Dzieci zostawały pod opieką Stanisławy, ale od 1947 r. byłem już zabierany razem z rodzicami. Nic nie zapowiadało, że wkrótce nadejdzie ponura noc stalinizmu, a zmierzający do grobu dyktator rozpęta orgię zbrodni i prześladowań we wszystkich krajach będących w orbicie wpływów ZSRR. Te trzy lata po wojnie ludzie cieszyli się wolnością, swobodą manifestowania religii i pełnymi towarów sklepami. Pamiętajmy jednak, że wiele miast leżało w gruzach, a pola uprawne leżały odłogiem, często były na Ziemiach Odzyskany zaminowane. Szybka odbudowa przemysłu i rolnictwa była możliwa dzięki odczuwalnej wolności i swobody działania. W rządzie wicepremierem był Stanisław Mikołajczyk, który reprezentował rząd emigracyjny w Londynie. Prezydent Bierut udawał bezpartyjnego prezydenta wszystkich Polaków.

Toczyły się walki z podziemiem niepodległościowym, ale dzięki kilku amnestiom jego szeregi topniały. Marian Rączka skorzystał z takiej amnestii, oddał broń i mógł włączyć się w normalne życie. Dopiero, kiedy ponownie chwycił za broń został skazany na karę śmierci zamienioną na dożywocie.

Kłopoty Tadeusza zaczęły się od wizyty tej *femme fatale* w Wielkanoc 1941 roku w jego mieszkaniu w Sikorzynie. Leżał jeszcze w łóżku, zatem polecił służącej, aby gość zajął się lekturą póki się nie ubierze. Gość jednak wtargnął do sypialni i usilnie próbował uwieść kierownika zamkniętej szkoły. Wiemy dlaczego, panna Stachowiak wiedziała, że jest ciężarna i potrzebowała alibi dla Niemców. Przepisy aborcyjne były bowiem dość surowe. Po dojściu do władzy hitlerowskiej NSDAP system prawny podporządkowany narodowosocjalistycznej ideologii w widoczny sposób zmienił przepisy. Z jednej strony zradyzalizowano przepisy prawne i wprowadzono wysokie kary za przeprowadzenie aborcji, a z drugiej strony dopuszczono ją w wielu kazuistycznie wskazanych wypadkach.

Zabieg aborcji był więc zakazany w przypadku czystej krwi Niemek, w szczególności jeżeli należały one do którejś z organizacji związanej z partią. W roku 1935 powstał *Lebensborn* (pol. Źródło życia), organizacja w założeniu charytatywna, mająca wpierać rozrost niemieckiej populacji. Wśród wielu jego zadań, takich jak opieka nad młodymi matkami czy pomoc socjalna, znalazło się również powstrzymywanie wzrastającej w olbrzymim tempie ilości aborcji. Najpierw wprowadzone zostały bardzo wysokie kary za usunięcie ciąży przez kobiety należące do grupy szczególnie uprzywilejowanych w hitlerowskim państwie. Począwszy od roku 1943 każda „aryjka”, która poddała się aborcji, ryzykowała karę śmierci. Przepisy te usprawiedliwiano w następujący sposób:

Niemka dokonująca aborcji miała przyczyniać się do osłabienia sił III Rzeszy, co stanowiło działanie na rzecz jej wrogów, bowiem odbierała führerowi kolejnego żołnierza. Podobna sytuacja miała miejsce w krajach podbitych przez Hitlera. W roku 1939 na terenie Polski i innych krajów okupowanych wprowadzona została możliwość aborcji na żądanie. Każda obywatelka polskiego pochodzenia mogła bez problemu dokonać zabiegu. Była to oczywiście celowa polityka III Rzeszy obliczona na to, że tym samym uda się zmniejszyć populację podbitych narodów. Propaganda zachęcająca do przeprowadzania zabiegów aborcji była w zasadzie stosowana od Niderlandów, aż po wschodnie rubieże hitlerowskiego imperium. Aby jednak dokonać legalnej aborcji Polka musiała wskazać ojca dziecka. Przepisy zabraniały Niemcom stosunków seksualnych z "niearyjkami" i na odwrót. Czystość rasy była tu najważniejsza. Niemiecki policjant za spowodowanie ciąży Polce mógł zostać wysłany do obozu koncentracyjnego. Panna Stachowicz musiała wskazać na ojca Polaka, gdyż liczyła także na rentę alimentacyjną. I tu się zawiodła, gdyż niemieckie przepisy przewidywały alimenty tylko w przypadku, gdy matka była niezdolna do pracy. Szantaż w stosunku do Tadeusza także się nie powiódł, gdyż jej rodzina przerażona konsekwencjami odwiodła Stachowską od denuncjacji. Mogli oni zostać surowo ukarani za to, że zataili przez władzami posiadaną informację o nielegalnym radiu i nabywali mięso z nielegalnego uboju. Ale sprawa w sądzie grodzkim pod nadzorem Jugendamtu toczyła się w latach 1942-43. Ten sam sąd wydał 26 marca 1942 nakaz karny dla "*szanownego polskiego nauczyciela Tadaucz Penkalski zam. Birkenhain Nr 57, Kreis Gostingen*". Jak wiemy grzywna wyniosła 70 marek za działanie na szkodę narodu niemieckiego. Czyli za zakup 46 parafinowych świec. Nie wiadomo, dlaczego sąd czy Tadeusz podał stary adres zamieszkania w Sikorzynie. Powojenne sądowe kłopoty Tadeusza będą się ciągnęły przez lata i skończą się aresztem i pobytem w więzieniu w Śremie.

Na razie rodzina cieszyła się spokojnym i dostatnim życiem w Gostyniu i wakacjami spędzonymi w Gdyni w mieszkaniu Stefana. Krysia jeździła tam także przed wojną, czyli istniała jakaś ciągłość mimo wojny. Chociaż w centrum stały ciągle ponemieckie ciężkie armaty przypominając straszliwe lata wojny, czekając na przetopienie w hutach na pług.



62. Wakacje w Gdyni w r. 1948. Kamienna Góra

## Zaproszenie na egzekucję

W lipcu 1946 r. Tadeusz został poinformowany, że w niedzielę 21 lipca odbędzie się w Poznaniu publiczna egzekucja gauleitera Arthura Greisera. Samochodem ciężarowym przystosowanym do przewozu osób udała się delegacja obywateli z Gostynia, której większość stanowili funkcjonariusze bezpieczeństwa i władz miasta. Oto relacja z tej egzekucji oparta na nagraniach dźwiękowych.

*„Dziś, w niedzielę 21 lipca 1946 roku, odbywa się ostatni akt wydarzenia. Pan i władca Warthelandu, ciemężyciel i kat narodu polskiego Arthur Greiser zostanie stracony. Dziś płaci on za ogrom nieprzeliczonych win i zbrodni śmiercią”* – tak rozpoczyna się zachowany w archiwach dźwiękowy zapis radiowego reportażu z egzekucji. Tonem sprawozdawcy sportowego Bogusław Borowicz tak relacjonował

to makabryczne wydarzenie na antenie Polskiego Radia: „Już przed godziną 6 wszyscy, proszę państwa, jakby na jakąś majówkę, wybierali się tutaj, na stoki Cytadeli”.

Były namiestnik Rzeszy w Kraju Warty został publicznie powieszony właśnie na stokach poznańskiej Cytadeli, u podnóża ulicy Winogrady i w sąsiedztwie znajdującego się tam od lat 50. XX wieku przystanku tramwajowego. Z całego miasta ściągnęły obserwować egzekucję dziesiątki tysięcy poznaniaków. Mimo zakazu władz wśród obserwatorów było wiele dzieci.

*„W tej chwili pod Cytadelę podjechała karetka więzienna ze skazanym Arthurem Greiserem. Jest bardzo spokojny i blady.*

*W tej chwili oficer władz bezpieczeństwa zawiązuje mu czarną opaskę. Przed chwilą przyjechał prokurator sądu specjalnego i dwóch katów. Kat zbadał szubienicę. Obydwaj ubrani są we fraki, białe rękawiczki i czarne nakrycia twarzy, coś w rodzaju maski. W tej chwili zbliża się do nas Greiser w asyście władz bezpieczeństwa, którzy prowadzą go pod rękę. Wydaje się bardzo załamany, nerwowo wzrusza ustami, proszę państwa, jest bardzo blady”.*

Zarejestrowany na taśmie dźwiękowej reportaż spod szubienicy Bogusława Borowicza nie jest fałszywką. On tak rzeczywiście relacjonował:

*„Greiser został podprowadzony pod szubienicę. Za chwilę naczelnik więzienia zamelduje prokuratorowi sądu specjalnego o przybyciu oskarżonego. Greiser ma związane ręce do tyłu, czarną opaskę na oczach, w tej chwili wstępuje na szubienicę. Publiczność dotychczas bardzo spokojna niecierpliwi się, proszę państwa, klaszczą, publiczność klaszcze, gwizdże. Greiser w tej chwili już wstąpił na podium, już jest na stołeczku. Kat poprawia mu ręce”.*

Na publiczną egzekucję przyjechał z Warszawy operator *Polskiej Kroniki Filmowej*. Na nakręconych w tamtą lipcową niedzielę zdjęciach filmowych pojawia się też sylwetka ówczesnego fotoreportera „Głosu Wielkopolskiego” Kazimierza Przychodzkiego. Media nie zlekceważyły takiego wydarzenia.

*„Arthur Greiser zostanie za chwilę stracony. W tej chwili kat nakłada pętlę oskarżonemu na szyję. Greiser jest bardzo spokojny, mimo wszystko wytrzymuje nerwowo. Stoi wyprężony, jest bardzo blady. Głowę ma lekko wzniesioną do góry. W tej chwili kat zawiązał pętlę na szyi, zawiesza ją na haku szubienicy”.*



63. Egzekucja A. Greisera, kata Wielkopolski-1946

*„Proszę państwa, w tej chwili rozpina się marynarkę skazańca, odwiązuje się jego przepaskę z oczu i lekarz dokona badania [...]. Lekarz stwierdza zgon. Za chwilę Arthur Greiser zostanie zdjęty z szubienicy. Lekarz melduje prokuratorowi sądu specjalnego o zgonie skazańca. Arthur Greiser przestał żyć. Prokurator stwierdza, że wyrok został wykonany zgodnie z przepisami i poleca złożenie ciała skazańca do trumny” – to końcowe słowa sprawozdania Borowicza.*

Sprawiedliwości stało się zadość. Człowiek, którego celem było wyniszczenie narodu polskiego umarł jak zwykły przestępca. Rozstrzelani na gostyńskim rynku i wszystkie inne ofiary tego kata zostały pomszczone. Wielka szkoda, że Oskar Knofe, oberpolicjant i esesman w stopniu Brigadeführera (odpowiednik generała majora) uniknął szubienicy. Stało się to dlatego, że w 1942 r. został przeniesiony do Salzburga. Zanim został wydany Polsce był rok 1949 i ten zbrodniarz wykpił się karą zaledwie 8. lat więzienia.



64. Zbrodniarz Oskar Knofe - 1888-1978

To Knofe odpowiadał za potworne zbrodnie popełnione w tzw. Forcie VII. Przez kilka lat obóz ów był jednym z najstraszniejszych miejsc w tej części Europy. Ci więźniowie, których stąd przewieziono do – nazwijmy to tak – normalnych obozów koncentracyjnych, nierzadko pobyt w nich przesadnie porównywali do warunków sanatoryjnych. Więźniów Fortu VII katowano przy lada okazji, kopiając, bijąc kolbami i bykowcami, szczując psami. Wielu z nich umierało z głodu i chorób zwłaszcza, że większość z nich trafiała do fortu po mniej lub bardziej perfidnych torturach w siedzibie gestapo. Tu też wykonywano wyroki śmierci sądu specjalnego, ale też mordowano więźniów, bo jak inaczej nazwać to, co w Fortcie VII wydarzyło się 6 stycznia 1940 roku, gdy do jednej z cel wpadli pijani gestapowcy Dibus, Hoffmann i Langer, którzy z broni automatycznej otworzyli ogień do stłoczonych w niej przedstawicieli polskiej inteligencji. Zamordowano między innymi inżyniera architekta i działacza społecznego Stefana Cybichowskiego, historyka sztuki i dyrektora Muzeum Wielkopolskiego Nikodema Pajzderskiego, artystę plastyka, autora wielu rysunków i obrazów przedstawiających wydarzenia z powstania wielkopolskiego Leona Prauzińskiego, profesorów Uniwersytetu Poznańskiego Romualda Paczkowskiego i Stanisława Pawłowskiego, księdza kanonika Kazimierza Szrejbrovskiego i dziewięć innych osób, w tym kilku nauczycieli.

Liczbę ofiar trudno obecnie ustalić, było ich z pewnością kilka tysięcy. Prawie wszystkie obciążają konto Knofoego, gdyż obóz w forcie zlikwidowano w r. 1943, a do końca wojny działała tam firma *Telefunken* produkująca radia dla potrzeb wojska.

Knofe był też wykonawcą planu Greisera dotyczącego masowych wysiedleń Polaków. Do maja 1941 r. z Kraju Warty deportowano w sumie około 272 tys. Polaków. Na ich miejsce sprowadzono ponad pół miliona Niemców. Greiser wprowadził przy tym ostrą segregację narodową, utrudniając jak tylko mógł Polakom możliwość podpisania volkslisty. Tej zasadzie podporządkował wewnętrzne przepisy okupacyjne.



65. Greiser i jego kamraci-mordercy

Były one znacznie ostrzejsze niż te w Generalnym Gubernatorstwie. Aby odseparować „gorszych rasowo” Polaków od Niemców, Greiser stworzył dla polskich noworodków wąską listę imion, które mogły otrzymać. Polscy uczniowie mogli chodzić tylko do niemieckich szkół. Po ukończeniu 14 lat zamieniali się w pracowników ku chwale Rzeszy.

Polacy byli gorzej wynagradzani, za to płacili wyższe podatki (sięgające 30 proc. wypłaty). Greiser odrzucił dyrektywę ministra pracy Rzeszy z 1941 r., który chciał podnieść pensje Polakom, a rok później w ogóle wstrzymał im urlopy. Niemiecki szef mógł ukarać polskiego pracownika, wysyłając go do obozu karnego w Żabikowie pod Poznaniem na tzw. weekendową naukę (ludzie byli tam torturowani i zmuszani do pracy niewolniczej). Kara śmierci groziła nawet za przemyt mąki i cukru. Za słuchanie audycji radiowych z zagranicy przewidziano sześć lat obozu. A za ich kolportowanie groziła kara śmierci.

Domy na osiedlu *Neue Heimat* były jak na owe czasy dobrze wyposażone, a w dodatku ich lokatorzy uciekając w panice w styczniu 1945 roku pozostawili niemal wszystko. Było więc radio TELEFUNKEN i rzadki w tych czasach odkurzacz. Mieszkania miały sieć elektryczną na napięcie 110 V, ale łatwo dostosowały się do napięcia 220 V. Radio trzeba było zaopatrzyć w inny transformator celem dostosowania do podwyższonego napięcia. Osiedle było zaopatrywane w wodę z własnej studni, którą pompował agregat umieszczony w jednym z bloków. Sieć gazowa dostarczała gaz z gazowni miejskiej, a dodatkowo zapewniała oświetlenie w kuchni przy braku energii elektrycznej, co w latach powojennych zdarzało się często. Budynek posiadał też własne szambo, które musiało być okresowo opróżniane. W łazienkach stały piecyki z wodą ogrzewane węglem. Obszerny strych oraz pralnia w piwnicy dawały komfort przy nawet dużych praniach bielizny i ubrań. W budynku był też schron przeciwlotniczy o wzmocnionych stropach, w którym Tadeusz urządził sobie warsztat i magazyn skrzyń ze złomem elektrotechnicznym. Trafiały się w tych skrzyniach maski przeciwgazowe oraz saperki wysoko cenione przez uczniów szkoły podstawowej. Wymieniłem kiedyś dwie maski p.gaz i jedną saperkę na piękny bagnet niemiecki. W lasach znajdowało się wiele niewypałów i amunicji strzeleckiej, które również były przedmiotem wymiany. Nie wszyscy na tym dobrze wyszli, niewypały zabijały lub okaleczały lekkomyślną młodzież. Wspomniane skrzynie ze złomem były przedmiotem kilku śledztw, które wszczynano wskutek donosów przeciwników politycznych Tadeusza. A przecież już w sierpniu 1948 r. dochodzenie w tej sprawie umorzyła Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Poznaniu, co swoim podpisem poświadczył ppłk.



Stanisław Radomski. To on był pierwszym szefem prokuratury w Lublinie będąc w stopniu majora. Potem awansował do Poznania już w stopniu podpułkownika. Wojskowe prokuratury powołane rozkazem organizacyjnym nr 023/org Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego i Ministra Obrony Narodowej marsz. Michała Żymierskiego z 20 stycznia 1946 (podpisali go też zastępca naczelnego dowódcy gen. Marian Spychalski oraz szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Władysław Korczyc). Wojskowe prokuratury rejonowe były właściwe dla spraw przestępstw osób cywilnych w granicach przewidzianych w MKK, przestępstw funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego, milicji, straży więziennej oraz żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ich naczelnym zadaniem było jednak zwalczanie przeciwników politycznych nowej władzy. Nie jest jasne, dlaczego sprawa tych nieszczęsnych skrzyń trafiła do prokuratury wojskowej.

W końcu do "schronu" trafiły tylko 22. skrzynie z 365., ale i one stały się przedmiotem śledztwa w czasie, gdy Tadeusz nie był już burmistrzem. I tutaj sąd nie widział podstaw do uwzględnienia aktu oskarżenia prokuratora powiatowego, który pewnie nie zapoznał się z poprzednimi umorzeniami postępowania.

Dużo poważniejsze oskarżenia czekały Stefana Niewiarowicza. Nie mógł się tego spodziewać, pracował spokojnie w cukrowni gostyńskiej, dokąd sprowadził go w sierpniu 1930 z cukrowni Zbiersk dyr. Psarski. Niespodziewania Stefan otrzymał polecenie udania się na Ziemię Zachodnie w celu uruchomienia cukrowni w Kluczewie w powiecie Stargard Szczeciński. Była ona zdewastowana przez działania wojenne, a po wyzwoleniu Rosjanie wywieźli część maszyn, jako łup wojenny.

Wielka bitwa pancerna w tym rejonie, na przedpolu Szczecina nosiła kryptonim "*Unternehmen Sonnenwende*" (*Operacja Przesilenie dnia z nocą*).

Celem operacji "Sonnenwende" było zatrzymanie wojsk marsz. Żukowa tak, aby atak na Berlin był opóźniony o kilka tygodni. Pierwotny plan operacji zakładał jednoczesne uderzenie z północy z rejonu Stargardu i z południa z rejonu Głogowa i Gubina, jednak ze względu na trudności logistyczne, sytuację na innych odcinkach frontu oraz upór Hitlera, który nie pozwolił na ewakuację wojsk z Kurlandii ostatecznie zdecydowano się przeprowadzić jedynie uderzenie z północy. Celami operacji były także: zadanie maksymalnych strat nieprzyjacielowi, odblokowanie zgrupowania niemieckiego w okolicach Choszczna i odblokowanie Kostrzyna.

Mocno rozciągnięte skrzydło 1 Frontu Białoruskiego dawało szansę wbicia klina z północy od strony Stargardu i od południowego wschodu. W ten sposób od zaopatrzenia odcięte zostałyby atakujące siły wojsk radzieckich. Plan

przewidywał natarcie z rejonu Stargardu w kierunku Kostrzyna i Gorzowa Wielkopolskiego oraz dalej na spotkanie ofensywy, która miała nastąpić od granicy słowackiej. Ofensywa rozpoczęła się 15 lutego 1945 roku z rejonu Suchania w kierunku południowym na Choszczno. Nacierającym wojskom udało się połączyć z oddziałami pod Choszcznem i utworzyć do nich wąski korytarz. Następnego dnia ruszyło główne uderzenie, z linii pomiędzy Stargardem a jeziorem Miedwie. Pomimo osiągnięcia pewnych sukcesów terenowych i zniszczenia wielu czołgów radzieckich, natarcie miało dość słabe tempo. 17 lutego generał Wenck uległ wypadkowi samochodowemu, co wyłączyło go z dowodzenia. Wieczorem tego samego dnia rozpoczęły się kontrataki oddziałów radzieckiej 3. Armii Uderzeniowej i natarcie niemieckie zostało praktycznie powstrzymane. Następnego dnia Niemcy oficjalnie wstrzymali dalsze działania zaczepne. Nad centrum ofensywy, nad Stargard wysłano całą masę samolotów rosyjskich. O dwudziestej drugiej w świetle rac rozpoczęło się niszczenie miasta. Operacja zakończyła się porażką niemiecką. Za cenę dość dużych strat własnych, udało się jedynie przesunąć linię frontu o 18-20 kilometrów. Stefan przebywał w Kluczewie w okresie od 11 maja 1949 do 16 marca 1950, kiedy to został aresztowany przez UB. Cukrownię w latach 1945-1948 przygotowano do wznowienia produkcji, ale pierwsza zorganizowana kampania cukrownicza ruszyła jesienią 1949 i kierował nią Stefan. Historia kluczewskiej cukrowni sięga 1883 roku, kiedy to grupa przedsiębiorców z rejonu Pyrzyc i Stargardu powołała spółkę akcyjną i podjęła decyzję o budowie cukrowni. O wyborze lokalizacji zdecydowało przede wszystkim położenie w pobliżu rozwiniętej sieci linii kolejowych. Wśród przedwojennych pracowników Cukrowni Kluczewo byli Polacy. Fabryka w Kluczewie produkowała **cukier** nieprzerwanie do 1945 roku. Po II wojnie światowej zakład odbudowano i uruchomiono ponownie 15 grudnia 1948 roku. Miałem okazję przebywać w Kluczewie pod koniec 1949 r., miałem wtedy 5 lat i sporo zapamiętałem. Aby odwiedzić Stefana w szpitalu w Stargardzie pojechaliliśmy z babcią pociągiem, który ciągnął 3 wagony towarowe. Nie było siedzeń, pasażerowie musieli stać, a szeroko otwarte drzwi zabezpieczyła jedynie żelazna rura. Miasto było kompletnie zniszczone, nie było widać żadnych oznak życia. Szliśmy ulicami, a po bokach ciągnęły się zwały gruzów. Nie było osadników, gdyż miasto nie nadawało się do zamieszkania. Na przedmieściach był szpital usytuowany w barakach, w który leczono żołnierzy radzieckich, a później cywilów. Kiedy dwa lata później odwiedziłem Wschowę, miasto było także poważnie zniszczone wskutek bombardowań, ale tętniło życiem, gdyż ponad połowa domów ocalała, a sporo zostało odbudowanych.



66. Z babcią Aleksandrą w Kluczewie - 1949 r.

W Kluczewie mieliśmy piękne mieszkanie w dużym budynku z pięcioma lokalami. Babcia, jak zwykle, trzymała tam kury i uprawiała niewielki ogródek. Kiedy w roku 1963 byłem w tych stronach zapragnąłem odwiedzić to mieszkanie, ale przywitała mnie rosyjska mowa i lokatorzy z ZSRR będący obsługą pobliskiej bazy lotniczej.

Aresztowanie Stefana było szokiem dla rodziny. Panowała mroczna noc stalinizmu, ludzie znikali bez śladu lub siedzieli w śledztwie miesiącami. Trudno obecnie ustalić, dlaczego urząd bezpieczeństwa aresztował przebywającego na Ziemiach Zachodnich Stefana. Przewieziono go do Gostynia, gdzie w łapach oprawców z UB była reszta kierownictwa cukrowni. Postawiono im zarzuty natury politycznej i gospodarczej. Dzięki znajomościom Tadeusza w UB Stefan nie był zbyt mocno bity przez śledczych. Ale dla wspomnianego tutaj dyrektora Zygmunta Psarskiego nie mieli litości. Przedwojenny oficer w stopniu pułkownika, walczył we wszystkich powstaniach w dobie odzyskiwania niepodległość, dwukrotnie odznaczony orderem Virtuti Militari. Solą w oku dla ubeków był oczywiście udział Psarskiego w wojnie bolszewickiej oraz udział w AK. Jakiś robotnik zeznał, że dyrektor zabronił wywieszać czerwone flagi z okazji święta 1 Maja. UB szukało dowodów na to, co stało się z cukrem w magazynach zaraz po wyzwoleniu. Stefan w tym czasie nie pracował w cukrowni, Psarski

przebywał w Warszawie. Brakowało wiarygodnych świadków, UB nie doprowadziło sprawy do sądu, obawiali się kompromitacji. Po 9. miesiącach Stefan i Psarski zostali zwolnieni, ale ten ostatni był tak zmaltretowany, że zmarł w kwietniu 1954 r.

Stefan też kilka miesięcy dochodził do zdrowia, a potem został skierowany do pracy w cukrowni we Wschowie.

Ten cukier pozostawiony przez Niemców w Gostyniu faktycznie w dziwny sposób się zdematerializował i Stefan maczał w tym palce. Ale prawdę znało wąskie grono osób, nikt nie sygnął w śledztwie i w ten sposób powstał kapitał początkowy na chude lata powojenne. Tylko, że Stefan nie zrozumiał, w jakiej rzeczywistości żyje, myślał że będzie, jak przed wojną i zainwestował pieniądze w rozbudowę oficyny do kamienicy swojej i brata w Gdyni. Kupił też FORDA, który sprzedali mu tanio Rosjanie z Komendy Wojennej Miasta. Największą korzyścią z posiadania dolarów amerykańskich było uratowanie mi życia w r. 1948, kiedy zachorowałem na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Błędna diagnoza niedouczonej lekarki spowodowała stan krytyczny, jedynym remedium mogły być antybiotyki. A tych w polskich szpitalnictwie nie było aż roku 1950.

Na czarnym rynku było wszystko, Stefan zakupił za dolary odpowiednią ilość penicyliny, która podana w ostatniej chwili, uratowała mi życie.



67. Z ojcem w ogrodzie dziadka Stefana - 1945

Wschowa była dawnym polskim miastem, które pod zaborem pruskim podupadło. Teraz wróciło do macierzy, a Stefan objął stanowisko dyrektora technicznego. Zamieszkał blisko cukrowni, ale jego żonie nie podobał się brak ogródka i po pół roku dziadkowie przenieśli się na ulicę Mickiewicza 5. Ich dom stał ostatni na tej ulicy, dalej były ogródki działkowe, stadion i basen. Odtąd spędzałem u nich każde wakacje, kuśił przede wszystkim ponemiecki basen o wymiarach olimpijskich.



68. Stefan i Krystyna w Gostyniu - 1 maj 1952 r.

Poza tym Wschowa była pięknym miastem, które kilka lat po wojnie skrywało wiele tajemnic. Na ulicy dominował język ukraiński lub polski, ale ze śpiewnym, wschodnim akcentem. Byli to głównie repatrianci, Niemcy uciekli, albo zostali wysiedleni.

Na powyższym zdjęciu widzimy Stefana, który przyjechał do Gostynia w maju 1952 r., aby załatwić do końca sprawy związane z przeprowadzką do Wschowy. Przyszli razem z Krystyną na wiec z okazji święta 1 Maja. Stalin jeszcze żył, a jego kult osiągnął swoje ponure apogeum.

Po pięciu latach Tadeusz zakończył swoją pracę na stanowisku burmistrza miasta z uwagi na wejście w życie nowej ustawy. Jego urząd działał na podstawie dekretu PKWN z 24 listopada 1944 o organizacji i zakresie działania samorządu terytorialnego. Ustawa z 20 marca 1950 roku o terenowych organach jednolitej władzy państwowej zniósła samorząd terytorialny, a cała władza przeszła w ręce rad narodowych. Zastosowano więc model radziecki, który niezbyt pasował do realiów polskich. W efekcie miastem zarządzało prezydium miejskiej rady narodowej z jej przewodniczącym. Rozmyła się kwestia odpowiedzialności władz miasta za ich decyzje, gdyż prezydium było organem kolegialnym. W dodatku wszystkie uchwały musiały być zgodne z linią partii rządzącej.

Tadeusz został zatrudniony w Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Gostyniu, jako inspektor kontroli. Nie porzucił jednak myśli o powrocie do zawodu nauczyciela. Jeszcze w marcu 1961 składa podanie o przyjęcie go do Szkoły Rolniczej w Grabonogu, jako nauczyciela przedmiotów zawodowych. Dziwne to trochę, związek Tadeusza z rolnictwem był dosyć nikły, znał się świetnie na pszczelarstwie, ale poza tym nie miał formalnych kwalifikacji. Biorąc to pod uwagę zamieścił w swoim wniosku informację kończy właśnie zaocznie technikum mechaniczne o specjalności mechanika i silniki spalinowe.

Narazie jednak Tadeusz rozpoczyna karierę w spółdzielczości spożywców, która ma swoje specyficzne wymagania. Przede wszystkim trzeba zostać członkiem spółdzielni i opłacić wkład członkowski. Kadra kierownicza jest obowiązana ukończyć jednoroczne Spółdzielcze Studium Korespondencyjne. Od 1 stycznia 1952 prowadzenie SSK decyzją Zarządu Centralnego Związku Spółdzielczego zostało przekazane do Centrali Rolniczej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska".

Na koniec szkolenia trzeba było zdać ustny i pisemny egzamin końcowy.

Pokonawszy ten próg edukacji Tadeusz został dyrektorem handlowym PSS w Gostyniu i jego głównym zadaniem stało się zdobywanie towaru, aby zapełnić coraz bardziej puste półki w sklepach. Czasy były bowiem coraz cięższe dla ludności, czego przyczyną była rozpętana przez stalinistę pochodzenia żydowskiego Hilarego Minca walka z prywatną własnością w handlu.

Po wyborach z lutego 1947 roku komuniści błyskawicznie przystąpili do przejęcia kontroli nad prywatnym handlem. Władza nie ukrywała intencji i określała proces deprywatyzacji iście militarnym sformułowaniem "bitwy o handel". Komuniści mieli naprawdę sporo do wygrania w tej "bitwie", bo jeszcze na początku 1947 roku sektor prywatny miał ponad 80 procent udziału w handlu. Tłumacząc działania problemami z zaopatrzeniem, czemu rzekomo miało skutecznie zapobiec poddanie handlu ścisłej kontroli państwa, 2 czerwca 1947 roku Sejm przyjął restrykcyjne ustawodawstwo uderzające w sektor prywatny.

Były to zaproponowane przez Hilarego Minca - paradoksalnie syna zamożnego kupca Oskara - ustawy w sprawie zwalczania drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym, o obywatelskich komisjach podatkowych i lustratorach społecznych i o zezwoleniach na prowadzenie przedsiębiorstw handlowych i budowlanych. Za szczytnymi słowami nazw aktów prawnych kryły się poważne przeszkody dla prywatnych kupców, którzy mogli prowadzić działalność wyłącznie po uzyskaniu koncesji. Poza tym na handlowców nałożono wysokie opłaty, a władze miały prawo regulować nie tylko ceny, ale też i wysokość zysku. Przedsiębiorców prześladowała i dręczyła Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, która mogła ukarać nawet za zbytne gromadzenie towarów. Ukarany handlowiec, który mógł stracić majątek i trafić na roboty przymusowe, nie miał prawnej drogi odwołania się od arbitralnej decyzji Komisji.

Za unormowaniami szła ostra kampania propagandowa, dzięki której na głównych wrogów Polaków wyrosli "spekulanci", "szkodnicy gospodarczy" czy "defraudanci". Tym samym - za sprawą komunistów - prywatni kupcy stali się w powojennej Polsce traktowani na równie z przestępcami.

Działania przyniosły oczekiwany skutek. Liczba prywatnych sklepów spadła z ponad 134 tysięcy w 1947 roku do około 78 tysięcy w 1949 roku. Efekty były jednak dramatyczne dla handlu, a Polacy zaczęli ustawiać się w długich kolejkach. Co gorsza, upaństwowione sklepy oferowały niewielką liczbę towarów i do tego kiepskiej jakości. Jednocześnie partyjniacy, ubecy i milicjanci otrzymali prawo dostępu do dobrze zaopatrzonych sklepów dla władzy. Co w nich sprzedawano? Zwykli obywatele nie mogli się dowiedzieć, bo witryny tych sklepów były szczelnie zasłaniane firanami. Przeważnie żółtymi, stąd ich nazwa.

Konieczna stała się reglamentacja towarów, na pierwszy ogień poszło mięso, na które kartki wprowadzono już w sierpniu 1951. Potem lista towarów na kartki rosła bardzo szybko. Znalazły się na niej nawet...cukierki. Mając swój miód wytwarzaliśmy w domu różnego rodzaju słodycze, więc do dziś pamiętam smak makagigi. Mieliśmy też sporo żywności z pomocy zagranicznej z programu UNRRA (*Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy*). Był tam olej, mąka kukurydziana, cukier, mleko skondensowane, owoce i soki w puszkach konserwy mięsne i z kaszanki. Spore wsparcie dla domowych budżetów, szczególnie wielodzietnych

Handel spółdzielczy niewiele różnił się od państwowego. Obowiązywały te same sztywne regulacje dotyczące marż i zysków, zakaz zakupu towarów bezpośrednio od producentów.

Mimo dobrej pracy Tadeusz zarabiał początkowo nienajlepiej, a w dodatku spłacał zaległe i bieżące alimenty. Do pracy poszła więc Krystyna, oczywiście też do biura PSS Gostyń. Domem zajmowała się Stanisława, która zamieszkała z nami w wydzielonym pokoju. Kuchnia była jej królestwem, często tam przesiadywałem słuchając opowieści o życiu pod zaborem pruskim i ucząc się pojedynczych słów z gwary poznańskiej. Dodatkowym źródłem zarobku Tadeusza była wywoływanie filmów i robienie odbitek dla amatorów fotografii i obsługa fotograficzne różnego rodzaju imprez, przeważnie w zakładach pracy, gdzie był zatrudniony. Posiadał własne aparaty fotograficzne, jak zakupiony przed wojną Rolleiflex oraz częściowo polonijne wyposażenie laboratorium.



69. Aparat Tadeusza z 1937 r.



Zaraz po wojnie korzystał z odczynników chemicznych, błon fotograficznych i negatywów z miejsca pracy u Niemca Edgara Dassela. Pozwolił on Tadeuszowi ogołocić swoją drogerię z tych towarów, gdyż sam uciekał z Gostynia i zabrał ze sobą tylko niezbędne rzeczy osobiste. Nie był zresztą Niemcem tylko Austriakiem i mieszkał w Baden bei Wien. Jeszcze w roku 1973 zawiadamił Tadeusza o śmierci swojej żony Marii Magdaleny (1920-1973), prowadzili przez ten okres ożywioną korespondencję.

Niedługo popracowała Krystyna w biurze, przyszła ciąża i niestety poronienie. W ten sposób nie doczekałem się młodszego brata. Za to w maju 1953 przyszła na świat siostrzyczka ochrzczona imionami Maria Anna. Radość była wielka, rodzina powiększyła się, przybyła mała istota, która niemal od razu ruszyła z nami na leśne wędrowki.



70. Mała Ania z mamą w lesie - 1954

Kiedy na dwa miesiące przed narodzeniem naszej małej siostrzyczki umarł krwawy tyran Stalin, w serca ludzi wstąpiła nadzieja na zmiany. Niestety na wiosnę po zimie stalinizmu trzeba było jeszcze poczekać ponad trzy lata. Nadal u steru rządów stali ci sami ludzie, braki w zaopatrzeniu tylko się pogłębiły. Ludzie stali przez całą noc pod tzw. końską jatką, aby móc rano kupić ochłap mięsa końskiego bez kartek. Też tam stałem, na noc zmieniała mnie Stanisława. Było to okresie największej biedy, kiedy Tadeusz został aresztowany i przewieziony do więzienia w Śremie.

Do postawienia zrzutów Tadeuszowi doszło na podstawie ustaw antyspekulacyjnych, które niemal całkowicie ograniczały wolny obrót towarami. W tym czasie wieś obciążały dostawy obowiązkowe polegające na skupie przez państwo podstawowych płodów rolnych (zbóż, ziemniaków, mleka i zwierząt rzeźnych), polegający na ustawowym przymusie dostarczania przez gospodarstwa rolne w wyznaczonych terminach, określonych ilości (ustalonych w przeliczeniu na 1 ha użytków rolnych, ale progresywnie w stosunku do wielkości gospodarstw) produktów. Ceny płacone przez państwo były znacznie niższe od rynkowych. Dostawy obowiązkowe stanowiły więc dodatkową formę opodatkowania rolnictwa na rzecz rozwoju gospodarki. Miały służyć także regulacji rynku żywnościowego (zapewnienie zaopatrzenia w żywność ludności miejskiej), były narzędziem sterowania przez państwo rozmiarami i kierunkami produkcji rolniczej, a także instrumentem polityki antyinflacyjnej. Z różnymi zmianami dostawy te obowiązywały do r. 1972.

Ale nie tylko produkcja czysto rolnicza była obciążona dostawami poniżej kosztów produkcji. W niektórych regionach kraju ludność wiejska wytwarzała produkty z wełny czy dzianiny i także one musiały być dostarczane do punktów skupu gminnych spółdzielni. Ceny były tak niskie, że chłopcy tylko część swoich wyrobów sprzedawali w tych punktach, a resztę próbowali zbyć po cenach rynkowych w innych punktach handlowych. Największym zagłębiem producentem wyrobów dzianych było woj. warszawskie i położony tam powiat ostrołęcki, czyli tereny Kurpiowszczyzny.

We wsi Kadzidło bracia Czesław i Stanisław Parzychowie skupowali od chałupników ich wyroby, poczym zbywali je w spółdzielniach spożywców czy w Cepelii. A więc była to: Spółdzielnia Krawców w Toruniu, PSS Gostyń, PSS w Wągrowcu i inn. Według aktu oskarżenia Parzychowie mieli sprzedać tym podmiotom m.in. 7150 m włośianki, 1550 szalików, 2000 samodziału. Na ławie oskarżonych zasiadło 10 osób, byli to prezesi spółdzielni, główni księgowi, kierownicy sklepów czy dyrektorzy handlowi PSS, jak Tadeusz. Najliczniej reprezentowana była PSS z Wągrowca skąd było 4. oskarżonych. Z Gostynia, obok Tadeusza, oskarżony został kierownik sklepu Józef Wechta.

Przez osiem miesięcy obaj przebywali w więzieniu śremskim. Krystyna co tydzień jeździła na widzenia z mężem dowożąc mu paczki z żywnością i odzieżą. Sama nie mogła pracować, gdyż musiała opiekować się trójką dzieci, z których najmłodsza Ania miała niespełna 2 lata. Był to trudny okres w życiu naszej rodziny, który przetrwaliśmy dzięki pomocy dziadków i oszczędzaniu na wszystkim.

W więzieniu Tadeusz szybko został przez więźniów wykorzystany, jako pisarz ich odwołań, skarg i wniosków, za co otrzymywał zapłatę w postaci papierosów. Szczególnie liczną grupę więźniów stanowili w tym czasie Świadkowie Jehowy. Byli ono karani za samą przynależność do tej sekty. Po roku 1956 karano ich jedynie za odmowę służby wojskowej, zwykle były to trzy lata więzienia. W czasie procesu Tadeusz bronił się zręcznie argumentując, że kupował czapki, szaliki, rękawiczki oraz inne wyroby z dzianin wyłącznie na potrzeby zaopatrzenia ludności do sklepów PSS. Wskazywał na brak tych wyrobów w państwowych hurtowniach, co w obliczu nadchodzącej zimy zmusiło go do skorzystania z innych źródeł zaopatrzenia. Prokuratur nie potrafił udowodnić, że Tadeusz odsprzedawał z zyskiem nadwyżki wyrobów zakupionych od braci Parzychów lub brał on od nich łapówki. W rezultacie handlowcy z Wągrowca otrzymali wyroki po dwa lata bezwzględnego więzienia, a Tadeusz i Wechta półtora roku, ale z zawieszeniem na trzy lata. Najwyższą karę pięciu lat więzienia otrzymał "główny spekulant" Czesław Parzych.

Ponure mury pruskiego więzienia wybudowanego w r. 1872 mógł opuścić Tadeusz na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku przez Sąd Wojew. w Poznaniu. Dla grubego kalibru "spekulantów" była to pierwsza instancja. Wyrok w zawieszeniu oznaczał, że Tadeusz i jego kolega spędzili 8 miesięcy w areszcie śledczym niepotrzebnie, ale tym czasie nikt się tym nie zajmował. Ważne był fakt powrotu do domu i normalnego życia.

Nie była to jednak sprawa prosta. Po aresztowaniu Tadeusz został wyrzucony z PZPR, a w aktach personalnych musiał podawać fakt, że był skazany za przestępstwo o charakterze spekulacyjnym. Do podania trzeba było dostarczyć 12 załączników oraz szczegółową ankietę personalną złożoną z 21 rubryk. Była tam rubryka 18, gdzie pytano o karalność sądową nie tylko wnioskodawcy, ale także członków rodziny.

W efekcie Tadeusz stał się *persona non grata* nie tylko w Gostyniu, ale także w całym powiecie. Partia wydała drugi wyrok i nikt nie ośmielił się zatrudnić człowieka z wilczym biletem egzekutywy KP PZPR w Gostyniu. A przecież wyrok sądu praktycznie uniewinnił Tadeusza, który na rzekomej spekulacji w żaden sposób się nie wzbogacił, nie wystawiał "lewych" faktur, jak inni oskarżeni.

Pracę na stanowisku księgowego znalazł od 1 września 1955 w PSS we Wschowie na Ziemiach Odzyskanych, gdzie mieszkał już Stefan, dyrektor techniczny miejscowej cukrowni. Aby dojechać do pracy trzeba było wstać o świcie i ruszyć pierwszym pociągiem z Gostynia do Leszna. Tam pół godziny oczekiwania na następny pociąg relacji Leszno-Głogów wykorzystany zwykle na wypicie gorącej herbaty i dalej w drogę. Wracał do domu Tadeusz dopiero wieczorem, choć czasami nocował u teściów, którzy mieli obszerne mieszkanie. Ta męczarnia trwała pół roku, od 2 marca 1956 Tadeusz znalazł zatrudnienie w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni "Samopomoc Chłopska" w Lesznie także, jako księgowy. Dojazdy do pracy stały się mniej uciążliwe, znalazł tam grono życzliwych ludzi, których często fotografował zarówno w pracy, jak i na wycieczkach zakładowych.

W końcu czerwca 1956 Tadeusz pojechał pociągiem w delegację do Poznania do Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni. Pech chciał, że akurat rozpoczął się strajk robotników, a potem zamieszki uliczne i strzelanina. Zaczęto plądrować budynki władz, manifestanci wkroczyli do gmachu MRN i KW PZPR. Pozrywano czerwone sztandary i wywieszono hasła protestacyjne. W tłumie rozeszła się nieprawdziwa plotka o aresztowaniu robotniczej delegacji. Część protestujących ruszyła pod więzienie przy ulicy Młyńskiej, żeby uwolnić rzekomo aresztowanych robotników. Po wtargnięciu do więzienia zdobyto około 80 jednostek broni i amunicji. W tym czasie inna grupa robotników ruszyła na ulicę Jan Kochanowskiego, gdzie mieścił się gmach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Manifestanci zostali oblani wodą z hydrantów, na co odpowiedzieli kamieniami. Około 10.40 z okien Urzędu Bezpieczeństwa padły pierwsze strzały. Rozpoczęła się wymiana ognia, a wkrótce walki objęły całe miasto. Robotnicy używali butelek z benzyną oraz broni zdobytej w więzieniu i na posterunkach MO, w sumie około 200 sztuk broni. Do tłumienia demonstracji postanowiono użyć wojska. Władze wprowadziły blokadę telekomunikacyjną miasta i godzinę policyjną między 21.00 a 4 rano.

Trzeba było szybko wydostać się z ogarniętego buntem miasta, gdzie z dachów strzelali snajperzy, a na ulicach pojawiły się pierwsze czołgi. Dworzec autobusowy został zablokowany, pozostała kolej. Tam też była blokada, ale osoby wyjeżdżające po wylegitymowaniu były wypuszczane. W końcu Tadeusz dotarł do Gostynia i przy kolacji opowiadał nam o szczegółach tych dramatycznych wydarzeń. Miałem wówczas 12 lat i czułem, że dzieje się coś ważnego, że nadchodzą zmiany i pragnąłem brać w tym udział



71. Czołgi na ulicach Poznania - czerwiec 1956

Plany wyruszenia "z odsieczą" do Poznania były szalenie naiwne, ale zaraziłem nimi kilku kolegów z podwórka. Z penetracji okolicznych lasów mieliśmy sporo starannie oczyszczonej amunicji różnego kalibru i bagnety. Na szczęście zbrojny opór robotników poznańskich został szybko stłumiony przez blisko 400 czołgów i pojazdów opancerzonych oraz 10 tys. żołnierzy. Radio nie informowało o zamieszkach, później przemówił premier Cyrankiewicz strasząc klasę robotniczą "odrąbywaniem rąk". W następnych tygodniach słuchaliśmy transmisji radiowych z procesów, które wytoczono uczestnikom buntu. Przełom nastąpił w październiku, kiedy to jedyny raz w historii rzeczywiście rozpoczęła się w Polsce radziecka interwencja zbrojna. Jednostki pancerne Północnej Grupy Armii Radzieckiej z Dolnego Śląska i Pomorza Zachodniego ostatecznie zostały zatrzymane niespełna 100 km od Warszawy. Pamiętam niekończące się kolumny czołgów, które jechały przez centrum Gostynia w kierunku wschodnim. Stałem w tłumie gapiów na głównym skrzyżowaniu, kiedy stalowe gąsienice czołgów toczyły się z chrzęstem o centymetry od naszych nóg. Nikt nie zdawał sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Czołgiści byli przemęczeni, a rozkazy dowództwa poganiały ich w szybkim rajdzie na Warszawę. Tam marszałkowi ZSSR i Polski Konstantemu Rokossowskiemu wydawało się, że musi stłumić bunt polskiego kierownictwa partii komunistycznej z Edwardem Ochabem na czele.

Poszedłem dalej do rynku, część ludzi rozeszła się do domów, była pora obiadowa. Czołgi nadal jechały i nagle usłyszałem krzyki, wołanie o pomoc. Tuż przy wyjeździe z rynku jeden z czołgów wjechał przypadkowo na chodnik i przygniół wracającego z pracy sekretarza sądu St. Szymańskiego. Potem cofnął się i odjechał, a na chodniku w wielkiej kałuży krwi leżał umierający człowiek. Maszyna obcięła mu jedną nogę i przygniotła do budynku tak, że zmarł niemal natychmiast. Potem przyjechał samochód ciężarowy, na który włożono zwłoki, znany mi sąsiad zbierał gołymi rękami z ulicy kawałki ciała i kości ofiary. Krew zasypana została piaskiem, a ja w miejscu wypadku znalazłem i długo przechowywałem zakrwawione rogi trzech banknotów stużłotowych obcięte równo, jak nożem.

W 50. rocznicę tej tragedii odstonięto w tym miejscu tablicę pamiątkową.



#### 72. Tablica pamiątkowa St. Szymańskiego

Tablicę uroczycie odstoniły 19 października 2006 roku córki zabitego – Dobromira Grzymisławska i Barbara Knapkiewicz. Jak pamiętam mówiło się także o naruszeniu konstrukcji budynku, w który wjechał feralny tank przygniatając sekretarza sądu.

Rajd pancernych dywizji sowieckich przyniósł jeszcze kilka innych ofiar w ludziach, ale także poważne szkody materialne. Drewniany most nad Rowem Polskim miał kompletnie zniszczoną nawierzchnię, z desek pozostała gruba warstwa trocin. Odbudowano go już, jako most betonowy. Także drogi w wielu miejscowościach na trasie przejazdu czołgów były uszkodzone. Te straty pokrywał budżet państwa, a odszkodowania za śmierć ludzi wypłacało Min. Obrony Narodowej, chociaż status prawny pobytu wojsk sowieckich w Polsce został uregulowany dopiero w umowie z 17 grudnia 1956 r. Zgodnie z treścią tej umowy zawarto później w latach 1956-1979 dziewięć obustronnych aktów prawnych regulujących aspekty prawne czasowego stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Władze polskie wydały 16 wewnętrznych aktów wykonawczych związanych z pobytom wojsk. 20 lipca 1957 został powołany pierwszy pełnomocnik rządu PRL ds. pobytu wojsk radzieckich w Polsce. Był nim gen. bryg. Leszek Krzemień (właśc. Maks Wolf, 1905-1997).

W 1956 została powołana i rozpoczęła pracę polsko-radziecka Komisja Mieszana. Zajęła się ona roszczeniami obywateli, którzy ponieśli uszczerbek w mieniu i na zdrowiu na skutek pobytu wojsk radzieckich w Polsce (do 1993 rozpatrzono ok. 7 tys. spraw, w tym 550 z tytułu śmierci 615. obywateli polskich – 249 żołnierze zastrzelili z broni palnej, w tym 69 na tle rabunkowym, 250 zginęło w spowodowanych przez żołnierzy wypadkach komunikacyjnych, 50 zginęło podczas działań wojennych).

Czołgi zatrzymały się 100 km od Warszawy, gdzie z Moskwy przyleciała delegacja radziecka z Nikitą Chruszczowem na czele. Szczegóły tej wizyty zaledwie kilka lat po niej usłyszałem od ówczesnego I sekretarza PZPR Edwarda Ochaba w trakcie jego spotkania z młodzieżą na obozie latem 1963 r. na Mazurach (obóz ZMW nad jeziorem Niegocin).

Tadeusz pracował w PZGS Leszno do końca maja 1959 i w końcu pojawiła się szansa, aby zacząć pracę na miejscu w Gostyniu, bez uciążliwych dojazdów. Nastąpiło zatarcie skazania, ojciec miał już czystą kartę karalności. Budowała się od podstaw nowa huta szkła, która potrzebowała wielu pracowników Tadeusz pracował tam dwa lata na stanowisku kierownika inwestycji dokumentując jednocześnie fotograficznie postępy tej dużej budowy. Pracowała tam także sezonowo córka Tadeusza Ewa na czas wakacji szkolnych. Potem był dość krótki epizod pracy Tadeusza w Placówce Terenowej PKS w Gostyniu, która podlegała pod Oddział Państwowej Komunikacji Samochodowej w Lesznie. Równie krótko pracował on w Państwowej Spedycji Krajowej w Gostyniu.



73. Brygada sezonowa huty - w środku Ewa Penkalska - 1963

W latach 1961-63 Tadeusz był zatrudniony w Poznańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego Oddział w Gostyniu. Firma ta budowała hutę szkła, a więc po zakończeniu inwestycji Tadeusz w naturalny sposób znalazł tam zatrudnienie.

W 1962 zdałem maturę i wyjechałem na studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej, Wydział Transportu Morskiego w Spocie.

Tadeusz rozpoczął ostatni etap swojego życia zawodowego zatrudniając się w Miejskim Handlu Detalicznym w Gostyniu, gdzie pracował do przejścia na emeryturę.

Pewne etapy naszego życia kończyły się, a nowe otwierały. Najsmutniejsza była śmierć naszych bliskich, którzy odchodzili już na zawsze. Legenda rodzinna mówiła o tragicznej śmierci brata Stefana kapitana Wacława Niewiarowicza, który zginął na morzu w samą Wigilię 1945 roku. Fakty były nieco inne, kapitan zmarł 8 grudnia w następstwie wypadku, który wydarzył się dzień wcześniej. Oto jego opis.



*" Do tragedii doszło 7 grudnia, o godz. 22.04. Tego dnia - cytując archiwalne dokumenty Izby Morskiej w Gdyni (syg. IM 6/45) - panowały trudne warunki pogodowe, a konieczność wprowadzenia motorowca „Pelikan” do portu, na którego akwenach zalegały wciąż miny, nieoznakowane wraki i skryte pod lustrem wody przeszkody, dyktowała obecność na jego burcie dużej grupy ludzi. Schorowanych lub wycieńczonych pasażerów, których repatriacja na ląd stanowiła nie tylko nagłą potrzebę, ale i nakaz chwili. Po wyekspediowaniu na redę parowca „Nordland”, dzierzawiony od Szwedów holownik „Hera”, w którego sterówce przebywał kapitan Wacław Niewiarowicz, obrał zatem kurs w kierunku ponad 117-metrowej, oczekującej od godzin porannych jednostki, zamierzając przekazać tam pilota. Nie było to wprawdzie zgodne z ostrożnymi sugestiami kapitana portu Jana Godeckiego i oficera portu Anatola Kniaziewa, którzy uważali, że ze względu na duże rozfalowanie i oblodzenie holownika, lepiej byłoby, aby Niewiarowicz pilotował „szweda” z jego burty, a na pokład „Pelikana” wszedł dopiero w awanporcie, to polecenia pilota nakazujące wybranie kotwicy i ustawienie frachtowca w pozycji, która osłaniałaby „Herę” przed uderzeniami wiatru i grzywaczy, ostatecznie przesądziły sprawę. Komendy Niewiarowicza, jak się okazało, niewiele jednak dały. Kiedy bowiem holownik znalazł się w pobliżu motorowca, nie było wcale spokojniej, fale nie wyglądały na mniej agresywne i mniejsze, łupinowaty stateczek chylił się i obracał we wszystkie możliwe strony. Mając przed sobą ścianę poszycia burtowego i przygotowany sztormtrap, pilot stanął więc na relingu, wyczekując odpowiedniej chwili, która pozwoliłaby na wykonanie skoku. Wtedy, niestety, doszło do nieszczęścia. Mocarne uderzenie fali sprawiło, że holownik doznał gwałtownego przechyłu, tracący równowagę Niewiarowicz chwycił się, chcąc uniknąć upadku, będącego już pod ręką sztormtrapu, ale kolejny zwał wody rzucił holownikiem w górę, po czym cisnął nim, przygniatając mężczyznę do burty. Wyciągnięty przez marynarzy „Hery” na pokład pozostawał nieprzytomny, a doznane obrażenia miały okazać się śmiertelne. " /Dz. Bałtycki z 17 lipca 2017, R. Leszczyński).*

Po wojnie bywałem z rodzicami w mieszkaniu kapitana w Gdyni, gdzie mieszkała jego żona Irena z synem Wiktorem, jeździliśmy tam latem nad morze. Było tam wiele pamiątek po nim, choć te najcenniejsze przepadły w 1939 roku, kiedy całą rodzinę Niemcy wysiedlili pod Częstochowę. Gestapowca, który tam

zamieszkał spotkała zasłużona kara. Statek, którym płynął do Rzeszy został storpedowany i zatonął na wysokości Łeby pociągając na dno ponad 7 tys. ofiar.



74. Wiosna 1945 - kpt. Niewiarowicz w Gostyniu. Ja w wieku 10 m-cy

Babcia Aleksandra zmarła nagle w lipcu 1959 r., bardzo to przeżyłem, a nawet nie mogłem jej pożegnać, gdyż przebywałem na obozie harcerskim nad morzem. Nigdy nie chorowała, nie chodziła do lekarzy, nie brała lekarstw. Stefan został sam we Wschowie, nie chciał przeprowadzić do nas do Gostynia. Zmarł w styczniu 1967 r., tym razem zajmowałem się pogrzebem i likwidacją jego mieszkania. Zadbalem o to, aby wszystkie zdjęcia oraz dokumenty zabrać i zabezpieczyć. Nie myślałem wówczas o badaniach genealogicznych rodziny, ale teczki z tymi papierami bardzo mi się później przydały.

## 5/ Podsumowanie

W pracy tej podsumowałem moje badania genealogiczne, ale nie zamykam ich jeszcze. Nadal będę poszukiwał metryk i świadectw nielicznych już żyjących krewnych. List Anieli z października 1941, który w niesamowity sposób dotarł do mnie dopiero teraz, stawia dodatkowe pytania i zagadki. Nazwiska, które się tam pojawiają wymagają zbadania. Józef Kurkiewicz, Wysoczanka (córka Wysockiego), Pięcińska, Krawczykówny i inne.

Ustaliłem, że Fila Pięcińska nosiła wcześniej nazwisko Liśkiewicz, a jej ojciec wyemigrował do USA. Ona sama była tak, jak Aniela, nauczycielką.

Nauczycielem był też Józef Kurkiewicz, prowadził także chór szkolny.

Poza tym trzeba się zastanowić, dlaczego Tadeusz nie wrócił po kampanii wrześniowej do Ćmielowa? Kiedy wyszedł z niewoli w zasadzie nie miał do kogo wracać. Szkoła w Sikorzynie, w której pracował została zamknięta. Nie miał rodziny, ani nikogo bliskiego w Gostyniu. Z pewnością słyszał, jakie represje stosował okupant wobec nauczycieli. Na rynku w Gostyniu Niemcy rozstrzelali kilku z nich, w tym dyrektora gimnazjum Leona Kapcię (1889-1939). Logicznym wyjściem wydawał się powrót do Ćmielowa, gdzie żyła jego najbliższa rodzina. Przeżył z nią przecież I wojnę światową wiedział, że łatwiej jest przeczekać ciężkie czasy razem szczególnie, jeśli ma się kawałek ziemi.

Pozostał jednak w Sikorzynie, gdzie mieszkali też miejscowi Niemcy, z których każdy mógł go zadenuncjować do władz z zupełnie błahego powodu.

Tak zrobiło wielu krewnych i powinowatych noszących nazwisko Pękalski.

Najwybitniejszym z nich był niewątpliwie wspomniany już Jan Pękalski (1915-2011), którego wspomnień mogłem wysłuchać osobiście w 2006 r.

Jan Pękalski urodził się w Ćmielowie 4 września 1915 roku jako piąte dziecko w rodzinie Józefa Pękalskiego i Julianny ze Zbikiewiczów. Ojciec był kaflarzem, jego zakład w Ćmielowie był najdłużej pracującą kaflarnią rzemieślniczą, czynną aż do 1976 roku. Jan często wspominał, że dzieciństwo miał biedne, dopiero w miarę dorastania starszych braci, którzy zostali czeladnikami w rodzinnej fabryczce, sytuacja materialna się poprawiła. W kaflarni pomagali wszyscy synowie, choć Jan, zdolny uczeń szkoły powszechnej w Ćmielowie, stawiał na pierwszym miejscu obowiązki szkolne. Na dalszą naukę rodzice wystali go do Gimnazjum Męskiego im. J. Chreptowicza w Ostrowcu, gdzie uzyskał świadectwo maturalne w 1937 roku. Również brat Piotr ukończył szkołę średnią – Seminarium Nauczycielskie i został nauczycielem na Wołyniu.

Jan Pękalski, bezpośrednio po maturze, zaliczył obowiązkowe, roczne szkolenie wojskowe na Bukówce przy 4.p.p. Legionów. Planował podjęcie studiów na Akademii Górniczo – Hutniczej w Krakowie i choć złożył tam dokumenty, wycofał się z tej decyzji. 4 sierpnia 1939 roku został powołany na ćwiczenia

rezerwy do 2. p.p. w Sandomierzu. Po kampanii wrześniowej wrócił do Ćmielowa i przystąpił do konspiracji. Zapisał się w historii Opatowskiego Obwodu Armii Krajowej, jako dowódca kompanii Ćmielów". Jego brat Piotr dowodził kompanią "Zawichost". Brał udział w wielu akcjach bojowych, zabezpieczał ze swoim oddziałem zrzuć broni. Jak wspomina jeden z partyzantów, który udał się po broń do leśniczówki Wrzawy.

*"Broń wydawał dowódca kompanii Ćmielów" por. Jan Pękalski, ps. "Molenda", "Borowy". Wśród otrzymanej broni były niemieckie karabiny maszynowe, pistolety maszynowe, rewolwery Smith&Wesson, granaty ręczne i materiały minerskie."*

Po wojnie Jan zapisał się na studia na wydziale leśnym SGGW w Warszawie i po wstępnej dwumiesięcznej praktyce w Nadleśnictwie Suchedniów, został studentem pierwszego roku tej uczelni. Wojenna przeszłość Jan Pękalskiego spowodowała wzmożone zainteresowanie Urzędu Bezpieczeństwa przyszłym leśnikiem. W kwietniu 1949 roku został aresztowany w akademiku w Warszawie, skąd przewieziono go do aresztu UB w Kielcach, gdzie przesiedział niemal rok w śledztwie. Oskarżony o zbrodniczą znowę z dowództwem NSZ w celu likwidacji lewicowych działaczy podziemia, w sfirowanym procesie na początku 1950 roku, skazany został na 3 lata więzienia. Po apelacji Sąd Najwyższy uchylił zaskarżony wyrok i uniewinnił J. Pękalskiego, który z więzienia wyszedł na wolność 10 dni przed przed upływem orzeczonych 3 lat. Już na wolności zaliczył zaległe ćwiczenia i egzaminy na uczelni, uzyskując tytuł inżyniera leśnika. Zarząd Lasów Państwowych wysłał go na praktykę przed dyplomową do Nadleśnictwa Szczytno, ale nie dane mu było jednak pracować w swoim zawodzie w służbie państwowej, gdyż jego życiorys nie odpowiadał komunistycznej, ówczesnej rzeczywistości. Wrócił więc do rodzinnego przedsiębiorstwa w Ćmielowie, gdzie pracował wraz z braćmi do 1976 roku, kiedy to przeszli na emeryturę.

Gdyby Tadeusz trafił do Ćmielowa bez wątpienia zostałby partyzantem w tej samej kompanii swego krewniaka. Był przecież dobrze wyszkolonym saperem o unikalnej specjalności minerskiej przydatnej np. przy wysadzaniu pociągów. Tak się jednak nie stało. Być może nie chciał być ciężarem dla swoich starych rodziców? Wiedział też, że w niewielkim domku rodzinnym w Ćmielowie mieszkała jego siostra Aniela z 9. letnim synem, a także samotna Honorata. Anielę i jej męża Kazimierza rozdzieliła wojna.

Do tego trzeba doliczyć samotną ciotkę ojca Zofię Teresę. Spokrewniona rodzina Witolda Milewskiego (używał imienia Edward) mieszkała w pobliżu. To właśnie ten Edek, który bardzo pomógł w organizacji pogrzebu Franciszka.

W tym trudnym czasie nieźle żyło się handlarzom, którzy dostarczali nielegalnie żywność do miast, ale było to zajęcie wysoce ryzykowne i ostro przez okupanta karane. Rodzina Tadeusza w czasie okupacji wegetowała, ratowało ich tylko te kilka mórg ziemi A i tak jego rodzice zmarli w tych trudnych czasach nie doczekawszy się wyzwolenia. Do Gostynia dotarły telegramy o śmierci, ale nie wiadomo czy Tadeusz pojechał do Ćmielowa w 1941 i 1943 roku. Nie było to łatwe, wiązało się z przekroczeniem granicy pomiędzy Krajem Warty, czyli Rzeszą, a Generalną Gubernią. Same formalności zajmowały kilka dni. Poza tym nasz ojciec nigdy nie wspominał o swoim udziale w tych okupacyjnych pogrzebach.

Grób Franciszka i jego zmarłej dwa lata później żony najprawdopodobniej nie istnieje. Swego czasu stał na nim kamienny krzyż, ale bez nazwisk. Został on zlikwidowany, albo przeniesiony na nowy cmentarz. Z nieznanых przyczyn Franciszek nie chciał być pochowany w grobowcu ojca Karola, a przyjął przedwojenną jeszcze ofertę rodziny Wolańskich, aby spocząć w ich kwaterze.

Moja dalsza droga życia zostanie opisana odrębnie, nie mieści się w ramach tego opracowania. Skorzystam jedynie ze wspomnień mego dobrego kolegi ze studiów Krzysztofa, z którym dzieliłem wspólne doświadczenia z pracy w porcie czy w ratownictwie morskim. Tak opisuje on nasze zajęcia zarobkowe.

*Zarabiałem sporo, m.in. jako doker w Gdańsku i Gdyni – zdarzało się, że wracałem w zimie o świcie z nocnej zmiany bogatszy o dwieście, trzysta złotych. Prawdziwa fortuna. Kilka dobrych dniówek wystarczało na całkiem dostatnie życie do końca miesiąca, jakiś nowy sweter, czy spodnie, no i książki – oczywiście pod warunkiem grzecznego stosowania się do mieszczańskich kanonów, co często okazywało się niemożliwe albo niewskazane. Wciągnąłem do brygady kilku kolegów. Przeladowywaliśmy cukier trzcinowy z bratniej Kuby, ogromne kęsy kauczuku (kiedyś taka dwutonowa kostka wymknęła się z dźwigowej sieci i zaczęła skakać po hangarze w różnych kierunkach) i sodę kaustyczną – nie wiem skąd. Zdarzały się też skóry z Argentyny, nawozy sztuczne i jakieś chemikalia. Im bardziej cuchnące i szkodliwe dla zdrowia, tym lepiej, bo stawki były wyższe. O bezpieczeństwie i higienie pracy mówiono i pisano wówczas sporo, ale w praktyce wyglądało to tak jak inne fragmenty ówczesnej rzeczywistości – marnie. Pracowaliśmy u hodowców pieczarek, remontowaliśmy mieszkania i domy oraz robiliśmy wiele innych rzeczy. Żeby nie było monotannie, nie stroniliśmy od okazjonalnych marynarskich zakupów dżinsów, koszul "non iron" i płaszczy ortalionowych, które błyskawicznie znajdowały innych nabywców, już po wyższych cenach. Dochody pozwalały na działalność w studenckim klubie samochodowym (stare jeszcze wojenne willysy i gaziki z demobilu) oraz organizowanie wakacji za granicą, wypełnionych przeważnie dość intratną pracą. Miałem dużo szczęścia, bo stosunkowo wcześniej odkryłem*

*dobrą zasadę, iż nigdy nie należy pracować wbrew sobie, a wszelki sukces, w każdej dziedzinie, jest pochodną pracy, która powinna być wykonywana z własnego wyboru, dawać satysfakcję w wymiarze psychologicznym i materialnym, rozwijać umiejętności i opierać się na odpowiedniej motywacji. Wprowadzałem tę zasadę praktycznie w życie, pracując na studiach podczas wakacji jako ratownik, instruktor pływania, kierowca, robotnik przeładunkowy, przewodnik wycieczek.*

Po pracy przy przeładunku skór człowiek tak cuchnął, że przez tydzień nie mógł umówić się z dziewczyną, nie pomagało szorowanie pod prysznicem. Dla hodowców pieczarek wozilo się nawóz koński z Nowego Portu, też mocno śmierdzący interes. Stawka była przyzwoita - 12 zł/godz, ale praca ciężka. Jak pamiętam po 12 godzinach ja i moi koledzy nie byliśmy już zdolni do grzebania się w końskich g..nach. Wypłata do ręki - 144 zł uczciwie zapracowane. Mycie wielkich okien na stacji Gdynia Główna Osobowa trwało cały tydzień, ale przyniosło mi i koledze Zdzisiowi niezły zarobek, akurat na rozpoczynające się wakacje letnie 1963.

A tak opisuje Krzysztof naszą pracę w charakterze ratownika wodnego w Krynicy Morskiej w r. 1964.

*Będąc jeszcze na studiach w Sopocie, zmęczony nauką i ciężką harówką w dokerskiej brygadzie portowej, postanowił popracować w lecie jako ratownik. Ukończył więc kursy dla ratowników wodnych I i II klasy, dzięki czemu mógł spędzać kolejne wakacje, pracując znacznie lżej i przyjemniej niż w porcie. Pierwszą robotę dostał w Krynicy Morskiej, gdzie spędził prawie 5 miesięcy na pięknej ponad kilometrowej plaży. Odpowiadał wraz z drugim kolegą za odcinek 100 -u metrowy, mieszkał wraz z innymi chłopakami w drewnianym ogromnym baraku znajdującym się na wysokiej skarpie, czy może raczej klifie, z pięknym widokiem na morze. Było ich 24 -ech plus jeden szef, starszy ratownik i kierownik plaży. Niesamowita barwna ferajna, chłopaki, którzy pozytywnie, ale i negatywnie, wyrastali ponad przeciętność zwykłych zjadaczy chleba. Przeważnie studenci Akademii Wychowania Fizycznego, nauczyciele lub faceci z akademickich klubów sportowych, z Warszawy, Łodzi, Wrocławia i Krakowa, chociaż zaplątało się także dwóch rzeźmieszków – złodziei z Sopotu (Chudy i Zgred), jeden szuler karciany ze Szczecina (Walet) i jeden dezertor z Ludowego Wojska Polskiego (Szwejk), który marzył, żeby czmychnąć do Szwecji. Malowniczą postacią był Adolf Starowiejski (Tarzan), niedoszły absolwent Wrocławskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, dwumetrowy atleta, którego jedynym dobytkiem była para dżinsów, wyciągnięty błękitny sweter i studencki indeks (zamiast dyplomu, bo zrezygnował ze studiów) oraz ...stary, kompletnie zaczytany egzemplarz biblii. Aha, był jeszcze Zygmunt Latos, ksywa Sokole Oko, ponieważ jedno oko miał szklane a drugie zezowate. Te estetyczne mankamenty nie przeszkadzały mu w szpanowaniu, podrywaniu dziewczyn i bystrym wypatrywaniu okazji do jedzenia i picia na koszt zamożniejszych wczasowiczek.*

*Stolowali się przeważnie gratisowo w krynickich domach wczasowych w zamian za lekcje pływania dla urlopowiczów lub za teoretycznie troskliwszą nad nimi opiekę, jednak nie wszystkimi i nie zawsze udawała się taka sztuka, więc nierzadko chodzili głodni. Ci silniejsi, którym się lepiej wiodło aprowizacyjnie, urządzali w wolnych chwilach zawody pływackie*

*(łącznie dwa kilometry wzdłuż plaży, tam i z powrotem w wodzie, której temperatura na początku sezonu nie przekraczała 17-u st. C) oraz wioślarskie, na tym samym dystansie. Krzysztofa nazywali Hrabią, bo miał nazwisko kończące się na -cki, podobnie jak Potocki i rzekomo wyróżniał się dobrymi manierami. Ponadto spółgłoskę „r” wymawiał niewyraźnie, z francuska, co niekiedy narażało go na kpiny, ale rzadko, bo z dawnych, jeszcze podwarszawskich czasów, wiedział gdzie i jak przywalić piąchą różnym kpiarzom. Bójki zdarzały mu się raczej rzadko. Starał się oszczędzać energię, która przydawała się na podrywanie dziewczyn, gimnastykę okresowo łączoną z kulturystyką i długodystansowe pływanie. Poza tym był człowiekiem kompromisu, uważał, że nie warto bić się o byle kogo, byle co, i z byle kim, może dlatego udało mu się przeżyć serię kolejnych burzliwych i spokojniejszych wakacji, w kraju i poza nim, tylko z lekko przestawionym nosem, no i z kilkoma bliźniami, niestety pochodzącymi od kastetu.*

*Miał jeszcze jedną cechę dość dziwną dla innych młodych ludzi, na plaży czytał obcojęzyczne książki (zainteresowanie to podzielał jego serdeczny kolega Zbigniew Penkalski, o którym piszemy kilkakrotnie w innych miejscach), albo uczył się słówek, czy zwrotów w tym, czy innym języku, ale oczywiście tylko wtedy, gdy pogoda była kiepska, padało albo wiał lodowaty wiatr i nie musiał nadmiernie pilnować swojego odcinka. Nie było żartów. Lepiej nie ryzykować, bo czyjeś utonięcie na powierzonym terenie mogło się skończyć dla ratownika dwuletnim więzieniem. Szczególnie trudne bywały krańcowe kawałki plaży, na pograniczu strzeżonej i dzikiej, bo w czasie, gdy na pilnowanej powiewała czarna flaga, wczasowicze kąpali się wbrew zakazowi poza jej granicami, lecz jak najbliżej ratowników, żeby w razie potrzeby skorzystać z pomocy. Naprawdę dramatyczne akcje zdarzały się na szczęście dość rzadko. Podczas pierwszego sezonu Krzysztofa w Krynicy Morskiej musiał interweniować dwukrotnie.*

*Pewnego razu, przy wspaniałej pogodzie, ogromnej fali i oślepiającym słońcu, poderwał go na takim właśnie wysuniętym odcinku krzyk ludzi. Wskazywali kogoś w morzu, ok. 150 metrów od brzegu i jakieś 200 m od krańca plaży strzeżonej. Najwyraźniej ktoś potrzebował pomocy. Popędzili brzegiem, we dwóch, z kolegą. Pokonanie tej odległości w piachu, wśród wodorostów i plączących się między nogami matek z dziećmi zajęło im może 70 sekund, może chwilę dłużej. Rzucili się w kierunku unoszącej się na fali odległej postaci. Po odbiciu się od dna i wyrwaniu poza strefę przyboju dopłynęli mozolnie do ofiary, którą okazała się nieprzytomna kobieta. Holowanie topielca nawet na stosunkowo krótką odległość nie jest trudne, jednak tylko wtedy, gdy akwen jest dosyć spokojny, a sam delikwent nie wyrwa się i nie panikuje. Natomiast przy wielkiej fali to gigantyczna i ryzykowna robota. Nawet jak się ma 20 lat, nie pali i pije umiarkowanie albo wcale. W ciągu kilkunastu takich brzemiennych w skutki minut ratownik jest cholernie samotny, gdzieś między ziemią, wodą i niebem, koledzy są przeważnie daleko – spuszczają łodzie, wypychają je poza pas przypiływu, łapią za wiosła, albo odpalają silnik (jeśli jest to łódka motorowa), który właśnie wtedy lubi się zakrzuszyć i zgasnąć, a potem płyną i płyną – a ty jesteś sam, albo z drugim takim samym facetem, któremu podobnie jak tobie zachciało się ratownictwa. Serca walą wam jak młoty, oddech rozsada płuca, woda zalewa oczy, fala, która właśnie przemknęła do brzegu pojawia się znowu, a wy już wreszcie dochodzicie do bezwładnej postaci. I wtedy cel nagle znika, nic nie widzicie. Miotany przypiływem ludzki kadłub schodzi gdzieś pod wodę, pokrywa go piana. Nurkujecie, szukacie, morze, które przecież lubicie, z którym, jako pływacy, wioślarze, czy żeglarze zazwyczaj żyjecie w przyjaźni, za pan brat, nagle staje się śmiertelnym bezwzględny wrogiem. Jakimś cudem znajdujecie i chwytacie topielca, holujecie, razem, osobno, na zmianę, znowu razem, żeby zdążyć, żeby przeżyć. Łodzie są już coraz bliżej, lecz wy też zbliżacie się powoli, metr za metrem, niezmiernie powoli, ale jednak, do brzegu, byle do*

brzegu. Czasami zakręcona fala zgarnia was ostrym grzebieniem i znowu ściąga kilka, kilkanaście metrów w głąb morza, dalej od upragnionej linii brzegowej. Już na ostatnich metrach przyboju, gdy fala jest szczególnie wredna i podstępna, kiedy całkiem brakuje wam sił, zaczynacie zdawać sobie sprawę, że jednak nie jesteście sami. Macie liczną widownię. Na plaży, może kilkadziesiąt metrów od was, a może dalej, kto by tam liczył, na brzegu stoją ludzie. Nieprzebrane tłumy widzów, gapiów, żądnych wrażeń, ciekawych wyników tej nierównej walki z morzem, tego meczu z siłami natury. Stoją i patrzą. Wprawdzie są obecni, ale pasywni, gapią się bez ruchu, jak zahipnotyzowani. Może i chcieliby pomóc, ale nie przychodzi im to jeszcze do głowy, może mają dobre chęci, ale nie wiedzą jak. A przecież czasami wystarczyłoby uformować ludzki łańcuch połączonych rąk, albo rzucić koło ratunkowe, linę lub kapok. Krzysztof i ten drugi kolega wyciągnęli już kobietę na brzeg, wylali z niej wodę, ułożyli szybko na wznak i przystąpili do akcji. Jednocześnie masaż serca i sztuczne oddychanie metodą usta w usta. Procedura ratunkowa skąd inąd przyjemna na treningach z ładną partnerką, ale tu... zimne sine usta, pani dobrze już po pięćdziesiątce, nie oddycha, nie ma pulsu. Mimo to walczą nadal. Łodzie bez silników już dopłynęły, tylko po co? Wyskakują z



75. Autor na łodzi w Krynicy M. - rok 1966

nich ratownicy. A oni dwaj walczą nadal, biją się o człowieka, zmagają się z bezwładem materii i z losem, robią co mogą, jednak bezskutecznie. Pulsu nadal nie ma, bo niby skąd ma



*być, jeśli nie było go już od dłuższej chwili? Pompują nadal, znowu i znowu, na zmianę, już trochę bez przekonania, ale w tym samym rytmie i tempie. Po upływie 40 minut nadal męczą bezwładne ciało i siebie, teraz już tylko asekuracyjnie, żeby odebrać argument prokuratorowi, dla własnego bezpieczeństwa, zanim nie nadjedzie karetka pogotowia. Wreszcie się pojawia. Młoda lekarka bada puls, kiwa głową, coś wypisuje, zagląda do przyniesionego przez kogoś ubrania i jakiegoś dowodu tożsamości, to paszport. Dziewczyna w białym fartuchu ma łzy w oczach. Z daleka przyjechała po tę śmierć, mówi lekarka – to turystka. Jak się okazało, martwa kobieta była Polką przybyłą na wakacje do matki z Południowej Afryki. Tam chyba ocean jest cieplejszy, mówi pani doktor i wsiada do karetki, w której znajduje się już pasażerka udająca się w swoją ostatnią podróż. Pojawia się milicja. Sierżant i posterunkowy spisują protokół. Potem sekcja zwłok, czekanie na decyzję prokuratury, czy się czasem nie przyczepią i wreszcie orzeczenie...miała atak serca, tam w morzu.*

*Innym razem, też w Krynicy Morskiej, pogoda była równie piękna, morze wprawdzie potargane falami, ale dużo spokojniejsze, wyciągnęli wtedy na brzeg ojca z małą córeczką, również z pogranicza plaży strzeżonej. Jak się potem okazało, pięcioletka kąpała się na dzikiej plaży, potem przeniosła się na dmuchany materac, spodobało się jej dryfowanie tej prowizorycznej tratwy, zniosło ją dalej od brzegu, więc postanowiła zejść i popchnąć materac do brzegu, straciła z nim kontakt i fala zabrała ją dalej i dalej. Ojciec rzucił się na ratunek, wypłynął i zastabł. Kolega podholował niefortunnego pływaka do brzegu, a Krzysztofowi udało się zlokalizować wśród fal dziewczynkę. Szczęśliwie dotarł z nią na stały ląd. Napita się sporo wody, była półprzytomna, ale żywa i już po kilkunastu minutach całkiem doszła do siebie.*

Takich akcji było więcej, mój kolega Krzysztof pracował potem na mniejszych plażach, ja w następnym roku też wybrałem spokojniejsze zajęcia ratownicze nad jeziorami kaszubskimi w Kamienicy Królewskiej. Ale w końcu wróciłem na dwa następne sezony do Krynicy Morskiej, na plażę gdzie w każdym roku życie traciło 14-16 wczasowiczów. Tam była sól tego zawodu, tam przy braku podstawowego sprzętu ratowniczego decydowały własne umiejętności pływackie i przygotowanie fizyczne. Byłby to właściwie materiał na jakieś opowiadania o najbardziej dramatycznych akcjach, ale pewnie tego projektu już nie zdążę zrealizować. Sezony letnie 1966 i 1967 były obfite w wypadki na wodzie, było wiele dramatycznych akcji ratunkowych. Prokurator często gościł w naszym baraku, także w zupełnie niecodziennych wypadkach, jak wyrzucenie na plażę zwłok radzieckiego pilota wojskowego czy znaleziony przeze mnie "worek kości", czyli zwłoki ludzkie po kilkuletnim pobycie w Bałtyku. Wydawało się, że to jakieś zwierzę, a okazało się być szczątkami człowieka.

Jeden z wymienionych wyżej "rzejmieszaków" z Sopotu o ksywie *Chudy* ustatkował się z czasem i został strażakiem, a drugi *Zgred* (znany bardziej pod ksywką *Mexico*, gdyż taki miał tatuaż na piersi) nigdy już nie wrócił na plażę spędzając czas w więzieniu, jako wielokrotny recydywista.

Potem była praca zawodowa i założenie rodziny. I kolejne studia, już zaoczne, na kierunku prawa (1975-1980), kierunku dopiero, co wprowadzonego na Uniwersytet Gdański. Kadra wykładowców na tym nowym wydziale została "importowana" z Torunia.

Doszły jeszcze dwuletnie studia podyplomowe z organizacji i zarządzania w transporcie u prof. Majewskiego (dyplom w r. 1984). Ostatnie lata przed emeryturą przepracowałem w Fabryce Wódek Gdańskich (POLMOS) w Starogardzie Gdańskim, obecnie jest to firma francuska SOBIESKI. Do moich zadań należała windykacja wielomilionowych należności oraz reprezentowanie firmy przed sądami i komornikami w tych sprawach.

Osobny rozdział stanowią liczne podróże, które zaczęły się od odwiedzenia Białorusi i Ukrainy, gdzie byłem tłumaczem i doradzałem polsko-białoruskiej firmie *joint venture* przy zawieraniu umów. Poznałem tam wielu ciekawych ludzi, był też Amerykanin Bill, który zaprosił mnie do zwiedzenia Stanów Zjednoczonych, a ja zrewanżowałem mu się tym samym. Byłem tam dwukrotnie, co umożliwiło mi zwiedzenie miejsc tzw. Dzikiego Zachodu, jak np. Deadwood, gdzie zginął i został pochowany Wild Bill Hickok.

Później odwiedzałem także kraje Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Subkontynent indyjski przejechałem od szczytów Himalajów po Tamilnadu na południu. Zwiedzanie Afryki zakończyłem na Przylądku Dobrej Nadziei oraz Przylądku Igielnym, gdzie spotykają się dwa oceany. Ale to temat na kolejne opracowanie, czy też może podsumowanie całego życia.

Będzie tam obszerny opis poglądów filozoficznych autora z wieloma odniesieniami do filozofii Wschodu. Poza tym zamieszczone będą nie chronologicznie ciekawsze fragmenty z życia osobistego.

Podróże były zawsze połączone z historią krajów odwiedzanych. Dla przykładu - przebywając w USA trafiłem kiedyś na grób generała wojny secesyjnej Elona J. Farnswortha, który zginął w bitwie pod Gettysburgiem. Zastanowił mnie młody wiek tego oficera, miał zaledwie 26 lat w chwili śmierci. Długo szukałem jego biografii, większość generałów tej wojny ma ich nawet kilka. Minęło 20 lat od mojej wizyty, biografii nadal nie było, więc napisałem ją sam. Pogłębione studia nad historią wojny secesyjnej zaowocowały wieloma innymi publikacjami. Założyłem magazyn internetowy (fanzin) **SECESJA N&S**, do którego pisało wielu autorów z kraju i z zagranicy.

Zachęcam do lektury innych moich e-booków, które można pobierać z tej strony. <http://zbigkurzawa.eu/e-books.html>

## LITERATURA WYKORZYSTANA

- 1/ "**Ćmielów**" - album, oprac. B. Kołodziejowa, Zb. Stadnicki, KAW 1986.
- 2/ "**Fabryka fajansu za dyrekcji Adolfa Fryderyka Vatkego 1808-1837**" - Jerzy Moniewski.
- 3/ "**Lasy i ludzie**" - Marian Langer, Oficyna Wyd. Mireki, 2014.
- 4/ "**Kradzież dokumentów z Archiwum Parafialnego w Ćmielowie**", Jerzy Moniewski.
- 5/ "**Polski fajans**" - M. Starzewska, M. Jeżewska, Ossolineum 1978.
- 6/ "**Dzieje Ziemi Gostyńskiej**" - praca zbiorowa pod red. St. Sierpowskiego, UAM Poznań, 1979.
- 7/ "**Zmierzch Bogów w Posen - Sensacje z Kraju Warty**" - L. Adamczewski, wyd. Replika, 2011.
- 8/ "**Gostyń dawny i niedawny**" - G. Skorupski, e-book.
- 9/ "**Chmury nad domem**", Zofia Hejmowicz-Naglerowa, wyd. Muzeum w Gostyniu.
- 10/ "**Fort VII**" - St. Strugarek, wyd. Muzeum w Poznaniu
- 11/ "**Zmagania ze społeczeństwem-:aparatus bezpieczeństwa wobec Wielkopolan w latach 1945-1956**", Poznań 2008
- 12/ Poszukiwanie przodków - genealogia dla każdego - M. Nowaczyk, PIW
- 13/ GENEALOGIA - praktyczny poradnik, K. Bąkała, Ag. Wyd., 2009
- 14/ "**Konspiracja antykomunistyczna i podziemie zbrojne w Wielkopolsce w latach 1945-1956**", Poznań 2007.
- 15/ Strona internetowa Maciej Gaszek, Mariusz Sobecki - <http://gaso-gostyn.pl/>
- 16/ Moja strona internetowa o historii Gostynia - <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/gostyn.html>

## SPIS ILUSTRACJI WYKORZYSTANYCH

1. Gród słowiański z VIII w.....	6
2. Herb Odrowąż .....	8
3. Orszak weselny.....	15
4. Spotkanie króla Karola X Gustawa z Jerzym II Rakoczym w Ćmielowie .....	17
5. Pozostałości zamku w Ćmielowie w r. 1910 .....	18
6. Obecny wygląd wieży bramnej i resztek murów - 2006 r. ....	19
7. Kościół w Ćmielowie - r. 2006.....	21
8. Grobowiec Karola Pękalskiego i rodziny.....	23
9. Cmentarz choleryczny w Świętokrzyskiem .....	26
10. Jan Orłowski - spotkanie z autorem w r. 2007 .....	27
11. Księga urodzin 1719-1739.....	33
12. Dr Jan Orłowski i Jan Pękalski r. 2001 .....	37
13. Figurka porcelanowa z Ćmielowa .....	43
14. Pałac w Nieborowie.....	47
15. Figura Matki Boskiej na grobie Karola - 2006 r. ....	48
16. Karol Pękalski z żoną i córeczkami - 1885 r. ....	50
17. Franciszek i jego brat Stanisław z rodziną- 1905 r. ....	53
18. Stanisława Pękalska przed wstąpieniem do zakonu -1903 r. ....	55
19. Siostra Świętosława - rok 1917 .....	56
20. Stanisława i Zofia Pękalskie w Ćmielowie w 1954 r. ....	59
21. Witold i Janina Milewscy ok. 1936 r. ....	61
22. Pracownicy fabryki porcelany - r. 1901 .....	62
23. Wydział Odlewni fabryki porcelany w Ćmielowie.....	63
24. Pamiątkowy talerz z okazji 50-lecia pracy.....	64
25. Kierownictwo fabryki porcelany w r. 1908.....	66
26. Franciszek Pękalski w r. 1922 .....	68
27. Fabryka porcelany odbudowana po zniszczeniach I wojny światowej- r. 1924 .....	71
28. Franciszek Pękalski na emeryturze - rok 1938.....	73
29. Rodzina Anieli Pękalskiej w Starym Jaromierzu - rok 1947 .....	74
30. Zdjęcie klasowe z r. 1908 - Ćmielów.....	78
31. Zdjęcie klasy Tadeusza z r. 1914.....	79
32. Klasa Tadeusza w r. 1916.....	81
33. Zdjęcie szkolne z r. 1919.....	82
34. Zofia H. Pękalska w VII klasie - r. 1926.....	83
35. Absolwenci seminarium w Wągrowcu - rok 1925 .....	85
36. Tadeusz i grono pedagogiczne szkoły w Pępowie - rok 1927 .....	87
37. Tadeusz w mundurze sapera - r. 1933.....	88
38. Tadeusz z uczniami szkoły w Pępowie - rok 1930.....	90

39. Tadeusz w swoim mieszkaniu w Sikorzynie - r. 1936 .....	91
40. Autoportret w lesie - r. 1934 .....	92
41. Z Olą Gościńiak przy motorze - r. 1936.....	93
43. Tymczasowa saperska przeprawa wodna.....	104
44. Samochód minersko-zaporowy saperów.....	106
45. Medal za 1939 r. ....	112
46. Rozstrzeliwanie Polaków w r. 1939.....	113
47. Kat ziemi poznańskiej A. Greiser .....	116
48. Kompania SS w klasztorze gostyńskim - 1941 r.....	117
49. Krysia w fotolobie - wiosna 1944 r. ....	120
50. Esesmani gostyńscy - r. 1944 .....	122
51. Ucieczka Niemców z Gostynia - 20.01.1945.....	123
52. Oficerowie komendy wojennej Gostynia - 1945 r.....	127
53. Komisja MR z burmistrzem miasta w terenie - lato 1945 r. ....	129
54. Odbudowa gimnazjum w Gostyniu - kwiecień 1945 .....	130
55. Marian Rączka.....	132
56. Partyzanci Rączki - r. 1946 .....	134
57. Lokatorzy domu przy ul. 3 Maja 5 - rok 1945.....	136
58. Jan Gruchała, pedagog.....	139
59. Zaręczyny Tadeusza i Krysi - wrzesień 1944 r. ....	142
60. Ślub kościelny Krysi i Tadeusza w marcu 1945 r. ....	143
61. Na polowaniu - zima 1945 r. ....	144
62. Wakacje w Gdyni w r. 1948. Kamienna Góra.....	147
63. Egzekucja A. Greisera, kata Wielkopolski-1946 .....	149
64. Zbrodniarz Oskar Knofe - 1888-1978.....	150
65. Greiser i jego kamraci-mordercy.....	153
66. Z babcią Aleksandrą w Kluczewie - 1949 r. ....	155
67. Z ojcem w ogrodzie dziadka Stefana - 1945.....	156
68. Stefan i Krystyna w Gostyniu - 1 maj 1952 r. ....	157
69. Aparat Tadeusza z 1937 r.....	160
70. Mała Ania z mamą w lesie - 1954 .....	161
71. Czołgi na ulicach Poznania - czerwiec 1956 .....	165
72. Tablica pamiątkowa St. Szymańskiego .....	166
73. Brygada sezonowa huty - w środku Ewa Penkalska - 1963.....	168
74. Wiosna 1945 - kpt. Niewiarowicz w Gostyniu. Ja w wieku 10 m-cy .....	170
75. Autor na łodzi w Krynicy M. - rok 1966 .....	176

**Zdjęcia autora:** 1,6,7,8,10,15,24,45,75

**Zbiory rodziny Penkalskich:**

16,17,18,19,20,23,25,28,29,31,32,33,34,35,36,37,38,39,40,41,42,43,49,53,54,56,57,59,60,  
61,62,66,67,68,69,70,73,74,

**Źródła internetowe:** 2,3,4,9,11,13,14,44,46,47,51,58,63,64,71,72,65.

**Zbiory dr. J. Orłowskiego:** 5,12,22,30,

**Zbiory M. Waligórskiej:** 21,

**Maciej Gaszek, Mariusz Sobecki i Muzeum w Gostyniu:** 48,50,52,55,

**Album Ćmielów (poz. nr 1 literatury):** 26,27,



**Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotka) herbu Trąby**  
(1549 Ćmielów - 1616 Nieśwież)